

Karl Wagner

Pajęczyna
utkana z ciemności

Fantasy





Karl Wagner

PAJĘCZYNA
UTKANA
Z CIEMNOŚCI

1970

Spis treści

PROLOG

1. CI, KTÓRZY MIESZKAJĄ W GROBOWCACH

Opowieść Imela

2. O TKACZACH I PAJĘCZYNACH

3. UCIECZKA NA STATEK

4. DROGA DO PELLINU

5. BOGOWIE W CIEMNOŚCI

6. W CZARNEJ TWIERDZY

7. KRÓLOWA NOCY

Opowieść Efrel

8. KONSPIRACJA W PRISARTE

9. WIĘZIEŃ W THOVNOSTEN

10. SZPIEG CESARZA

11. ODPŁYW I PRĄD DENNY

12. DWÓCH WESZŁO...

13. DWAJ WROGOWIE SPOTYKAJĄ SIĘ

14. ...A JEDEN WYSZEDŁ

15. WIEŻA O ŚWICIE

16. WIZJE CZARNEGO PROMETEUSZA

17. WEZWANIE DO BOJU

18. OGIEŃ NA MORZU

19. POWRÓT DO THOVNOSTEN

20. Z PRASTARYCH MÓRZ

21. O GRACH I CELACH

22. Z GŁĘBIN NA POWIERZCHNIĘ

23. NOC W KOMNACIE M'CORI

24. NOC W KOMNACIE EFREL

25. BITWA O CESARSTWO

26. TOAST ZA ZWYCIĘSTWO

27. ATAK NA THOVNOSTEN

28. RĘKA KANE'A

29. ZEMSTA EFREL

30. NIESPODZIEWANE PRZYMIERZE

31. ZBIERZCIE SIĘ, BOGOWIE

32. POŻEGNANIE

*Dedykacja
Pamięci Ropuszowego Dworu,
ludzi z Ropuszowego Dworu
i czasów Ropuszowego Dworu*

I powiadam Wam raz jeszcze: nie budźcie żadnego z nich, jeśli nie umielibyście wygnać go z powrotem, bowiem on zaś może wezwać coś przeciw wam, a wtedy wasze najpotężniejsze sposoby na nic się nie zdadzą.

*...List od Jedediasza Orne;
H. P. Lovecraft,
„Sprawa Charlesa Dextera Warda”.*

*W swym zamku za nocą
Zbierają się Bogowie w Ciemności,
By z ciemności układać przeznaczenie człowieka.*

*Barwy ciemności nie są monotonne,
Boviem czerń Zła zna wiele odcieni,
Tyle samo, ile Zło ma imion.*

*Zemsta i Obłąd, nieoddzielni bliźniacy,
Narodzili się razem i są czczeni jako jedność,
Nawet Bogowie nie umieją odróżnić braci od siebie.*

*W swym zamku za nocą
Zbierają się Bogowie w Ciemności,
A ciemność tką z wielu cieni.*

(fragment przypisywany Opyrosowi)

PROLOG

– On jest złem wcielonym! Trzymaj się od niego z dala! – Arbas utkwiał wzrok w młodym obcokrajowcu naprzeciwko i pociągnął solidny łyk z kufła piwa, które kupił mu ten obcy. W tej chwili czuł tylko pogardę dla rozrzutnego młodzieńca, który odszukał go w tawernie Selrama Honesta.

Arbas, zwany przez wielu Arbasem Zabójcą, był w paskudnym humorze. Nagły i zupełnie nie w porę zjawiający się (podejrzanie nie w porę, według Arbasa) pech w grze w kości tego wieczoru pozbawił go nie tylko zgrabnego stosu wygranej, ale i wszystkich monet, jakie miał przy sobie. Przymilna dziewczka z tawerny, która pieśczośliwie wodziła palcami po jego twardych muskułach pod skórzaną kamizelą, zrobiła się chłodna i wyniosła, po czym opuściła go z wyrazem pogardy. Może był to wyraz rozczarowania, pomyślał kwaśno Arbas.

I wtedy zjawił się ten obcy, którego szlacheckie maniery podejrzanie kontrastowały z prostym odzieniem, jakie miał na sobie. Przybysz przedstawił się po prostu jako Imel i nie powiedział nic więcej, z wyjątkiem paru zdawkowych uwag. Zdawało się, że był altruistą poświęconym całkowicie pilnowaniu, by kufel Arbasa był wypełniony piwem po brzegi. Niepewny jego zamiarów Arbas pozwalał temu głupcowi marnować pieniądze. Nie był człowiekiem, który łatwo się upijał. Wiedział, że w końcu przybysz zacznie tak od niechcienia, zwykłym tonem mówić o jakimś rywalu, jakimś sukinsynu o czarnym sercu, o kimś, za czyją śmierć zapłaci...

Arbas zawodowo oceniał, ile dokładnie Imel jest w stanie zapłacić, gdy przybysz nagle zburzył wszelkie rachuby zabójcy. W jakiś sposób rozmowa zeszała na temat człowieka, o którego śmierć tak gorliwie modliły się władze Konsorcjum. Z zaskoczeniem Arbas zdał sobie sprawę, że obcokrajowiec poszukuje wiadomości o Kanie...

– Złem? Ale mnie nie obchodzi jego charakter. Nie po to przeszukuję slumsy Nostoblet, by najać domowego skarbnika. Chcę tylko porozmawiać z nim, a powiedziano mi, że od ciebie

mogę się dowiedzieć, jak do niego dotrzeć. – Przybysz mówił dialektem Konsorcjum Południowej Lartroxii z akcentem, który wskazywał, że pochodzi on z wyspy Thovnos, stolicy Cesarstwa Thovnozyjskiego, około 500 mil na południowy zachód.

– W takim razie jesteś głupi! – odparł Arbas i opróżnił kufel. Pod kapturem szczupła twarz obcego zaczerwieniła się z gniewu. Przeklinając w myślach bezczelność zabójcy, przybysz gestem zawołał przechodzącą dziewczkę służebną, by napełniła kufel Arbasa. Od niechcenia rzucił jej trzy monety z brązu, które wyjął z sakiewki, upewniając się, że Arbas zauważył jej ciężar. Dziewczyna również zauważyła i otarła się o ramię Imela nalewając piwa. Odeszła uśmiechając się.

Niestąła suka – pomyślał Arbas przyglądając się purpurowemu śladowi twardej piersi na szarym płaszczu Thovnozjanina. Zabójca powoli sączył swoje piwo, ale udawał, że nie widział pieniędzy.

– Ktoś tu za dużo mówi, jak na mój gust. O wiele za dużo! Kto ci powiedział, że ja mogę go odnaleźć?

– Prosił, bym nie wymieniał jego imienia.

– Imiona, imiona, proszę tylko bez imion. Na Lato! Powiesz mi imię tego gadatliwego, kłamliwego łajdaka, który przysłał cię do mnie albo możesz pójść poszukać go sobie w Siódmym Piekło, gdzie jest dla niego najlepsze miejsce! Przy takiej cenie za jego głowę nie ostała się nawet garstka ludzi w Konsorcjum, którzy nie sprzedaliby własnej duszy za szansę wydania go.

Dookoła w tawernie wrzało. W pobliżu drzwi do piwnicy z winem widać było Selrama Honesta. Zatrąszoną, bladą twarz chudego właściciela przyglądającego się rozbawionemu tłumowi rozjaśniał uśmiech. Większość ludzi była w biesiadnym nastroju, hałaśliwie oddając się uciechom, hulance, hazardowi i podszczyrywaniu dziewczek. Zadziorne zbiry z kiepsko oświetlonych ulic Nostoblet, zuchwali najemnicy w ciemnozielonych bluzach i skórzanych spodniach kawalerii Konsorcjum, mówiący z dziwnym akcentem wędrowcy przejeżdżający przez miasto w nieodgadnionych celach, uwodzicielsko ubrane uliczne prostytutki, których twardy śmiech nigdy nie odzwierciedlał się w ich zbyt poważnych oczach. Dwaj jasnowłosi najemnicy z Waldann bliscy byli zerwania więzów

długiej przyjaźni i wyciągnięcia noży z powodu jakiejś zawziętej, tylko dla nich zrozumiałej sprzeczki. prostytutka o pięknej twarzy i ciekawych, spiralnych bliznach na każdej uróżowanej piersi sprawnie przeszukiwała sakiewkę nieostrożnego marynarza, który ją obejmował. Łysiejący, brudny były sierżant straży miejskiej Nostoblet bawił kilku drwiących zeń wieśniaków skomlącą prośbą, by dać mu się napić.

Tu i tam siedziały małe grupki nachylonych nad stołami ludzi, szeptem układając plany, za wiadomość o których straż miejska wiele by dała. Ale straż rzadko zapuszczała się w portowe ulice Nostoblet, chyba żeby zbierać łapówki, dopóki mieli czym zapłacić za gościnność. Każdy tu pilnował swoich własnych interesów. Nikt więc nie zwracał uwagi na przyciszoną rozmowę, którą prowadził Arbas Zabójca z obcym z Thovnosten.

Nikt z wyjątkiem chyba jednouchego żołnierza w nie dającym się bliżej określić stroju, który wszedł do tawerny Selrama Honesta wkrótce po Imelu. Podniszczony rynsztunek bojowy i ponura twarz krępego wojownika sprawiała, że unikały go przedsiębiorcze prostytutki i gadatliwi pijacy. Na palcu dłoni, którą co jakiś czas unosił kufel do ust, lśnił grawerowany srebrny pierścień z wprawionym masywnym ametystem. Klejnot błyszczał fioletowo w zadymionym, żółtym świetle tawerny. Jednakże ten milczący mężczyzna siedział po drugiej stronie zatłoczonego pomieszczenia za daleko od Arbasa i Imela, by mógł coś usłyszeć. Jeśli nawet zdawało się, iż jego spojrzenie zbyt często wędruje w ich stronę, to być może przyciągała je ciemnowłosa dziewczyna w barwnych jedwabiach, tańcząca na stole nieco za nimi.

Imel jeszcze przez chwilę w milczeniu rozmyślał, ignorując gniew płonąca na ciemnej twarzy zabójcy. Ten człowiek okazał się trudniejszy i niebezpieczniejszy, niż wydawało mu się w pierwszej chwili, więc nie był pewien, na ile może go wtajemniczyć w swoją misję. Wiedział, że przynajmniej chwilowo musi polegać na Arbasie. A więc, dyplomacja. Trzeba zadowolić jego ciekawość, ale nie można powiedzieć mu nic ważnego.

– To Bindoff przysłał mnie do ciebie – powiedział, uśmiechając się na widok zaskoczenia, jakie wywołało u Arbasa imię Czarnego Kapłana.

Arbas radykalnie zmienił swoją opinię na temat Thovnozanina. Już prawie przypuszczał, że przybysz jest łowcą nagród i rozważał, czyby go nie zadźgać w jakimś ustronnym miejscu, ale wiedział on o kontaktach Czarnego Kapłana z człowiekiem, którego szukał, i to przemawiało na jego korzyść. Bindoff strzegł tej tajemnicy z typową dla siebie starannością. Widocznie ten człowiek w jakiś niewytłumaczalny sposób zdobył zaufanie Bindoffa. Może warto zaryzykować...

– Masz, powiedzmy, dwadzieścia pięć mesitsi złota? – zapytał od niechcienia Arbas. Obcy udał, że się waha – nie ma sensu dawać zabójcy powodu, by pomyślał, że warto zażądać więcej.

– Mogę podwyższyć stawkę.

Arbas zlizął pianę z wąsów, zanim odpowiedział.

– W takim razie zgoda. Przynieś mi je za dwie noce od dziś. Załatwię ci spotkanie z Kane'em.

– Dlaczego nie dziś wieczór? – spytał niecierpliwie Imel.

– Nie ma mowy, przyjacielu. Oprócz tego myślę sobie, że najpierw przyjdzie mi trochę popytać o ciebie, zanim gdziekolwiek pójdziemy.

Zauważając rozdrażnienie i niecierpliwość przybysza, Arbas zacytował: – „Szczęśliwy w swym szaleństwie, głupiec wziął w ramiona diabła”.

Przybysz roześmiał się. – Oszczędź mi cytatów z Pisma Świętego. Powiedz raczej, co takiego jest w tym Kanie, że ma tak złą sławę? Trudno się spodziewać, by ktoś taki jak ty miał prawo oczerniać kogokolwiek.

Arbas tylko zaśmiał się i powiedział: – Zapytaj mnie znowu, jak już spotkasz Kane'a!

I. CI, KTÓRZY MIESZKAJĄ W GROBOWCACH

Zasilana przez zimne źródła i niewielkie strumyki wysokich gór Myceum daleko na wschodzie, rzeka Cotras wiła się krętą ścieżką pośród mil kamienistych wzgórz, zanim wreszcie dotarła do szerokiego pasa nizin otaczającego wybrzeże Lartroxii. Tam zaczynał się jej spływ ku zachodnim morzom – 50-milowy odcinek głębokiego, żeglownego kanału, który prowadził przez urodzajne ziemie uprawne i bogate lasy. Miasto Nostoblet leżało na brzegach rzeki Cotras tam, gdzie jej wody spływały z niskich wzgórz na równiny wybrzeża. Dzięki szerokiemu kanałowi rzecznemu Nostoblet było portem w głębi lądu, który otrzymywał zarówno egzotyczne towary ze statków kupieckich pływających po zachodnich morzach, jak i bogactwo wschodnich gór przywożone na tratwach huczącą rzeką przez półdzikich górali.

Rzadko zalesione wzgórza za Nostoblet były pocięte głębokimi jarami oraz odsłoniętymi warstwami skał, gdzie niegdyś górskie strumienie rzeźbiły miękki kamień. Niezliczone ściany urwisk wznosiły się nierzadko na setki stóp nad dnem doliny. Tworzyły one barierę nieomal nie do przebycia, strzegąc równin Południowej Lartroxii i zaznaczając granicę, gdzie według niektórych uczonych niegdyś falowały wody prastarych mórz.

Klify za Nostoblet były w wielu miejscach podziurawione grobowcami jak plastry miodu. Stosunkowo niedawno rozpowszechniony na południu kult Hormenta wprowadził zwyczaj palenia zwłok zmarłych. W związku z tym grobowców nie używano już od ponad wieku i ścieżki prowadzące do nich nie były strzeżone przez ludzi od bardzo dawna.

Mieszkańcy starego Nostoblet zawsze byli praktycznymi ludźmi, których zwyczaje religijne nie wymagały bogatego wyposażenia grobowców dla ich zmarłych. W czasach gdy cmentarzysko to było jeszcze używane, bogaci ludzie mieli

zwyczaj kłaść zmarłych na wieczny spoczynek w prostych drewnianych skrzyniach, które wstawiano do nisz wykutych w skale. Nie grzebano żadnych osobistych przedmiotów zmarłego z wyjątkiem ubrania, które miał na sobie, i czasami ozdób o minimalnej wartości. Wobec tego nic nie kusiło złodziei grobów na tyle, by chcieli przekradać się obok nielicznych żołnierzy strzegących grobowców w przeszłości lub zmierzyć się z niebezpiecznymi strażnikami. Cmentarzysko Nostoblet słynęło z ghuli i innych jeszcze gorszych mieszkańców, a upiorne opowieści o ich czynach sprawiły, że całe Nostoblet skrupulatnie unikało tej okolicy aż do dzisiejszych czasów.

Po krętych ścieżkach prowadzących na górę tych urwisk pewnej deszczowej nocy wspinało się mozolnie dwóch mężczyzn. Błyskawice często rozcinały absolutną czerń nocy, oświetlając swym blaskiem mokrą kamienistą ścieżkę, którą szli wzdłuż skalnej ściany. Nie dające się przewidzieć rozbłyski dużo lepiej oświetlały drogę niż słabo paląca się, osłonięta latarnia, którą niósł Arbas.

– Ostrożnie tutaj! – krzyknął do tyłu Arbas. – Kamienie są bardzo śliskie! – Nie zwracając uwagi na swą własną przestrożę, zabójca poślizgnął się na połykającym od deszczu kamieniu i starając się utrzymać równowagę, omal nie upuścił latarni w przepaść.

Thovnozjanin mruknął wściekle i skupił uwagę na tym, by nie spaść ze ścieżki. Jedno poślizgnięcie się na ociekających wodą kamieniach oznaczałoby pewną śmierć na osypisku u stóp urwiska. Gdzieś z ciemności w dole dochodził go odległy huk pędzącej wody, która waliła zalanym korytem strumienia. Mimo to w jego głosie nie było nawet śladu strachu, gdy burknął:

– Nie mogłeś umówić mnie na spotkanie z Kane'em w jakimś suchym miejscu?

Arbas obejrzał się, a na jego ciemnej twarzy odmalował się mokry grymas sardonicznego rozbawienia.

– Czyżbyś zmieniał zdanie co do spotkania z nim? – Zaśmiał się, gdy jego towarzysz odpowiedział potokiem przekleństw.

– Właściwie dla naszych celów to dobra noc – burza powinna osłonić przed każdym, kto próbowałby nas śledzić. Poza tym dobrze wiesz, że Kane nie mógłby pokazać swojej twarzy nigdzie

w Konsorcjum z powodu ceny wyznaczonej za jego głowę. A nawet gdyby mógł, i tak nie ma ochoty przybiegać dla byle kogo, chyba że jest to naprawdę godne jego uwagi – dodał uszczypliwie. – Do tej pory nie powiedziałeś, dlaczego chcesz się zobaczyć z Kane’em.

– To może usłyszeć tylko Kane – odparł Imel.

Arbas pokiwał głową z powagą.

– Aha. Może usłyszeć tylko Kane. No tak, nie będę psuł teraz dramatycznego efektu tajemnicy. Oczywiście, nie chciałbym tego.

Thovnozjanin zdecydował się nie zwracać na niego uwagi i pogрузzył się w milczeniu na całą resztę wspinaczki.

W ścianie po ich prawej stronie pojawiły się ciemne otwory – wejścia do opuszczonych jaskiń pogrzebowych, wykutych ręcznie w miękkiej skale przez niewolników od dawna nieżyjących, tak jak ich panowie. Przez te otwory łatwo mógł wejść nawet wysoki mężczyzna i w świetle błyskawic zdawało się, iż krypty wewnątrz są znacznie obszerniejsze niż w rzeczywistości.

Niegdyś potężne bramy zagradzały wejście do grobowców, lecz wyglądało na to, że w ciągu lat wszystkie zostały wyważone. Niektóre mocniejsze drzwi stały otwarte na zastygłych zawiasach, ale większości brakowało zupełnie. Niektóre wisiały pod dziwnymi kątami – żałosne pozostałości przegniłych desek i zardzewiałego metalu.

Imel zastanawiał się, czyje ręce mogły wyrwać te potężne bramy, by splądrować groby, których strzegły, i w jakim celu. To była zła noc na takie myśli. Ciemność we wnętrzu komnat grobowców była znacznie głębsza niż mrok nocy, a czas jeszcze nie rozpędził całkowicie stęchłego zapachu pleśni i rozkładu, jakim przesiąknięte było wilgotne powietrze. Za każdym razem, gdy Imel nerwowo przechodził obok ziejących otworów, przebiegał go dreszcz i miał wrażenie, że ktoś go obserwuje z ukrycia. Co jakiś czas wychwytywał ulotny dźwięk drobnego tupania i cichego szurania dochodzący z wnętrza. Imel modlił się, by to, co słyszał, było odgłosami dużych szczurów wypłoszonych z ich kryjówek. Burza potrafiła płać niesamowite figle ludzkim zmysłom.

– Wydaje mi się, że to powinno być tutaj – oświadczył wkrótce

Arbas i poprowadził w głąb zatechłego wnętrza jednej z jaskiń grobowcowych. Podkreślił latarnię, która cudem nadal się paliła, i oczom Imela ukazała się jaskinia w kształcie „L”. Pierwszy korytarz miał jakieś 20 stóp długości i biegł pod kątem prostym do drugiego, większego, który był długi na 50 stóp. Wysokie na osiem stóp ściany tego pierwszego odcinka pocięte były w potrójny rząd nisz. Tylko kilka rozsypujących się trumien stojących w tych niszach było nietkniętych. Większość została rozbita, a ich zawartość rozrzucona, ale czy stało się to z powodu starości czy wandalizmu, Thovnozjanin nie umiał powiedzieć na pierwszy rzut oka.

Podwójna zasłona ze skóry wisiała w poprzek korytarza tuż za zakrętem. Powieszono ją tam, by zatrzymywała chłodny wiatr z zewnątrz i zasłaniała światło lampy w środku. Gdy Imel wszedł za zasłonę, zobaczył, że komnatę niedawno przystosowano do zamieszkania przez ludzi.

Tutaj, w starożytniej, pełnej cieni komnacie grobowca, Kane urządził swe leże.

– Więc gdzie on jest? – zapytał ostro Imel. Pragnął szybko przejść do interesów, by przepędzić mroczne, ledwo wyczuwalne obawy, które nie przestawały go dręczyć od czasu, gdy wszedł na teren cmentarza.

– Co, nie jesteśmy przyzwyczajeni do czekania? On przyjdzie o swojej porze. Przynajmniej wie, że przychodzimy dzisiaj – powiedział Arbas i przywłaszczył sobie jedyne krzesło w komnacie.

Przeklinając bezczelność zabójcy, Imel rozejrzał się po pomieszczeniu w poszukiwaniu innego siedziska. Nie znalazł żadnego. Mimo to komnata była zadziwiająco dobrze urządzona, szczególnie biorąc pod uwagę trudności i niebezpieczeństwo wyśledzenia związane z przynoszeniem czegokolwiek do grobowców. W rogu na podłodze znajdowało się dobre łożo z kilku wielkich futer i materaca. Oprócz krzesła był jeszcze stół, na którym znajdowały się dwie lampy, kilka butelek, jedzenie, i co najbardziej zadziwiające, kilka książek, zwoje pergaminu i przybory do pisania. Na podłodze i w pustych niszach leżały rozrzucone różne inne przedmioty: dzbany oliwy, kusza i kilka kołczanów ze strzałami, naczynia, znowu jedzenie, topór bojowy i

zbiór raczej wiekowych sztyletów, pierścieni i innych metalowych przedmiotów. Popiół był jeszcze ciepły na palenisku, gdzie Kane czasem ryzykował rozpalanie małego ognia, by przyrządzić posiłek. Stos nie spalonego drewna wskazywał, na co Kane przeznaczył trumny, których miejsca spoczynku wcześniej opróżnił.

Wyrzucone kości mieszkańców owych trumien leżały usypane w stos i gdy Imel spojrzał nań, poczuł, jak mu włosy stają dęba na głowie. Nigdy nie uchodził za człowieka zbyt wrażliwego i nic nie wskazywało, by trzeba było się liczyć z duchami tych zmarłych. Jego niepokój budził raczej stan tych rozsypujących się kości. Nie dość, że były nadgryzione – to mogły zrobić szczury, ale również starannie rozłupane i pozbawione szpiku. W taki sposób mogłaby pożreć rozkładające się zwłoki jakaś istota ludzka lub przypominająca człowieka, pomyślał Imel. Zadrżał, mimo iż kości były stare i rozsypujące się w proch.

Z nudów Imel grzebał palcem wśród starych ozdób i metalowych przedmiotów. Był trochę rozczarowany, że nie znalazł nic godnego uwagi.

– Kane plądrował groby dla tych śmieci? – zapytał zaskoczony tym, jak donośny wydał się jego głos.

Zabójca wzruszył ramionami. – Nie wiem. Siedzi tu jak przymurowany od tak dawna, że można zwariować, i myślę, że zbiera to z nudów. Może coś z tego robi. Może chce napisać katalog dla pedantów z akademii w Matnabla. Właściwie chciałem powiedzieć, co tak naprawdę można tu robić przez cały ten czas. Kane jest... Sam nie wiem – dokończył mruknięciem i zainteresował się nagle swoim sztyletem.

Imel westchnął rozeźlony i rozejrzał się po komnacie, żeby na czymś zawiesić wzrok. Zauważył tajemniczy i skomplikowany wzór oraz archaiczne piktogramy nad progiem. Opierając się na tym, co już wiedział, łatwo domyślił się, że przedstawia on jakieś zaklęcie przeciw siłom nadprzyrodzonym. Przyglądał się talizmanowi przez dłuższą chwilę drapiąc się powoli po zaroście, do którego nie był przyzwyczajony, ale nic nie zrozumiał.

Dochodzące z zewnątrz odgłosy burzy w połączeniu z niesamowitym otoczeniem sprawiły, że Imel czuł się coraz bardziej zaniepokojony. Podszedł do stołu, gdzie Arbas

nonszalancko ostrzył sztylet na kamieniu położonym tam przez Kane'a. Nachylił się i popatrzył z podziwem na księgi, które leżały na stole, bardziej z powodu ich wartości materialnej niż intelektualnej. Z ciekawości przerzucił kilka z nich. Dwie były napisane w języku Konsorcjum, a z pozostałych język tylko jednej trochę wyglądał na znajomy. Jedna bardzo stara księga była szczególnie niezwykła, dziwne litery bowiem na jej stronach nie wyglądały na pisane ręcznie. Imel był ciekawy, co tak zainteresowało w tych księgach Kane'a, że przyniósł ich aż kilka do krypty. Zaskakujące jest już to, że on w ogóle umie czytać, pomyślał Imel. Z tych niewielu informacji, jakie uzyskał, wynikało, że Kane ma opinię twardego i wprawnego wojownika i jest osobą gwałtowną pod każdym względem. Z doświadczenia Imel wiedział, że tacy ludzie zwykle gardzili wszystkim, co związane było ze sztuką.

Imel przeglądał od niechcienia jedną z ksiąg napisanych w języku Konsorcjum. Nagle jego wzrok przyciągnął dziwny wykres. Zaskoczony, przeczytał powoli napis na następnej stronie i stwierdził, że jego podejrzenia sprawdziły się. Przerażony zamknął księgę i szybko ją odłożył. To była księga magiczna. Czyżby Kane był nie tylko żołnierzem, ale i czarnoksiężnikiem? Imel przypomniał sobie ostrzeżenie Arbasa i ogarnął go strach.

Spojrzał na Arbasa i zobaczył, że zabójca uśmiecha się do niego szyderczo znad swego sztyletu. Kątem oka przyglądał się cały czas Imelowi i zauważył nagły przestrawienie w jego oczach. Imela zalała fala gniewu, że odstąpił swoje uczucia, i ta fala zmyła strach, strach, który, jak powtarzał sobie, odczuwa każdy zdrowy na umyśle człowiek stykający się z czarnoksiężskimi akcesoriami.

– Przestań się tak głupio uśmiechać! – warknął do Arbasa, który tylko zachichotał w odpowiedzi. Klnąc z przejęciem, Thovnozjanin chodził po komnacie w tę i z powrotem. Na Tloiuvina! Głupi był, że w ogóle zgodził się wyruszyć z tą misją, głupi, że dał się wplątać w jej szalone intrygi! Zdając sobie sprawę, iż traci panowanie nad sobą, zatrzymał się i spróbował odzyskać spokój.

– Kiedy Kane wreszcie przyjdzie? – zapytał z gniewem. Arbas wzruszył ramionami. Wyglądało, że i on traci cierpliwość.

– Może nie wie, że już jesteśmy – wysunął przypuszczenie. – Chodź, weźmiemy latarnię i poświecimy trochę na skalnej półce. Wątpię, by w taką noc był tu w okolicy ktoś oprócz Kane’a, kto mógłby ją zobaczyć – mówiąc to wziął podniszczoną latarnię i podszedł do zasłony.

Ledwie ją minęli i zaczęli iść w stronę wyjścia z tunelu, gdy przedłużony błysk łańcucha błyskawic rozciął północne niebo i rzucił migotliwe błękitne światło na postać właśnie wchodzącą do krypty. Zaskoczony Imel nie mógł powstrzymać się od westchnienia na widok ogromnej postaci w płaszczu, której czarna sylwetka odcinała się wyraźnie na tle przecinanej błyskawicami ulewy. Przypomniały mu się słowa, które wypowiedział Arbas przy pierwszym ich spotkaniu: „Szukaj go w Siódmym Piekłe!” Rzeczywiście, ta koszmarna scena mogłaby przedstawiać wejście demona lub samego księcia Tloluvina z Siódmego Piekła.

Na czas jednego uderzenia serca błyskawica upiornie oświetliła postać. W tym świetle nie było widać żadnych szczegółów. Była tylko czarnym cieniem w przemoczonym ubraniu i płaszczu szarpanym przez wiatr, potężną sylwetką stawiającą czoło burzy. Obnażony miecz załśnił w blasku błyskawicy tak samo jak jego oczy – złowieszcze punkciki ognia w mroku.

Potem blask zgasł i postać weszła do krypty majestatycznym krokiem.

– Zasłoń światło! – powiedział ostrym tonem Kane.

Arbas odsunął zasłonę na bok i Kane wszedł do środka zrzucając przemoczoną pelerynę i strzepując potoki wody ze swego masywnego ciała. Klnąc w jakimś dziwnym języku nalał sobie pełen kubek wina, wypił go i zaczął napełniać następny.

– Piękna burza, ale nie lubię schnąć po niej w tej wilgotnej dziurze – warknął w przerwie między kolejnymi kubkami wina. – Arbas, zobacz, czy nie można by rozpalić ognia. Dym dziś nie będzie niebezpieczeństwem. Usiądź i napij się wina, Imelu. Wspaniale rozgrzewa. Ci Lartroxianie mają zaskakująco dobre winnice, zawsze im to przyznają.

Nalewając sobie trzeci kubek, podszedł do miejsca, gdzie Arbas rozpałał ogień.

Imel z przyjemnością opadł na krzesło i nie widząc innego kubka, ostrożnie napił się ciężkiego wina z butelki. Wydarzenia ostatnich godzin wyprowadziły go z równowagi, ale alkohol ogrzał go i uspokoił. Misje podobnego rodzaju nie leżały w jego naturze i znowu zaczął żałować, jak to czynił już nieraz, że nie skłonił jej do wysłania kogoś innego. Może tego nikczemnego Oxforsa Alremasa. Oczywiście nie cenił bardziej Alremasa w sprawach intryg i chytrej dyplomacji, ale czasami pycha tego pellińskiego możnowładcy była nieznośna i Imel zastanawiał się, co stałoby się z jego arystokratyczną wrażliwością, gdyby musiał znosić takie zniewagi, na jakie on był narażony.

Arbas wkrótce rozpałił ogień, używając suchego drewna z trumien. Większość dymu wysysał na zewnątrz wiatr i w środku było dość przyjemnie. Płomienie oświetliły wreszcie kryptę i Imel mógł lepiej przyjrzeć się Kane'owi.

Był to duży mężczyzna, wzrostu trochę ponad sześć stóp, chociaż zdawał się niższy z powodu ogromnej masywności ciała. Gruby kark, pierś jak beczka, silne, potężnie umięśnione ramiona i nogi – wszystko to robiło wrażenie wielkiej siły. Nawet dłonie były olbrzymie, a palce długie i mocne. Gdyby były mniej brutalne, można by je nazwać dłońmi artysty. Imel widział już takie dłonie przedtem – należały do osławionego dusiciela, którego egzekucji był świadkiem. Jako ilustracja cesarskiego prawa odcięte ręce były wystawione na pokaz wraz z wbitą na pal głową na placu Sprawiedliwości w Thovnosten. Wieku Kane'a trudno było się domyślić. Wyglądał na mężczyznę być może trzydziestoletniego, ale wydawał się jakiś starszy. Imel spodziewał się, że zostanie dużo starszego człowieka, więc przypuszczał, że Kane ma około pięćdziesięciu lat i dobrze się trzyma. Kane miał jasną skórę i jasnorude włosy umiarkowanej długości, równo przycięte. Brodę miał krótką, a rysy twarzy szorstkie i grube – zbyt prymitywne i toporne, by mógł uchodzić za przystojnego.

Kane wyczuł, że Imel mu się przygląda i nagle utkwiał w nim wzrok. Natychmiast i niespodziewanie wróciło to uczucie chłodu, które wcześniej ogarnęło Imela w chwili uderzenia pioruna. Oczy Kane'a były dwoma błękitnymi, pałającymi kryształami lodu. W ich wnętrzu drgnął zmrożony ogień szaleństwa, śmierci, męki i

piekielnej nienawiści. Przeszywały one Imela na wylot, docierając do jego najbardziej skrytych myśli, paląc jego samą duszę. To były oczy oszalałego mordercy.

Z okrutnym śmiechem Kane odwrócił się, uwalniając Imela spod swych niesamowitych oczu. Imelowi zmąciło się w głowie i z trudem opanował ogarniającą go ślełą panikę. W otępieniu jego ręka zaczęła, szukać butelki. Chętnie skorzystał z przywracających siły zalet wina.

Ta, która wysłała go z misją do Kane'a, zawsze wzbudzała w Imelu uczucie odrazy. Ona była tylko spaczonym, zrujnowanym naczyniem nienawiści, które utrzymywała przy życiu zdeprawowana żądza zemsty. To prawda, że żaden człowiek nie mógł zbliżyć się do niej nie odczuwając mrocznego ognia jej szalonej nienawiści. Jednak ta odraza była niczym w porównaniu z przerażeniem, które poraziło Imela, gdy spojrział w oczy Kane'a. Płonął w nich obłęd połączony z zimną żądzą mordu. Nerozumne pragnienie zabijania, niszczenia, paląca nienawiść do wszystkiego, co żyje. Takie oczy ma śmierć przyjmująca nowych zmarłych albo księżę Tloluvin witający jakąś ohydłą potępioną duszę w swym królestwie wiecznej ciemności.

– Więc, Imelu, jaki masz do mnie interes?

Imel wyrwał się z zamyślenia, gdy Kane zwrócił się do niego. Podnosząc wzrok zobaczył, że Kane porzucił miejsce przy palenisku i przysiadł na stole naprzeciw niego. Obserwował go z bliska z kpiącym uśmiechem na twarzy. Piekielny ogień jego oczu przygasł nieco, lecz żarzył się nadal. W długich palcach Kane obracał srebrny pierścień. Imel przypuszczał, że pochodził on ze stosu metalowych przedmiotów w krypcie.

– Byłoby lepiej, gdybyś miał naprawdę dobry powód domagać się spotkania ze mną. Nie żebym miał mało czasu w tej dziurze, ale twoje pojawienie się naraziło mnie i Arbasa na pewne niebezpieczeństwo. – Podniósł pierścień do światła, aby go ocenić. Wyraźnie był zaintrygowany jego skomplikowanym szlifem. – Oczywiście jesteś pewien, że nikt cię nie śledził..

Kane przysunął bliżej lampę, by lepiej obejrzeć pierścień. Imel zmarszczył brwi zirytowany.

– Interesujące... – mruzczał Kane, podsuwając pierścień do światła. Z wielkiego ametystowego oczka wydobył się

rozproszony fioletowy blask. Imel poznał pierścień i zdjął go zimny strach. Sięgnął dłonią do miecza u boku. Ledwo dotknął rękojeści, gdy czyjeś ramię odchyliło jego szyję do tyłu i ostrze sztyletu boleśnie ucisnęło mu skórę na gardle. Arbas! Zupełnie zapomniał o zabójcy.

– Nie zabijaj go jeszcze, Arbas – powiedział Kane, który przez cały czas nawet nie drgnął. – Wiesz, wydaje mi się, że Imel zna ten pierścień.

Zabójca mocniej nacisnął na ostrze sztyletu, gdy Thovnozjanin chciał wstać.

Imel podporządkował się.

– Jak się tego domyśliłeś? – zapytał Arbas, udając ogromne zdumienie.

– Chyba dlatego, że twarz mu zbladła, gdy go zobaczył. A co ty o tym sądzisz?

– Mógł go zdumieć tak wielki szafir.

– Nie, wątpię. Poza tym to jest ametyst.

– Wszystko jedno.

– Nie, wydaje mi się, że jesteś na niewłaściwym tropie, Arbasie. Mogę się założyć, że Imel właśnie myślał, u kogo znajomego ostatni raz widział ten pierścień na ręce. Powiedzmy, że u tego wielkiego, skradającego się drania, który śledził was obu.

W głosie Arbasa zabrzmiała złość:

– Śledził nas! Posłuchaj, Imel, wygląda na to, że wyszedłem na łatwowiernego. – Wcisnął sztylet głębiej.

Imel oddychał chrapliwie, usiłując odsunąć gardło od kłującego ostrza.

– To myceański nóż – wyjaśnił Imelowi do ucha zabójca. – Ci z górskich klanów tygodniami wykuwają stal, tak właśnie ją kształtując. Mówią, że stal staje się słaba i krucha jak ta z nizin, jeśli nie napije się dobrze ciepłej krwi wroga co jakieś dziesięć dni.

– Stąd, gdzie siedzę, wydaje mi się, że to pellińska robota – zauważył Kane.

– To dlatego, że pelliński rzemieślnik dorobił mi do niego rękojeść – odpowiedział Arbas urażonym tonem. – W każdym razie szlachcic, który był właścicielem tego noża, zanim go zabiłem, przysięgał, że to myceańskie ostrze. Nie można się

pomylić co do stali – popatrz, jak gładko przetnie gardło Imelowi.

Kane potrząsnął głową i wstał.

– Może później. Pozwólmy mu na razie oddychać. Tak się złożyło, że tylko jeden człowiek was śledził, a ja na niego czekałem. Myślę, że teraz Imel będzie mówił swobodnie. – Utkwił w Imelu mordercze spojrzenie swych oczu płonących wściekłym gniewem. Imel wiedział, że śmierć jest blisko.

– Kim on był? Dlaczego szedł za tobą? – Kane nie marnował czasu na ostrzeżenia przed kłamstwem, a Imel pewnie i tak nie mógłby skłamać pod zimnym spojrzeniem tych oczu.

– To był oficer, który towarzyszył mi z Thovnos. Był moim Strażnikiem. Chodziłem po najbliższych dzielnicach Nostoblet, usiłując cię znaleźć i uważałem za konieczne, by towarzyszył mi w dyskretnej odległości. Dziś wieczór rozkazałem mu iść za sobą, kiedy wyszedłem z Arbasem.

Kane zastanawiał się długo.

– Tak, bo nie wierzyłeś mi, i nie bez przyczyny. Kiedy tylko zostałbyś sam, Arbas zabiłby cię bez skrępowania dla kosztowności, jakie posiadasz – gdybym nie nakazał mu przyprowadzić cię tutaj. Ciekawość z mojej strony. Wszystko, co przyjaciel Bindoff mógł mi powiedzieć, to to, że jesteś młodszym potomkiem nieco zubożałego thovnozyjskiego rodu posiadaczy ziemskich, człowiekiem wątpliwej uczciwości, lecz podobno pomysłowym, i że przybyłeś do niego z dość ciekawymi listami polecającymi, aby zapytać, gdzie mnie szukać. Jesteś więc usprawiedliwiony, co nie znaczy, że ci darowałem. Gdy każda poczciwa dusza w całej Południowej Lartroxii żąda mej krwi, nie mogę ryzykować. Twoje przybycie było ryzykiem, a to, że przybyłeś z eskortą, jeszcze większym. Chyba byłeś w łaskach u szczęścia dziś w nocy, bo nie znalazłem śladów wskazujących, że twój przyjaciel był śledzony. W każdym razie zmuszony byłem czekać na deszczu jeszcze długo po tym, jak uporałem się z Jednouchym, aby upewnić się, że nikogo z nim nie było. Widzisz, Imelu, tobie też nie ufałem. A więc czekałem sobie wśród głązów obok ścieżki. Patrzyłem, jak ty i Arbas przechodzicie obok, a potem spotkałem twojego przyjaciela. Musiałem go mocno wystraszyć. Trzeba jednak przyznać, że miał ciekawy pierścień.

Z pozorną beztroską rzucił pierścień na stos przedmiotów

skradzionych z grobowców. Gestem nakazał rozczarowanemu zabójcy uwolnić Imela, po czym zapytał:

– Raz jeszcze. Czego chcesz?

Imel powoli wypuścił z płuc powietrze, gdy ostrze sztyletu cofnęło się. Strużki potu piekły spływając po szkarłatnej linii na jego szyi. Zdawało mu się, że miejsce na karku, gdzie czuł gorący oddech mordercy, jest wysuszone. Zbierając się w garść, by zdobyć się na wysiłek, od którego zależało jego życie, Imel zaczął:

– Przysyła mnie ktoś, kto potrzebuje twych usług i chce zapłacić za nie po królewsku.

– Naprawdę? Trochę to ogólnikowe, ale miło brzmi. Bądź bardziej szczegółowy. W jakiej postaci?

– Bogactwo, władza, stanowisko, może królestwo.

– Teraz zaczynasz mnie zaciekawiać. Posłuchajmy szczegółów. Zwłaszcza dotyczących moich „usług”, jak to nazwałeś.

– Oczywiście. Lecz powiedz najpierw, co wiesz o sprawach Cesarstwa Thovnozyjskiego?

– O obecnych bardzo niewiele. Upłynęło sporo lat od czasu, gdy ostatni raz odwiedzałem te wyspy.

– W takim przypadku wybaczone, że rozpocznę nieco długą opowieść, by wyjaśnić swą misję.

– Jeśli mnie zainteresuje – mruknął Kane, a potem zawołał cicho: – Do diabła, spójrz tam! – Wstrętnego koloru żuk grabarz spadł z chrzęstem na stół i gramolił się zawzięcie w stronę migocącej lampy. Kane podniósł wielkiego skarabeusza i z fascynacją przyglądał się, jak przechodzi z jednej jego ręki na drugą. – Wysłannik zmarłych. Uwielbia wgryzać się w gnijące czaszki. – Popatrzył na ściągniętą twarz Imela. – Mów. Słucham.

Opowieść Imela

– Netisten Maril jest monarchą Thovnos i z tego tronu rządzi również Cesarstwem Thovnozyjskim – wyspiarską federacją na południe i wschód od wybrzeża Lartroxii, za Środkowym Morzem, które rozdziela kontynenty Lartroxii i Ziemię Południowe. Jak zapewne wiesz, cesarstwo powstało dwa wieki temu z podzielonego subkontynentu ośmiu dużych wysp, każda o powierzchni dwóch lub trzech tysięcy mil kwadratowych, wraz z tuzinem mniejszych wysp i niezliczonymi skrawkami ziemi, zbyt małymi, by o nich wspominać. Jako największa i najpotężniejsza wyspa Thovnos była stolicą cesarstwa przez większość jego dziejów, a Netisten Maril jest prawnym potomkiem rodu, który od dawna przysparzał silnych, zdolnych władców.

Kiedy jego ojciec, Netisten Sirome, zmarł, był tylko jeszcze jeden pretendent do tronu – starszy brat Netistena Marila, Leyan, który był nieprawym synem Netistena Sirome i uwodzicielskiej szlachcianki z Tresli. Ponieważ był bękartem, Leyan nie nosił królewskiego nazwiska i nie miał szans na wstąpienie na tron, chyba żeby Maril zmarł nie zostawiając męskiego potomka. Toteż był bardzo przygnębiony, gdy młodszy brat wcześniej ożenił się z odległą kuzynką z Quarnora, która wkrótce miała mu urodzić dziecko.

Jego młoda żona urodziła mu córkę, nazwaną M’Cori, i niedługo potem znów zaszła w ciążę. Lecz kiedy zbliżał się czas rozwiązania, zachorowała i umarła, nie wydając na świat dziecka. Plotki głosiły, że Leyan kazał ją otruć, by zapobiec narodzinom nowego potomka, ale wszyscy wiedzieli, że zawsze była chorowita i być może wysiłek urodzenia dwojga dzieci w krótkim odstępie czasu okazał się dla niej zbyt wielki.

Przez miesiące Maril był nieprzystępny i jego duszą szarpały silne namiętności. Najpierw dostał strasznego ataku bezsilnej wściekłości – sam otworzył łono swej żony i wyrwał zeń syna, któremu brakowało tylko kilku tygodni do normalnych narodzin. Kochał bardzo swoją żonę i kiedy wściekłość przerodziła się w rozpacz, dręczyło go poczucie winy. Obwinał się za to, że za

bardzo nalegał na swą młodą żonę, by urodziła mu syna. Czas powoli wyleczył go z emocji, które go dręczyły, lecz teraz stał się twardym i bezlitosnym mężczyzną. Jego charakter pogorszył się, a nigdy nie był łagodny. Zdawało się, że przepędził wszelkie myśli o małżeństwie, byłym czy przyszłym, mała M'Cori zaś cierpiała z powodu zaniedbania. To Leyan troszczył się o nią, nie tyle z litości, co dlatego, że sam spłodził dwóch silnych chłopców, Lagesa i Rogeta, i marzył mu się poprzez ożenek syna z M'Cori tron dla jednego z nich, jeśli nie dla siebie.

Upływające lata sprzyjały zamysłowi, jako że Maril pozostał niezona, a M'Cori wyrosła na dziewczynkę niezwyklej urody i naiwności graniczącej z prostodusznością. Była wzruszająco wdzięczna stryjowi i bardzo przywiązana do jego synów. Lages i Roget wyrosli na silnych młodzieńców będących dumą swego ojca. Obaj byli wyszkoleni w posługiwaniu się bronią i dowodzeniu, urodziwi i dworscy w obejściu. Leyan widział w nich prawdziwych księżąt krwi. Dlatego też był zrozpaczony, gdy Roget, starszy i mniej lekkomyślny z jego synów, zginął śmiercią bohatera w wieku 22 lat, prowadząc armię swego stryja przeciw buntownikom na wyspie Fisitii. Został pomszczony przez brata, Lagesa, który nadrabiał gwałtownym temperamentem brak błyskotliwości typowej dla Rogeta. M'Cori uczestniczyła w żałobie po Rogecie, cała trójka bowiem chowała się razem jak rodzeństwo, lecz kiedy żałoba się skończyła, ona i Lages zostali kochankami.

I wtedy, cztery lata temu, Leyan zauważył coś, co zagrażało jego starannie przygotowywanym planom. Netisten Maril znowu się zakochał.

Z przeklętej wyspy Pellin na północy przybyła kobieta nieziemskiej urody. Nazywała się Efrel. W jej żyłach płynęła świetna krew, a ród Efrel dał swe imię wyspiarskiemu królestwu, którym rządził przez wieki. Kiedy tworzyło się cesarstwo, myślano, że to władcy Pellinu będą nim rządzić, jako że ich krew była najstarsza i najszlachetniejsza. Lecz dla Pellinu nastąpiły mroczne czasy i podupadłe, starzejące się królestwo nie mogło być przeciwnikiem dla młodszych i silniejszych królestw na południu. W samej rzeczy, wszelkie zagrożenie dla dominacji Thovnos pochodziło od jego młodszych sąsiadów, a nie odległego

Pellinu, choć nie jest tajemnicą, iż władcy Pellinu zawsze marzyli o tym, by kiedyś dzierżyć władzę cesarstwa w swych rękach.

Wyspa ta miała złą sławę od najwcześniejszych dni, gdy ludzie po raz pierwszy przebyli Zachodnie Morze i osiedlili się w tamtych stronach. Nasza historia jest długa i wiele z tego, co działo się w wiekach poprzedzających powstanie cesarstwa, zostało przeplecione legendami i mitami. Mimo to dziwne kamienne ruiny, które można znaleźć w pewnych opustoszałych okolicach wysp, są wciąż nieodgadnioną zagadką. Nic nie wiemy o rasie, która zbudowała te monolityczne twierdze. Legenda mówi, że ruiny były tam już przed przybyciem ludzi na wyspy. Z pewnością te rozsypujące się kamienie są niezwykle stare i żaden człowiek nie domyśla się, ile wieków upłynęło od czasu, gdy wzniesiono te gigantyczne twierdze, ani czyją ręką zostały zburzone. Istnieją ciekawe podania, wspominające o przerażających płaskorzeźbach przedstawiających kolosalne sceny walk między potwornymi morskimi bestiami, rodem z koszmarnego snu szalonego boga. Pierwsi żeglarze, którzy osiedlili się na wyspach, opowiadali straszne rzeczy o tym, co było wyryte na niektórych starych kamieniach – o okropnych scenach, które starali się zniszczyć na zawsze w przerażeniu ciosami młotów i dłut. Żadna z tych płaskorzeźb nie zachowała się do naszych czasów, by potwierdzić opowieści. To na wyspie Pellin można znaleźć najwięcej tych porośniętych mchem ruin – i nie są one tak zniszczone, jak na południowych wyspach.

Z pewnością nie tylko z powodu niezmiernych głębiny wód na północ od Pellinu żaden rybak nie ośmielił się zarzucić sieci w tej okolicy, a kupcy zbaczają wiele mil z kursu, by nie płynąć tamtędy. Ten rejon Zachodniego Morza zwany jest Sorn-Ellyn, co, jak mówią, znaczy „Bezdenne Morze” w archaicznym języku. Jego głębiny nigdy nie zostały zbadane. Legendy głoszą, że Ziemia tam się rozpekła i wody Sorn-Ellyn spływają do kosmicznego oceanu, na którym pływa nasz wszechświat. Ciekawa koncepcja wywodząca się oczywiście z ludowych podań o stworzeniu wszechświata – chociaż filozofowie od tamtej pory wynaleźli ciekawsze teorie do dyskusji.

Trudniej pominąć straszne i niepokojące historie opowiadane od lat przez niewielu ludzi, którzy wypłynęli na Sorn-Ellyn i

powrócili – a przynajmniej tak twierdzili. Rozgłaszali oni fantastyczne opowieści o upiornych światłach widzialnych w nocy w głębi morza, o niesamowitych ledwo widocznych kształtach, które pływały po czarnych falach nocą przy pełni księżyca. Niektórzy twierdzili, że słyszeli niesamowity gwizd dobiegający spod powierzchni morza, pisk, który sprawiał, że ludzie krzyczeli z bólu, a psy pokładowe wściekały się ze strachu. Powiadają, że okropne morskie potwory zamieszkują wody właśnie Sorn-Ellyn, ohydne stworzenia, potrafiące wciągnąć pod wodę cały statek i jego załogę. Najstarsze legendy mówią o starej rasie demonów zamieszkujących czarne głębie Sorn-Ellyn, które z radością topią wszystkich głupców, którzy odważyli się wejść na obszar ich zatopionego królestwa.

Z tymi mrocznymi legendami o przeszłości łączą się historie, o których marynarze mówią jeszcze dziś ze strachem w oczach. Takie opowieści są wykpiwane za dnia lub opowiada się je dla miłego dreszczyku nad kuflem piwa, ale nie wspomina się o nich w nocy czy na morzu.

Oto jedna z nich:

Kilka lat temu kapitan z Tresli płynął do domu z bogatym ładunkiem zboża z Lartroxii. Nie chcąc narażać swego ładunku na wilgoć oceanu dłużej, niż to konieczne i aby przybyć do portu przed konkurencją, zdecydował się popłynąć na północ przez Sorn-Ellyn, zamiast krętą trasą przez wyspy na południe od Pellinu. Załoga była niespokojna, ale kapitan przekupił ich obietnicą dodatkowej zapłaty, wiedząc, że jego zboże osiągnie wyższe ceny, jeśli przypłytnie przed rywalami.

Kiedy wypłynęli na Sorn-Ellyn, obserwator zauważył rozbitą statek. Podpłynęli bliżej i ujrzeli roztrzaskany fragment kadłuba ammurańskiego statku, a na nim przywiązane do belek samotnego rozbitka. Żeglarz ten dryfował wiele dni po katastrofie, lecz to nie chłód, tylko brak żywności i wody zmienił go we wrzeszczącego, bezrozumnego szaleńca. Dostał szału, gdy wciągnięto go na pokład. Odpychając tych, którzy usiłowali opatrzeć rany na jego udreńczonym ciele, krzyczał obłędnie o śliskich, czarnych mackach i morskich demonach bez twarzy. Przywiązujący go do łóżka marynarze z odrazą patrzyli na okropne blizny, które znaczyły jego wychudzone ciało, tak jakby

człowiek ten został owinięty ogniwami rozpalonego do czerwoności łańcucha.

Niewiele można było zrozumieć z jego żalosnego bełkotu, lecz wydobyto zeń dość, by kapitan zawrócił statek i szybko odpłynął, chcąc uniknąć pewnego buntu. A co najdziwniejsze, pierwszej nocy po uratowaniu go rozbitek nagle zbudził się z koszmarne go snu, zerwał więzy, które go krępowały, i z nieludzką siłą wyrwał się usiłującym go zatrzymać. Śmiejąc się i bełkocząc, skoczył do morza. Marynarz, który przyglądał mu się, jak odpływa, przysięgał, że zobaczył dziwne światło palące się pod powierzchnią ciemnych wód, a kilku innych twierdziło, że słabo słyszało niesamowity, buczący dźwięk dochodzący z głębin.

Istnieje jeszcze wiele innych dziwnych opowieści – dość, by pokazać, że coś niedobrego otacza Pellin i morze wokół niego. Ten sam cień zła wisi nad królewską rodziną, wiadomo bowiem, że władcy Pellinu od dawna zajmowali się tajemnicami, których lepiej było nie zgłębiać. Wiadomo powszechnie, że pradziadek Efrel zamordował swoją najmłodszą wnuczkę i wykąpał się w jej krwi, by wróciła mu młodość. Czy mu się udało, nigdy się nie dowiemy, ponieważ jego rozwścieczony syn wypruł mu wnętrzności wkrótce potem.

Powiadają, że głęboko pod piwnicami i lochami Dan-Legeh, Czarnej Twierdzy władców Pellinu, znajduje się wielka podziemna komnata. W tej ogromnej jaskini pellińscy książęta od wieków torturowali swych wrogów i zgłębiali mroczne tajniki wiedzy czarnoksięskiej. Ci nieliczni obcy, którzy weszli do owej komnaty i wyszli z niej o zdrowych zmysłach, opowiadali o wielkiej sadzawce w podłodze jaskini, sadzawce, której wody wznosiły się i opadały zgodnie z odpływami morza. W czarnych głębinach tej sadzawki zniknęło wiele tajemnic, którymi Pellin nie uważał za stosowne się dzielić.

Ale wracając do spraw czasów teraźniejszych i do Efrel:

Do tej samej tajemnej komnaty pewnej nocy trzydzieści lat temu Pellin Othrin, wtedy monarcha Pellinu, zaniósł wrzeszczącą, nagą dziewczynę – i choć była to jego nastoletnia kuzynka Wehrle, nikt nie ośmielił się mu przeszkodzić. Co tam robili, nikt nigdy się nie dowiedział, o świcie bowiem Wehrle wyczołgała się stamtąd pólżywa z obłędem w wytrzeszczonych

oczach. Pellin Othrin nie powiedział ani słowa o tym, co się wydarzyło, nikt też nie ośmielił się zapytać. Wkrótce potem Lyrde, żona Othrina, która nie dała mu dzieci, niespodziewanie zachorowała i umarła. Jeszcze popioły jej stosu nie ostygły, gdy Othrin oświadczył, że uczyni Wehrle nową królową.

Niektórzy dziwili się, że chce żenić się z tą nieszczęsną dziewczyną, gdyż wiadomo było, że Othrin nie ma odrobiny litości w sercu. Nie mogli również zrozumieć, dlaczego Othrin zabił medyka i położną, którzy byli przy narodzinach jego córki kilka miesięcy później, dziecko bowiem było normalne pod każdym względem.

Tą córką była Efrel. Szaleństwo Wehrle pogłębiło się po urodzeniu Efrel tak, że czasami trzeba było ją powstrzymywać, by nie rzuciła się na dziecko. Pellin Othrin umieścił żonę w osobnych komnatach ze służbą mającą stale czuwać na wypadek jej ataku. Kiedy Efrel podrosła i można było odstawić ją od matczynej piersi, oddano ją niańce, po czym o Wehrle więcej nie mówiono i nikt nie ośmielił się o nią pytać. Gdy Efrel była starsza, Othrin trzymał ją u swego boku i osobiście przykładał starań do jej wykształcenia zarówno w sprawach rządzenia, jak i tajemnej wiedzy władców Pellinu.

Pewnej nocy znaleziono Pellina Othrina zaduszonego w jego komnatach, choć nie słyszano żadnego krzyku. Straż nie umiała wyjaśnić, jak morderca nie zauważony prześlizgnął się obok nich, ani nie domyślała się, jakiego to dusiciela sznur poznać ciało ich pana krwawymi pręgami, nie wiedziała też, skąd wzięły się wodorosty wplątane w jego brodę.

Jego nagła śmierć zostawiła Pellin bez następcy tronu, lecz w długiej historii Pellinu był już przypadek, gdy wyspą rządziła kobieta. Pellin Othrin wyuczył swoją córkę dobrze, tak więc Efrel wstąpiła na starożytny tron Pellinu jako królowa. Wkrótce miała również zostać cesarzową.

Mówiono o Efrel, że studiowała demonologię i tajemne sztuki z pasją przewyższającą zapał jej bezbożnych przodków. Być może kierowała nią żądza wskrzeszenia starej chwały rodu Pellinów, który nieubłagane usuwał się w cień w rosnącym cesarstwie. Może szukała sposobów, by ożywić anemiczną krew jej rodu, którego potomkowie z każdym pokoleniem stawali się słabsi i

mniej liczni, a obłęd, który prześladował królewski ród Pellinu, nasilał się.

Oprócz tego uparta plotka głosi, że Efrel jest tylko w połowie człowiekiem, że jej prawdziwym ojcem nie był Pellin Othrin, ale wywołany przez niego demon, który spółkował z Wehrle tej nocy, gdy postradała zmysły. Z pewnością istnieją pewne powody, by bronić tej szeptanej teorii. Tłumaczyłoby to obsesyjne zainteresowanie Efrel czarną magią i innymi tajnymi naukami. Poza tym wyjaśniałoby jej nieludzkie piękno czy siłę życiową, będącą niczym chwast dla anemicznych kwiatów, do których podobni są inni jej krewni. Być może nienaturalne pochodzenie dało jej moc rozpalania żądz Netistena Marila, który mając trzydzieści kilka lat był mężczyzną zimnym i nieprzystępnym.

Netisten Maril ujrzał Efrel po raz pierwszy, gdy przedstawiono mu ją na dworze pewnego dnia. Poruszała się z wdziękiem w przylegającej, lecz powiewnej pięknej szacie z opalizujących łusek ślepych węży morskich wyciągniętych z Sorn-Ellyn. Kiedy zostali sobie przedstawieni przez służbę, jak tego wymagała dworska etykieta, uwodzicielka wyjaśniła Marilowi, że przybyła z Pellinu, by złożyć mu wyrazy szacunku, i pragnie pozostać czas jakiś na cesarskim dworze, co było przywilejem przysługującym członkom królewskiej rodziny. Od tej chwili Maril nie myślał o niczym innym tylko o Efrel, gdyż jej egzotyczne piękno, otaczająca ją atmosfera tajemniczości i być może jej czar całkowicie podbiły go i obudziły jego uśpione namiętności. Rozpalone po tak długim czasie, zapłonęły gwałtownym ogniem i wszyscy wiedzieli, że wkrótce Thovnos będzie miał nową królową.

Oczywiście ten bieg wypadków przeraził Leyana i wielu innych, którzy przepowiadali, że nic prócz nieszczęścia nie przyjdzie ze związku z niesławnym Pellinem. Lecz Maril zakochał się po uszy w tej bladokórej piękności o warkoczach jak niebo o północy i oczach tak ciemnych, że lśniły jak onyksy. Nawet ci, którzy nienawidzili tej najnowszej gwiazdy dworu, przyznawali, że jej piękno przewyższało pod każdym względem urodę każdej kobiety, jaką znali – łącznie z M'Cori, która pod opieką Leyana robiła karierę na cesarskim dworze dzięki swej niezwykłej urodzie. Wszelkie sprzeciwy co do bliskiego ślubu cesarza zostały skutecznie uciszone, gdy Maril rozkazał ściąć głowę zaufanemu

doradcy, rozwścieczony jego szczerą radą.

A więc wzięli ślub i cesarstwo przygotowało się do najlepszego wykorzystania nowej sytuacji. Jednakże Efreł, ku jej rozczarowaniu, wkrótce odkryła, że chociaż zwyciężyła na drodze do łóżka Marila, nie mogła wcisnąć się na jego tron. Maril był człowiekiem silnej woli i nie mieszał spraw osobistych z państwowymi. I tak Efreł stwierdziła, że jej ambicje rządzenia z tronu zmarły śmiercią przedwczesną mimo jej sprytu i tajemniczego uroku, a liczna szlachta, którą przywiozła jako swoją świtę, pozostawała nadal bez wpływów czy ważnych stanowisk.

W miarę upływu czasu Efreł zauważyła także, że nawet jej wpływ na uczucia Marila słabnie, jako że silne namiętności zbyt często wycieńczają ducha i wypalają się szybko. Co ważniejsze, mimo zaangażowania Marila Efreł nie mogła zająć się ciężką. Znowu miał nie doczekać się syna i to odnowione rozczarowanie ostatecznie zaważyło o jego uczuciach do niej.

Nie mogło być wątpliwości co do jego męskości, a więc to Efreł musi być bezpłodna. W przyływie posępnego humoru Maril być może przypomniał sobie stare plotki mówiące o nieludzkim pochodzeniu Efreł, wiadomo bowiem, że wszelkie hybrydy są bezpłodne. W gniewie zerwał stosunki z żoną, z wyjątkiem najbardziej oficjalnych.

Widząc, że nie uda jej się zrealizować swych ambitnych planów z Marilem, Efreł zwróciła się ku intrydze. Odszukawszy Leyana łatwo zwiodła go swą pięknnością i obietnicą pomocy w osiągnięciu cesarskiego tronu. Gdyby Netisten Maril zmarł nie zostawiając męskiego potomka, Leyan byłby jego następcą. Myśl ta oczywiście często przychodziła Leyanowi do głowy, ale dobrze wiedział, że jego przyrodni brat dobrze się zabezpieczył przed próbą zabójstwa, a nawet gdyby się udało, to on byłby oczywistym winowajcą i ofiarą.

Lecz niejedynemu mężczyźnie zapomniał o wszelkiej ostrożności w ramionach kobiety, i tak też się stało z Leyanem. Oboje spiskowali, by zabić Netistena Marila powoli działającą trucizną pomysłu Efreł, której pewne toksyny miały wywołać skutki naturalnej choroby. Wszelkie sprzeciwy na dworze skierowane przeciw sukcesji Leyana miały być stłumione przy pomocy wojsk,

których lojalności byli pewni. Spisek był już dobrze zaawansowany i wielu możnowładców przysięgło wierność Leyanowi w zamian za obietnicę nagród, gdy już wstąpi na tron. I wtedy na spiskowców spadł cios.

Maril zawsze był czujny, gdyż spodziewał się spisku szczególnie ze strony swego przyrodniego brata. Podejmował wszelkie środki ostrożności i jego system szpiegowski był sprawniejszy, niż Efrel i Leyan podejrzewali. Dzięki temu Maril dowiedział się o spisku, nim mógł on dojrzeć. Pewnej nocy zaskoczył ich oboje w sypialni Efrel i oświadczył, że wszyscy, którzy spiskowali z nimi, są w tej chwili aresztowani.

Leyan wstał z pościeli na czas, by wyciągnąć miecz, jeśli nawet nie zdążył naciągnąć spodni, zanim wtargnęła straż Marila. Maril, z typową dla niego brawurą, rozkazał swym ludziom nie wtrącać się i radośnie oczekiwał na atak przyrodniego brata. Nastąpiła zawzięta walka, w wyniku której Leyan mógł zdobyć cesarstwo, gdyby wygrał pojedynek, a jedyną alternatywą była pewna śmierć. Ci, którzy im się wtedy przyglądali, przysięgali, że dwaj doświadczeni weterani, zaprawieni w wielu bitwach i wyszkoleni stałymi ćwiczeniami, walczyli przez pełne pół godziny, choć łatwo zrozumieć przesadę. Leyan był uważany za lepszego szermierza, lecz Maril, jak sędzę, z wyrachowaniem wybrał moment, gdy jego brat był odurzony winem i niedawnymi igraszkami miłosnymi. Poza tym Leyan był nagi, a Maril miał na sobie zbroję.

Stopniowo Maril spychał go, powoli osłabiając zaciekle obronę, parując jego zręczniejsze zadane ciosy z rosnącą pewnością. Małe skaleczenie tu, ledwo odparte uderzenie tam – cięcia, które zatrzyma zbroja, lecz nie nagie ciało. Wreszcie Leyan poruszył się o uderzenie serca za wolno, by odparować mylące pchnięcie potężnego ramienia Marila. Ostrze miecza wbiło się w jego bok i Leyan padł. Jego ostatnie przekleństwa zdławiła krew wypełniająca przebite płuca. Spośród konspiratorów spotkał go najłagodniejszy los.

Powiadają, że Efrel usiłowała wtedy popełnić samobójstwo, lecz strażę były szybsze i zatrzymały sztylet, nim wbiła go w swą pierś. Maril zostawił ją obok zwłok pod ścisłą strażą, by rozmyślała nad losem, który ją czeka wraz z nastaniem nowego

dnia.

O świcie Maril rozesał heroldów, by ogłosili mieszkańcom Thovnos o udaremnionym spisku i wezwali ich na egzekucję w południe. Lud zgromadził się licznie na głównym placu, żądny widowiska, obiecanego jadła i napojów rozdawanych darmo, by uczcić ich wierność Netistenowi Marilowi. Domokrażcy, handlarze i przekupnie spadli jak sępy z bezchmurnego nieba.

Efrel przybyła odziana w swą najwspanialszą suknię i klejnoty. Ci, którzy mieli pamięć do takich rzeczy, poznali, że była to szata, którą miała na sobie, gdy po raz pierwszy zauroczyła Marila. Siedziała jak zwykle na tronie u boku Marila, lecz zamiast panien służebnych towarzyszyli jej strażnicy. Wtedy, na oczach Efrel, wyprowadzono sześciu możnowładców, którzy przysięgali wierność, i przywiązano ich do ram wzniesionych w ciągu nocy. Po tym, jak ich języki potraktowano rozżarzonymi do czerwoności obcęgami, ręce i nogi zaś prętami żelaznymi, przyprowadzono ich rodziny i służbę. Powoli, nie łamiąc karków, by przedłużyć mękę, powieszono każdego mężczyznę, kobietę i dziecko przed oczyma władców. Gdy już stali się świadkami śmierci swych wszystkich bliskich, spiskowców w przemyślny sposób wbito na pale i zawieszono jak woły na rożnie nad wolnym ogniem. Straszna to kara, lecz takiej domagały się prawa za spisek przeciw prawowitemu władcy.

Przez długie popołudnie, nastał już bowiem niemal zmierzch, gdy umarł ostatni spiskowiec, Efrel zmuszona była przyglądać się okropnemu widowisku, a jej cierpienie było tym większe, że cały czas traktowano ją z szacunkiem. Co musiało przebiegać przez jej głowę, tylko bogowie wiedzą. Wiedziała, że Maril nie zna litości, że jest człowiekiem gwałtownym. Wiedziała, że nie może liczyć na łaskę, lecz, być może, wśród tego okropnego oczekiwania miała iskrę nadziei, że Maril obejdzie się łaskawiej z tą, którą kiedyś kochał. Była to daremna i głupia nadzieja.

Kiedy ostatnie potworne zwłoki przestały drgać i tłum kręcił się z nudów, oczekując na finał długiego widowiska, Maril zwrócił się do Efrel:

– Dla ciebie, Efrel, kłamliwa dziwko o węzowych pocałunkach, wymyśliłem mniej pospolitą śmierć. Taką, która odpowiada twym zwierzęcym żądom i szlachetnej krwi.

Znalazłem ci małżonka równie jak ty łagodnego charakteru i nieskażonej moralności. – Efreł kuliała się ze strachu przed jego wykrzywioną wściekłością twarzą i zdławionym gniewem głosem, gdy Maril dał znak straży.

Kilku silnych niewolników wyszło na plac. Prowadzili wściekle wierzgającego dzikiego byka. Musieli ze wszystkich sił trzymać zwierzę, doprowadzone bowiem było do szału bólem i narkotykami. Jeszcze bardziej musieli wysilać się ci, którzy trzymali Efreł, gdyż na widok tego, co ją czeka, zaczęła się wyrywać opętańczo.

Straż wyniosła na plac szarpiącą się kobietę, piękną mimo przerażenia, w całym jej wspaniałym stroju. Tam przykuli jej przeguby do dwóch długich srebrnych łańcuchów, które przymocowano do obroży na karku byka. Część tłumu odsunęła się na bok i byka z cesarżową wyprowadzono na wąską uliczkę prowadzącą przez miasto do bram.

Gdy Efreł zrozumiała beznadziejność swego oporu, strach ustąpił miejsca jadowitej wściekłości. Przekląła Netistena Marila i przysięgła zemstę w taki sposób, że zmroził on dusze tych, którzy byli już syci widoku męki. Przysięgła na obcych bogów, że wróci wydrzeć Marilowi tron i wszystko, co posiada, że sprowadzi szkarłatne płomienie i całkowite zniszczenie na Thovnos. Maril wyśmiał ją i dał znak, by niewolnicy puścili byka.

Z ostatnim wrzaskiem niehumanitarnej nienawiści Efreł została zwalona z nóg i pociągnięta po chodniku, gdy rozszalały byk skoczył. Rozwścieczona bestia mknęła krętymi, brukowanymi uliczkami, chcąc wrócić na wolność do swych łąk. Byk biegł na łeb na szyję obok murów i budynków, drażniących go istot, chat i lepianek, po bruku, który ustąpił miejsca ziemi. Nie myślał ani przez chwilę o niewielkim ciężarze, który podskakiwał i toczył się za jego kopytami, o wyjącej, zgniecionej istocie, która zostawiała za sobą ślad krwi i zdartego ciała na szorstkim bruku, po którym była wleczona.

– Dziwka opuszcza nas ze swym nowym małżonkiem! – ryknął Maril. – Niewiele zostanie z niej dla pana młodego, kiedy już wyniesie ją za nasze mury, ale życzę mu z nią szczęścia! Niech jej wężowe ciało leży nie pogrzebane tam, gdzie padnie – i niech nikt nie wypowiada jej imienia przy mnie! – W ten sposób Netisten

Maril chciał o wszystkim zapomnieć.

Lepiej byłoby dla Marila, gdyby najpierw upewnił się co do jej śmierci. Kilku wiernych Efel dworzan uniknęło gniewu Marila. Schwytali oni byka, gdy o zmierzchu wybiegł za miasto, i tam go zabili. Chociaż uczynili to z zamiarem odzyskania ciała królowej, by wyprawić jej godny pogrzeb, odkryli, ku ich ogromnemu zdumieniu, że okaleczone ciało wciąż żyje!

I znowu zdaje się, że zawdzięczała to pół ludzkiemu, pół diabelskiemu pochodzeniu, bo z pewnością tylko ktoś o nieludzkiej sile życiowej mógł przeżyć podobną kaźń. A jednak Efel przeżyła, bo Pellińczycy natychmiast zanieśli ją na statek, który ukryli w tajemnej zatoczce i odpłynęli do ojczyzny. Obawiając się nieubłaganego pościgu, gdyby Maril dowiedział się, że Efel żyje, wszyscy przysięgli zachować tajemnicę i postanowili nie powiedzieć nic ponad to, że odzyskali ciało królowej. Żaden logicznie myślący człowiek nie podejrzewałby nic więcej.

Było to niemal dwa lata temu. W tym czasie Efel wyzdrowiała dzięki swej niezwyklej witalności i umiejętnościom dworskich medyków. Nie jest już jednak kobietą nieziemskiej piękności, lecz ohydnie okaleczonym wrakiem człowieka, który ukrywa się przed wzrokiem ludzkim. Życie w jej zmiażdżonym ciele trzyma się tylko dzięki trawiącej wszystko chęci zemsty na Netistenie Marilu i wszystkim, co jego.

W swych ukrytych komnatach we wnętrzu Dan-Legeh Efel tka pajęczynę zemsty i tylko zaufana elita jest wtajemniczona w jej rozkazy.

Nieustannie od czasu powrotu do zdrowia knuje, chcąc zgromadzić wokół siebie armię. Jeszcze bardziej pogrążyła się w tajemnicach okultystycznych, by siły z innych wymiarów pomogły jej w zemście. Inni z jej rodu są bezsilni lub nie chcą powstrzymać jej niszczycielskich zamysłów. Jej tajny spisek przeciw Thovnos i jego monarsze posuwa się naprzód każdego dnia, a Efel szuka wszędzie tych, którzy mogą jej pomóc. Wkrótce rozmiary przedsięwzięcia muszą zdradzić Marilowi jego istnienie, zakładając, że jeszcze nic nie podejrzewa.

W jakiś niewiadomy sposób Efel dowiedziała się o twojej obecności tutaj, panie, i przekonana jest, że twoje dowództwo jest niezbędne dla zwycięstwa jej buntu. W związku z tym wysłała

mnie jako swego posłańca, bym zapewnił twą pomoc.

Na zakończenie Efreł wysuwa taką propozycję: przyjmij dowództwo jej sił morskich, a gdy zwyciężymy, nagrodą twą będzie królestwo, wyspa twego wyboru, z wyjątkiem Thovnos i Pellinu.

Gdy Imel skończył opowiadać, zapadła cisza. Kane sączył wino zamyślony nad opowieścią. Żuk grobowy zrezygnował wreszcie z obsesyjnego dążenia do lampy i uciekł w jakimś nieznanym kierunku.

Wreszcie Kane odwrócił się do Imela i powiedział:

– Cóż, twoja opowieść zainteresowała mnie. Będę musiał przyjrzeć się bliżej planom twojej królowej, zanim zdecyduję się ostatecznie, ale to, co mówisz, brzmi atrakcyjnie. Dramatyczne, lecz co do treści zgadza się z różnymi rzeczami, jakie słyszałem od czasu do czasu. Główny problem, to jak się stąd wydostać? Przypuszczam, że poczyniłeś starania w tym kierunku?

Imel poczuł, jak powoli opuszcza go napięcie. Pierwsza część jego misji zakończy się powodzeniem. Reszta przebiegnie na bardziej mu znanym gruncie.

– Tak, mamy mały statek, szybki i z dobrą załogą, ukryty w zatoce na wybrzeżu, jakieś trzydzieści mil stąd. Jeśli dotrzemy do niego, sądzę, że zdołamy uciec lub przebić się przez każdą blokadę – ci Lartroxianie nigdy nie byli wiele warci na morzu.

– Nasza lekka kawaleria jest wystarczająco dobra – warknął Arbas w nagłym przypiływie jakby patriotyzmu.

– To prawda – przyznał Imel. – I tu leży nasze największe niebezpieczeństwo. Konne patrole strzegą dróg i przejść przez góry, więc będziemy musieli przekraść się obok nich albo planować walkę w czasie ucieczki. Na szczęście władze zanedbują się w pościgu za tobą, Kane, i nie będziemy mieli tyle kłopotów co, powiedzmy, dwa miesiące temu.

– Tak, wiem o tych parszywych patrolach. Czekałem, aż ich czujność jeszcze bardziej osłabnie – powiedział Kane. – Brak pośpiechu ma swoje dobre strony...

– Dłużej nie możemy czekać, niestety. Już nadużyliśmy szczęścia, czekając tak długo. Jeśli statek zostanie odkryty, wszystko przepadnie. Nie zatrzymujmy się dłużej niż do jutrzejszej nocy.

– Ilu masz ze sobą ludzi?

– Siedmiu, nie, sześciu – poprawił Imel.

– Powinno wystarczyć, by przebić sobie drogę w czasie walki, ale trudno będzie tylu ludziom prześlizgnąć się niezauważenie obok dużego patrolu. Kane pogładził brodę w zamyśleniu. – Idziesz z nami, Arbas?

– Nie, dziękuję – odparł zabójca. – W moim zawodzie mam dość zysków i wrażeń jak na mój gust. Konspiracja na dużą skalę nie odpowiada mi.

Następną godzinę spędzili ustalając szczegóły i wymieniając anegdoty nad dzbanem wina. Imel zaczął myśleć, że Kane mógłby dać się lubić, gdyby unikać jego oczu. Ten mężczyzna stanowił dla niego zagadkę – gigantyczny, piekielnie silny, zahartowany wojownik, a jednocześnie nie tylko barbarzyński banita, lecz człowiek o chłodnej inteligencji, którego wiedza była obszerna w każdej dziedzinie, jakiej dotknęła ich rozmowa.

Wreszcie, gdy burza nieco ucichła, Arbas i Imel wyslizgnęli się na zewnątrz i poszli ostrożnie z powrotem śliską od deszczu skalną półką. Byli już niemal za grobowcami, gdy światło latarni Arbasa padło na coś białego, zbliżającego się do nich.

– Uważaj! – syknął Arbas i wyciągnął miecz. Pokonując strach, jaki wzbudziło w nim dziwne zjawisko, Imel uczynił podobnie, mając nadzieję, że będą mieli do czynienia tylko z żołnierzami.

Arbas otworzył osłonę latarni i biały przedmiot nagłe padł z mokrym plaśnięciem. Słabo widoczne w migocącym świetle wychudzone postacie o trędownym ciele przykucnęły warcząc, a potem uciekły w cień. Kształty zniknęły w nocy, chociaż czasem można było zauważyć parę świecących oczu poza kręgiem światła lampy.

Ostrożnie obaj mężczyźni zbliżyli się do nieruchomej rzeczy. Imel nagle poznał, co to jest i zrobiło mu się niedobrze. Było to ciało nieszczęsnego strażnika, który ubezpieczał go i którego zabił Kane. Jedno spojrzenie wyjaśniało, skąd tu się wziął. Jego ciało było częściowo zjedzone – mięsiste części twarzy, rąk i nóg były wygryzione. Wnętrznosci ciągnęły się w poprzek skalnego występu.

– Ghule! – zaklął Arbas. – To ghule niosły go do swojej kryjówki, żeby nadgnił! Przyjrzał się cieniom z ponurą uwagą. – Miejmy

nadzieję, że te ścierwojady nie odważą się napaść dwóch uzbrojonych ludzi ze światłem!

– Ghule – powtórzył Imel. – Jaki człowiek wybrałby sobie na schronienie grobowiec nawiedzany przez ghule!

2.

О ТКАЧАХ И ПАЯЧЫНАХ

Burza rozszalała się na nowo po tym, jak Arbas wyszedł z posłańcem Efrel. Błyskawice strzelały rozdwojonymi językami w pożłobione skarpy, gromy biły w popękane kamienie, wstrząsały tymi, którzy spali butwiejąc w splądrowanych łożach grobowców. W kryjówce Kane'a dudniące echa brzmiały odległe i nierealnie. Błyski błękitnego światła wciskały się przez zasłonięte drzwi kapryśnym migotaniem.

Kane siedział zgarbiony na krześle, pijąc jeden kubek wina za drugim. Zwykle nie pił więcej, niż pozwalała na to konieczność stałego czuwania. Tej nocy jednak był w nastroju mroczniejszym niż burza na zewnątrz, a wrogowie, ludzie czy nieludzie, mogliby zakradać się dziś do niego tylko na swoją zgubę. Jego okrutna twarz ściągnięta była posępnym gniewem, a śmiercionośny ogień w zimnych oczach dorównywał wściekłością migotliwemu piekłu burzy.

Kane opróżnił kubek z mruknięciem i ostrożnie sięgnął po butelkę wina. Była pusta. Kane zaklął i rzucił nią w róg krypty, zaśmiecony potłuczonymi skorupami poprzednich. Grube szkło uderzyło w coś miękkiego nie roztrzaskując się. Kane wymamrotał przekleństwo i poszedł podnieść butelkę. Miał zamiar rozbić ją jak należy.

Butelka po winie upadła na stos gnijących śmieci w nie używanej części grobowca. Zawisła w powietrzu kilka cali nad skorupami. Jej grube, czarnozielone szkło było wysmarowane krwią i osoczem.

Kane pociągnął łyk z nowej butelki, którą odbił, idąc przez komnatę. Jego niesamowite oczy widziały w niemal zupełnej ciemności.

Pająk jaskiniowy utkał swą pajęczynę w niszach pełnych gnijących trumien i sardonicznie wyszczerzonych szkieletów.

Wielki jak dłoń Kane'a pająk porośnięty białym futrem złapał nietoperza. Ciężka butelka rzucona niedbale przez Kane'a w ślepym gniewie trafiła tkacza i jego zdobycz, miażdżąc ich na stercie śmieci. Splamiony posoką i jadem, oblepiony futrem i chityną przypadkowy pocisk powoli kręcił się w grubej pajęczynie. Piękna była ta pajęczyna i starannie utkana...

Kane zaśmiał się posepnie. Jego miecz rozciął pajęczynę, by zrobić z niej całun.

3.

UCIECZKA NA STATEK

Deszcz przestał padać, lecz ciszę nocy przerywał co jakiś czas pomruk grzmotu. Wysoko wśród rozłupanych skał strzegących nieuczęszczanej drogi, która prowadziła na górę skarpy, skulony za głazem siedział Kane. Obok niego leżał mały tobołek z rzeczami osobistymi i broń. Z kuszą pod ręką Kane przeszywał wzrokiem mrok na drodze, wypatrując śladu Imela i jego ludzi. Ze szlaku na dole nikt nie mógłby go zobaczyć, nawet uparcie szukając. Kane powiedział Imelowi, żeby się z nim spotkał nieco dalej, pod klifami, lecz zawsze licząc się z możliwością zdrady, wolał oczekiwać na renegata w dogodniejszym miejscu.

Z żalem pomyślał o bezcennych tomach czarnoksięskiej wiedzy, które był zmuszony zostawić. Cóż, większość z nich powierzył swojej pamięci, a Czarny Kapłan wkrótce odniesie te przeklęte księgi do ich nisz w mrocznych kryptach. Jego uwagę szczególnie przykuła bardzo wczesna transkrypcja monumentalnej „Księgi Starszych” Alorri-Zrokrosa. Kane dobrze wiedział, że późniejsze wersje mogły być śmiertelnie niebezpieczne z powodu błędów i opuszczeń. Przypuszczalnie znalazłoby się w jego plecaku miejsce na ten jeden opasy tom, lecz obawiał się, że rozsypujący się pergamin nie przetrzymałby oczekującej ich pośpiesznej ucieczki przed zemstą Konsorcjum. Może wróci do Lartroxii, gdy ci, którzy teraz go ścigają, już nie będą żyli, a ich przekleństwa zostaną zapomniane...

Do jego czujnych uszu dotarł dźwięk kopyt na kamieniach. Zbliźali się jeźdźcy – ale kim byli? Kane naciągnął cięciwę swej kuszy poza bezpiecznik i rozejrzał się po drodze oczami, które widziały w ciemności więcej, niż dane jest widzieć zwykłemu człowiekowi.

Ośmiu jeźdźców, dziewięć koni – najprawdopodobniej dodatkowy wierzchowiec był osiodłany dla niego. Zbliźali się chyłkiem. Żołnierze byliby równie czujni, lecz bardziej pewni siebie. Kane wyteżył wzrok i rozpoznał Imela na pierwszym

koni. Upewniwszy się, że to jego ludzie, Kane strzelił z kuszy przez drogę. Bełt wbił się w pień martwego drzewa i zadygotał. Zatrzymało to jeźdźców skutecznie, aczkolwiek gwałtownie.

– Nie posikajcie się ze strachu! To ja! – zawołał Kane do wystraszonych jeźdźców. Zbierając swoje rzeczy zszedł na dół po gałkach. Usłyszał na powitanie stłumione przekleństwa, gdy zatrzymał się, by wyjąć strzałę z twardego pnia. Żelazny grot wbił się weń z taką siłą, że najlepszą zbroję przeszłyby jak jedwab.

– Nikt nie jechał za wami? – zapytał Kane, wyrывая pocisk.

– Chyba nie, ale tylko zupełny dureń jest zawsze pewny. Czy musiałeś napędzić nam takiego strachu? Byłem już pewny, że wpadliśmy w pułapkę!

Kane poznał ten gniewny pomruk.

– Arbas! A więc wciąż jesteś z nami! Chyba to nie sentyment kazał ci mnie odprowadzić.

– Bindoff zdecydował, że lepiej będzie, jeśli pojedę z wami jako przewodnik w razie, gdybyśmy musieli wymykać się patrolom – tłumaczył Arbas, patrząc, jak Kane ładuje swoje rzeczy na konia, którego mu przyprowadzono. – Powiedziałem mu, że możesz zgubić się wśród wzgórz tak samo dobrze jak ja, ale on potrafi być przekonujący.

– Morderca przewodnikiem. To mi się podoba – zaśmiał się Kane. Skoczył na siodło i upewnił się, czy jego topór bojowy jest w zasięgu ręki. – W drogę.

Dziwiciu konnych ruszyło z powrotem tą samą drogą, którą przybyli. Kiedy dotarli wreszcie do głównego traktu, pojechali na południowy zachód, w stronę wybrzeża. Jeden z nich jechał na przedzie wypatrując patroli. To był plan Imela, żeby przedostać się do ukrytego statku jak najszybciej, nie zważać na ostrożność i ufać w swoje szczęście, iż nie napotkają nic, z czym nie uporaliby się w krótkiej walce.

Dudnienie kopyt towarzyszyło im ucieczce pod zaciągniętym ciężkimi chmurami nocnym niebem. Dwa razy musieli opuszczać drogę, by objechać szerokim łukiem posterunek wojsk, które kontrolowały wszystkich podróżnych. Ich podróż nagle urwała się, gdy wrócił spieszenie zwiadowca Essen. Ostro ściągając wodze swego galopującego konia, wysapał:

– Pięciu! Usłyszeli, jak zawracam i ścigają mnie!

Pięciu. Natrafili na mały patrol.

– Jedź dalej, a my ich zaskoczymy – rozkazał Kane, przejmując dowództwo bez zastanowienia. – Szybko, reszta niech się schowa wśród drzew. Przejadą pędem obok was czując świeży ślad i nawet się nie obejrzą. Wy, z łukami, przygotować się! Wytniemy ich w pień!

Rozejrzał się szybko i krytycznie po okolicy i warknął:

– Ty tutaj, bez łuku, będziesz czekać dalej przy drodze i dokończysz każdego, kto nam się wymknie. Pośpieszcie się, do cholery!

Rozkazy Kane'a zostały wykonane, choć nie bez pewnego zamieszania. Imel ukrywając się nie powiedział ani słowa. Nie miał złudzeń co do tego, kto dowodzi grupą. Ledwo wycofali się w cień drzew i przygotowali broń, gdy czterech kawalerzystów pojawiło się w polu widzenia.

Mając nadzieję, że Imel starannie dobrał sobie ludzi, Kane strzelił z kuszy trafiając prowadzącego jeźdźca w oko. Po tym strzale rozległ się groźny brzęk następnych cięciw i dwaj inni konni spadli z sodeł, każdy z dwiema strzałami drgającymi w piersi. Czwarty jeździec przejechał nietknięty, ocalony nie przez brak celności, lecz dlatego, że łucznicy nie mieli czasu wycelować.

– Zatrzymaj go, Labe! Do diabła, człowieku, zatrzymaj go! – krzyknął Imel, zawiadamiając uciekiniera o nowym niebezpieczeństwie. Ten wyciągnął miecz na czas, by stawić czoło Pellińczykowi, który czatował na niego. Żołnierz zaciekle walczył, wiedząc, że za chwilę dopadną go pozostali. A potem, używając sztuczki, która zaskoczyła gorszego jeźdźca, kawalerzysta uderzył swym wierzchowcem konia przeciwnika.

Zaskoczony Labe zachwiał się w siodle i kawalerzysta wbił miecz przez jego odsłonięty bark w kręgosłup.

Wyrywając miecz z tryskającego krwią trupa, żołnierz jednym skokiem przemierzył drogę w poprzek, by skryć się w lesie. Właśnie opuścił trakt, gdy palący ból przeszył jego gardło i wyrzucił go na oślep z siodła. Żołnierz spadł ciężko na leśne poszycie, brocząc gorącą krwią z szyi przebitej pociskiem z kuszy.

Kane opuścił kuszę, ciesząc się, że krótkie starcie dało mu czas na drugi strzał. Większy zasięg kuszy i jej siła równoważyły dodatkowy czas potrzebny na jej naciągnięcie. Kane miał

nadzieję, że kiedyś znajdzie łuk o równej mocy, który będzie bardziej praktyczny w użyciu z końskiego grzbietu. Zresztą nie można powiedzieć, żeby z kuszy przyjemnie się strzelało siedząc na pędzącym rumaku.

Essen wrócił ostrożnie, sądząc ze zniknięcia pościgu, że potyczka się skończyła. Kane spytał go: – Czy dobrze usłyszałem, że mówiłeś o pięciu jeźdźcach?

– Tak. Pięciu. Jestem pewien.

Kane zaklął, robiąc uwagę na temat matek tych kawalerzystów. – Wygląda na to, że nie byli takimi głupimi zapaleńcami, jak sądziłem. Musieli zostawić jednego z tyłu na wypadek; gdyby wpadli na coś, z czym nie mogliby sobie poradzić. Niech Lato pochłonie ich ostrożne dusze! Gdyby tylko byli bardziej lekkomyślni!

– Co teraz? – dopytywał się Imel.

– Jak daleko do twojej zatoki?

– Z tego, co mówił Imel, wydaje mi się, że jesteśmy w połowie drogi – odpowiedział bez entuzjazmu Arbas.

Kane popatrzył na zabójcę i wzruszył ramionami. – No cóż, kości zostały rzucone. Ten żołnierz pewno zawiadomił już całe Konsorcjum. Zejść z drogi i próbować przedostać się lasem to samobójstwo. Za godzinę ciężkie patrole będą przeczesywać okolice – otoczą nas i zgniotą. Najlepsze, co możemy teraz zrobić, to gnać jak Sfora Volutia i mieć nadzieję, że uda nam się dotrzeć do statku przed nimi. Ruszajmy!

Odjechali galopem, zostawiając zabitych, którzy przyglądali się w milczeniu niebu rozcinanemu błyskawicami.

Jechali już niemal godzinę, nie zauważając śladów pościgu. Jeszcze dwa razy musieli zbaczać z trasy, by ominąć posterunki wojsk i Kane przeklinał opóźnienia z tym związane. Imel rozglądał się uważnie po okolicy i stwierdził, że mają jeszcze przed sobą milę drogi, zanim będą mogli opuścić główny trakt i zagłębić się w las, by dotrzeć do zatoczki.

Miał zamiar wysunąć się naprzód i powiedzieć o tym Kane'owi, kiedy rudobrody mężczyzna gestem nakazał im zatrzymać się. Essen wracał ze zwiadu galopem i Kane był ciekawy, czego się dowiedział.

Uderzenie pioruna oświetliło okolice krótkim, ostrym

błyskiem. W tym ułamku sekundy jasności Kane zauważył wielką ciemnoczerwoną plamę na koszuli Essena, a wiatr doniósł do jego czułych nozdrzy zapach krwi.

– Nikt tak ciężko ranny nie jechałby tak dobrze! – mruknął Kane i sięgnął po sztylet. W chwili gdy zaciskał już palce na rękojeści, jeździec rzucił się na niego.

– Giń, zdradziecki pomocie piekielny! – krzyknął człowiek w koszuli Essena. Jego nóż błysnął, zmierzając ku piersi Kane'a.

Ściskając kolanami boki swego wierzchowca, Kane utrzymał się w siodle, gdy konie zderzyły się. Ruchem zbyt szybkim, by można go zauważyć, chwycił opadające ramię lewą ręką i zatrzymał nóż. Napastnik wrzasnął, gdy nieludzko silny uścisk Kane'a zmiażdżył mu kości przegubu jak kruche gałązki, lecz jego krzyk ledwo się zaczął, gdy przeszedł w rzeźnię. Kane drugą ręką wbił swój sztylet w brzuch przeciwnika i szarpnął w górę, wypruwając mu wnętrzności.

Ciało padło ciężko na drogę i można było zobaczyć twarz.

– To nie Essen – bystrze zauważył któryś z ludzi.

Koń, na którym jechał nieznany napastnik, zarżał z dzikiego bólu. Upadł na kolana, a potem zwałił się jak pijany na ciało jeźdźca. Przez chwilę wierzgał spazmatycznie nogami, a potem znieruchomiał. Jego oczy błyszczały jak szklane w świetle błyskawic.

– Spadając skaleczył konia swoim nożem – powiedział Arbas, który był najbliżej Kane'a.

Kane pokiwał głową.

– Tak, zatruty sztylet – bardzo ładnie. Musieli zabić Essena, a potem wysłali tego sukinsyna w samobójczej misji. Na Tlolovina, ci dranie naprawdę się na mnie uwzięli!

Zaśmiał się ponuro.

– Jedna z tego pociecha. Nie próbowaliby takich sztuczek, gdyby nie byli doprowadzeni do ostateczności. Myślę, że żołnierze w tej okolicy nie mieli czasu przygotować się na nasze spotkanie.

– Jeśli brak im czasu, to właśnie im go dajemy, siedząc tutaj beczynnienie! – warknął Imel. – Mamy przed sobą jeszcze milę do zejścia z traktu. Zabierajmy się stąd!

– Racja, ale uprzedzam, że nie będzie łatwo – ostrzegł Kane. – Może kiedy skrócimy w las, droga będzie wolna, ale przyjaciele

tęgo durnia na pewno będą na nas czekać wcześniej. Będziemy musieli robić wszystko powoli i ostrożnie albo wszystkich nas wykończą, tak jak Essena. Pomódlcie się do swoich bogów, żebyśmy przedostali się, zanim przybędą posiłki.

– Nie wpadajcie w panikę i nie róbcie głupstw, rozdzielcie się trochę i bądźcie ostrożni! Na szczęście drzewa się przerzedzają, więc nie mogą się zacząić między nimi, ale zwracajcie uwagę na wszystko, co wydaje się podejrzane!

Ruszyli powoli, dręczeni lękiem jak ścigane zwierzęta. W każdej chwili spodziewali się usłyszeć oznaczający śmierć świst strzały. Nikt nie był pewny, czy odetchnie jeszcze raz, nim ukryty łucznik przypiecztuje jego los. Mięśnie drżały z bolesnego napięcia. Skóra drętwiała od oczekiwania na ukąszenie żelaznych kłów. W każdym cieniu krył się tuzin zacząjonych żołnierzy.

To była dobrze przygotowana zasadzka. Kane wjechał w nią niemal bez zastrzeżenia. Żołnierze Konsorcjum byli nieco zbyt rozproszeni i zbyt chętni do walki, a w ciemności i zamieszaniu niepewni liczby ludzi Kane'a i chyba z tego powodu nie wykorzystali swego ukrycia w pełni. Zaatakowali zbyt wcześnie, zanim jeszcze pułapka mogła się zamknąć.

Napięta cisza nocy została przecięta świstem strzał, którymi ukryci napastnicy zasypali Pellińczyków.

Jedna strzała ześlizgnęła się po wierzchu ramienia Kane'a, zatrzymana przez kolczugę, którą miał na sobie.

– Rozdzielcie się i uciekajcie do lasu! – ryknął, dziękując w duchu komuś, kto przecenił swe umiejętności strzeleckie, próbując trudnego strzału w głowę. – Otoczyć ich, zepchnąć drani na drogę!

Kane miał wątpliwości, czy jego garstka ludzi mogłaby otoczyć kogokolwiek, ale wrogowie o tym nie wiedzieli. Jeden z jego ludzi został trafiony w udo, ale poza tym nikomu nawałnica strzał nie wyrządziła krzywdy. Rzucając się instynktownie w poszukiwaniu ukrycia, słyszeli strzały gwizdzące wokół nich w ciemności. Kane rozpaczliwie popędził swojego konia, zjeżdżając z drogi i rycząc, by pozostali podążali za nim.

Przemykając szybko wśród drzew, niespodziewanie wpadli na konny patrol. Kane poczuł ulgę, stwierdzając, że żołnierzy było mniej niż dziesięciu – a tylko kilku uzbrojonych w łuki. Trudno

było się dziwić ich staropanieńskiej ostrożności – stanowili bowiem tylko przednią straż większego oddziału, który, czego Kane był pewien, zbliżał się do nich. Niekorzystne dla patrolu okazało się zaskoczenie wywołane ucieczką Kane’a w stronę morza po miesiącach bezczynności, kiedy już powszechnie przyjmowano, iż uciekł dawno lub nie żyje, oraz nieświadomość rozmiarów oddziału Kane’a. Teraz kawalerzyści z bojowymi okrzykami wypadli galopem z ukrycia, by spotkać się z wrogiem w walce twarzą w twarz.

– Rozdzielcie ich! Nie pozwólcie im utworzyć szarzy! – krzyknął Kane, wciąż wołąc nie myśleć, że główna część oddziału miała dopiero wejść do bitwy. Uchylił się, by odparować cios pierwszego żołnierza, który do niego dotarł. Wymieniali wściekle ciosy – długi, zakrzywiony pałasz kawalerzysty tańczył zwinnie odbijając się od masywnego miecza Kane’a. Wtedy Kane wymierzył jeden potężny cios w szablę przeciwnika, odtrącając wąskie ostrze, miażdżąc jego gardę i rąbiąc ramię, które trzymało broń. Jeździec ledwo miał czas zdać sobie sprawę, że jest ranny, gdy powtórny cios Kane’a spadł na jego zebra.

Odwracając się, Kane ledwo odparł atak następnego konnego z przeciwnej strony. Napastnik był dobrym szermierzem – opinia Arbasa o kawalerii Konsorcjum była uzasadniona – i Kane musiał bardzo się starać, by odeprzeć uderzenia lżejszej broni.

W chwilę potem następny jeździec przygalopował do Kane’a z drugiej strony i śmierć groziła mu teraz z obu stron naraz. Spostrzegając nowe niebezpieczeństwo, Kane szybko sięgnął po topór, który miał pod ręką przy siodle. Zamiast zaatakować odsłonięty bok Kane’a, przeciwnik odkrył za późno, jak i wielu przed nim, że Kane umiał posługiwać się prawą ręką niemal tak samo zręcznie jak lewą. Wiedząc, że od tego zależy jego życie, Kane zamachnął się ciężkim toporem dookoła, zadając jeden potężny cios, którego nie mógłby odeprzeć żaden miecz ani tarcza. Napastnik spadł z konia z rozciętą piersią. Chwilowe odwrócenie uwagi omal nie zakończyło się tragicznie dla Kane’a. Straciwszy równowagę po zadaniu ciosu ciężkim toporem, z trudem odparował szybkie pchnięcie drugiego przeciwnika. Odtrącone w ostatniej chwili ostrze prześlizgnęło się jednak poza jego osłonę i uderzyło boleśnie w bok. Kolczuga zatrzymała miecz,

lecz siła uderzenia wbiła ogniwa zbroi w ciało, kalecząc je i siniacząc. Kane warknął z bólu i bezlitośnie natarł na przeciwnika. Żołnierz bronił się coraz słabiej pod naporem ciosów i wtedy Kane obezwładnił go pchnięciem w ramię. Gdy Lartroxianin rozpaczliwie usiłował unieść okaleczoną rękę, Kane wbił miecz w jego odsłonięty brzuch.

Zmuszając konia do przeskoczenia nad zabitym, Kane odzyskał swój topór i wrócił do walki, która toczyła się za nim. Zginęło trzech Pellińczyków, licząc tego, który został trafiony w zasadzce. Trzech kawalerzystów jeszcze żyło. Jeden toczył głośny pojedynek z Imelem, który krwawił z dwóch drobnych skaleczeń na rękę i na drugim ramieniu. W czasie, gdy Kane przyglądał się, Imel rozprawił się z wrogiem nagłym pchnięciem w serce. Arbas i drugi jeździec bili się jak dwa koty, ale powoli zabójca zyskiwał przewagę. Drugi Pellińczyk walczył dzielnie z ostatnim kawalerzystą i wynik tego pojedynku był niepewny, dopóki Imel nie rozstrzygnął starcia niespodziewanie atakując żołnierza z tyłu i przebijając go.

Ogarnięty nagłym przypiływem rozpaczliwej energii, ostatni pozostały przy życiu żołnierz pchnął od tyłu Arbasa i wbił miecz w szyję jego konia. Rżąc z bólu koń przewrócił się, zrzucając ciężko na ziemię Arbasa, który upadł z dala od wierzgającego konia i leżał oszołomiony upadkiem. Otępiały, szukał po omacku miecza, który wypadł mu z ręki. Kawalerzysta rzucił się na niego wściekle, nachylając się w siodle, by jednym ciosem pozbawić go głowy.

W tym momencie ramię Kane'a wystrzeliło naprzód. Błyszczący topór rozciął hełm żołnierza wraz z czaszką, a ostry jak brzytwa brzeszczot zagłębił się w jego piersi.

Odzyskując szybko siły, Arbas skoczył na nogi i chwycił wodze konia bez jeźdźca. Z mieczem w ręku wskoczył na splamione krwią siodło.

– Dzięki! Jesteśmy już kwita?

– Mam nad tobą przewagę co najmniej jednego – mruknął posępnie Kane.

– Zostało nas czterech? Lepiej, niż na to zasłużyliśmy. Jeszcze może nam się udać, jeśli nie wpadniemy znowu w tarapaty. Dobrze, zbierajmy się stąd.

– Arbas, zostaw w spokoju uszy tego drania!

Zabójca niechętnie porzucił swoje trofeum. Zaczął padać deszcz i zwycięzcy zniknęli w ciemności z tętentem kopyt koni. Mknęli szlakiem prowadzącym do zatoki, zmuszając swe zmęczone wierzchowce do jak największego wysiłku. Drzewa migały monotonnie wokół nich w mżawce i w gęstniejącej wraz z nadejściem świtu mgłę. Zdawało się, że na pewno miną miejsce, gdzie mieli skręcić.

Wtedy Imel krzyknął:

– Jest! Tuż przed nami! – Triumfalnie wskazał na niemal niewidoczny szlak odchodzący w lewo od drogi.

– Droga wolna! – zaśmiał się. Podniesieni na duchu przez ten widok zbiegowie ruszyli w stronę szlaku.

Ledwo do niego dotarli, gdy ich uszu doszły krzyki i hałas wielu jeźdźców. Oddział pięćdziesięciu lub więcej kawalerzystów wyłonił się z mroku i mknął szybko w ich stronę. Pułapka zamknęła się – przybyły posiłki. Nieznużeni tropiciele Kane’a wreszcie dopędzili swą ofiarę. Teraz tylko pośpiech mógł wyrwać zbiegów ze szponów śmierci.

Kane pieknił się: – Niech zaraza wydusi ich żony i córki – ci łajdacy zobaczyli nas! Prowadź do statku, Imelu. Jedź szybko, jeśli ci życie miłe!

Dla Imela ta paniczna ucieczka na oślep była koszmarem. Mając rozpaczliwą nadzieję, że nie zgubi się w ciemności, galopował przez ociekający deszczem las. Gałęzie ciężkie od mokrych liści zasłaniały drogę, zmuszając go do ciągłego pochylania się nad spienionym karkiem zmoczonego konia. Buszujące nocą leśne zwierzęta uskakiwały mu z drogi i pośpiesznie uciekały przez poszycie. Zdawało się, że za chwilę jakiś wystający korzeń, nagle pojawiający się pień czy gałąź zakończy jazdę nieuchronną katastrofą.

Drzewa przerzedziły się ledwo na tyle, że mogli przejechać nie patrząc przed siebie i w ciemności ta skąpa osłona przeszkadzała pościgowi w zorientowaniu się dokładnie, w którą stronę pojechali! To właśnie uratowało ich na początku i umożliwiło zwiększanie przewagi w miarę upływu minut.

Konie mogły paść w każdej chwili, lecz drzewa nagle zupełnie zniknęły i przed nimi rozciągnęła się szeroka, zwirowa plaża.

Mokre od deszczu kamienie połyskiwały w świetle błyskawic. Imel z ulgą rozpoznał statek czekający w pewnej odległości od brzegu.

– Łódź! Gdzie jest łódź?! – wrzeszczał, rozglądając się gorączkowo w deszczu i szarej mgle. – Rozkazałem im czekać z przygotowaną łodzią!

– Tam! – zawołał Kane. Wskazał na kilku żeglarzy biegnących ku nim od strony łodzi wyciągniętej na brzeg.

– Dzięki Onthe! Uczynili, jak im nakazałem! – wysapał uradowany Imel. Pobiegł do nich krzycząc: – Odbijajcie! Odbijajcie od brzegu! Zapłacę podwójnie za to każdemu z was, ale, do diabła, odpływajcie!

Uparcie ściskając swój tobołek, Kane zeskoczył z konia na plażę i przepędził swego wierzchowca w mgłę. Imel dobrze dobrał konie, bo inaczej nigdy by im się nie udało uciec. W opętańczym pośpiechu wskoczyli do łodzi i odbili od brzegu.

Ledwie łódź wypłynęła na wodę, gdy kawaleria wyjechała na plażę. Wypuszczone konie w mroku na chwilę zmyliły ich. Dzięki potężnemu wysiłkowi wioślarzy łódź mknęła przez zatokę w stronę statku, szybko wypływając poza zasięg nawałnicy strzał i przekleństw dochodzących z brzegu. Ulewny deszcz zasłonił uciekających, tak że żaden pocisk nie dotarł do celu.

– Żegnajcie, drodzy przyjaciele, i dziękuję wam za nadzwyczaj serdeczną gościnę! – krzyknął Kane i zaśmiał się szyderczo. – Kiedyś wrócę odpłacić wam tym samym!

Przekleństwa pełne bezsilnej wściekłości odpowiedziały mu z zasnutej mgłą plaży. Rozległ się głośny plusk, gdy kilku lekkomyślnych żołnierzy usiłowało popłynąć za zbiegami, ale pelliński statek podniósł już żagle i Lartroxianie nie mogli go zatrzymać.

Kane wytarł pianę i krople wody z brody i rozwianych rudych włosów. Uśmiechnął się do Arbasa. – Widzę, że mimo wszystko zdecydowałeś się pojechać z nami. Zdaje się, że oportunizm nadal jest twoim bóstwem.

– W każdym królestwie potrzebne są usługi zabójcy – filozoficznie stwierdził Arbas.

4.

DROGA DO PELLINU

Arbas ostrożnie poprawił po raz dziesiąty ostrość obrazu teleskopu i wpatrywał się w mosiężną rurę z zawziętym skupieniem. Kane przyglądał mu się z rozbawieniem.

– Do licha, Kane! – mruknął rozdrażniony zabójca. – Nadal nie mogę znaleźć nawet ich cholernych żagli w tej szarlatańskiej zabawce!

Opuścił lunetę i przyjrzał się jej z ponurą miną. Potężne muskuły jego smukłych ramion drżały z ochoty, by zgnieść kruchy przyrząd.

– Nie rób tego! – powiedział Kane, jakby odgadując jego chęci. – Potrzeba tygodni starannej pracy, by wykonać takie małe cacko i sądzę, że nasz przyjaciel Imel ceni je bardziej niż klejnoty, którymi się obwiesza.

Arbas parsknął i zamknął lunetę bez najmniejszego szacunku.

– Racja. Nasz wystrojony przyjaciel lubi piękne cacka. Oczywiście nie chcę go rozzłościć. Nie, tego bym nie chciał.

– Nie sądzę, żebyś lubił Imela – zauważył Kane.

Arbas uśmiechnął się do jakiejś miłej mu myśli.

– Nie. Wydaje mi się, że po prostu nie potrafię docenić subtelniejszych rzeczy.

– Nie sądzę również, żeby Imel za bardzo cię lubił.

Zabójca znowu podniósł lunetę. Sprawnie operował jej rozsuwanymi częściami.

– To prawda. Zdaje mi się, że Imel również nie docenia subtelniejszych rzeczy.

– Stwarzasz w ten sposób dylemat.

– To wrodzony talent. – Arbas zacisnął wargi i popatrzył uważnie przez lunetę.

– Aha, zdaje mi się, że coś tam zobaczyłem. Taak. Konsorcjum Południowej Lartroxii straciło swego największego filozofa, gdy Arbas porzucił zakurzoną ścieżkę dla ulic Nostoblet.

Kane splunął do morza.

– Tak mi kiedyś powiedziałaś. Chociaż wciąż jest dla mnie zagadką, kiedy to zaszczyciłaś salę akademii swoją obecnością – chyba że polując na jakiegoś mędrca, który swoimi poglądami naraził się komuś bogatemu.

– Byłem jednym z najbardziej obiecujących studentów w mieście – wschodzącą młodą gwiazdą. Zacząłem już gromadzić wokół siebie studentów, kiedy pewnego dnia zastanowiłem się, czy oni też są znudzeni tym wszystkim jak ja... – Arbas westchnął.

– Zdaje się, że w ostatniej wersji tej opowieści była mowa o jakiejś dziewczynie...

– A tak, i nie tylko to. Moje pamiętniki wypełnią któregoś dnia całą półkę. Emocjonujące przygody, rubaszny humor, zgryźliwe uwagi na temat społeczeństwa, niestarzejąca się mądrość. Gdybyś powstrzymał się od sarkazmu, mógłbym poczuć się wzruszony na tyle, by poświęcić jeden tom naszej niesamowitej znajomości.

Arbas manipulował lunetą, niemal upuszczając ją do morza.

– I gdyby ten przeklęty statek przestał kołysać, mógłbym utrzymać nieruchomo ten diabelski przyrząd dość długo na celu, by ustawić wreszcie ostrość! Poza tym nie rozumiem, dlaczego nie robią wystarczająco dużych soczewek, żeby można było coś przez nie zobaczyć.

Taak, a kilka stron poświęcę na opowiadanie o tym, jak wyryłem swoje imię w sercu Imela, w dodatku bez żadnej zapłaty czy oznak wdzięczności mego towarzysza, a ku rozpaczki jubilerów i krawców całego wyspiarskiego cesarstwa. Hej, zdaje mi się, że już wiem, o co tu chodzi. Trzeba nastawić na cel, a potem rozsuwać elementy.

– Przekonasz się jeszcze, że cesarska arystokracja przykłada wielką wagę do pięknych strojów – zauważył Kane. – Dla nich niezmiernie ważny jest prestiż i uważają, że wygląd człowieka powinien odzwierciedlać jego bogactwo i pozycję, tak jak ich skomplikowana dworska etykieta i kodeks postępowania jest oznaką dobrych manier. Wydaje mi się, że zrobili ze snobizmu sztukę piękną. Imel najprawdopodobniej odczuwa ciężar wysiłków polepszenia swej pozycji w ich społeczeństwie, a my byliśmy dla niego nieco szorstcy. W każdym razie kiedy trzeba, nieźle walczy, więc uważaj na niego. Ponadto jesteśmy na razie

sprzymierzeńcami, nie zapominaj o tym.

– Nie wiedziałem, że jesteś autorytetem w sprawach zwyczajów i obyczajów Cesarstwa Thovnozyjskiego – zadrwił Arbas.

– Uwaga! A oto i on sam – przerwał Kane zmieniając temat.

Imelowi humor znacznie się poprawił od chwili, gdy zakończył swą dokuczliwą misję na lądzie. Przyzwoity posiłek, kąpiel i długi sen sprawiły, że z twarzy Imela zniknął znękany wyraz. Traktowanie go z należyтым szacunkiem po tygodniach ukrywania się w przebraniu w slumsach Nostoblet przywróciło mu dobre mniemanie o sobie, a po zmianie na lepsze zaczął chodzić bardziej zadzierzystym krokiem. Z ogromną ulgą przyglądał się, jak znika w morzu jego podarte ubranie. Teraz – wykąpany, natarty pachnącymi olejkami, gładko ogolony, z utrefionymi długimi włosami, odziany w ciemnozielone jedwabne pończochy i spódnicę, brązowy wełniany kaftan ze srebrnym haftem i miękkie, wysokie do kolan skórzane buty, przyozdobiony czterema kosztownymi pierścieniami, wysadzaną klejnotami szpilą do płaszcza, sztyletem i pasem nabijanym srebrem i drogimi kamieniami – nareszcie znowu uważał się za cywilizowanego człowieka, nie mającego nic wspólnego z szóstym synem zubożałego, zapijaczego drobnego szlachetki, którego wygnano z domu wiele lat temu.

Niespiesznym krokiem Imel przeszedł przez główny pokład i wskoczył po kilku stopniach na podwyższenie na rufie statku, gdzie Arbas i Kane patrzyli na morze. Arbas musiał przyznać, że pod tymi jedwabiami kryły się twarde mięśnie. Chociaż smukły thovnozjański renegat był co najmniej 50 funtów lżejszy od barczystego zabójcy, dorównywał mu wzrostem i umiał posługiwać się mieczem z niebezpieczną sprawnością i szybkością. Na jego szczupłej twarzy malowała się pozorna szczerść. Wyglądał jak chłopiec, do czego przyczyniała się gładko ogolona twarz i ślady piegów pod opalenizną.

Imel kiwnął głową na powitanie Kane'owi i uniósł pytająco brwi na widok najwyraźniej zafrapowanego zabójcy.

– Uczysz naszego szczura lądowego, jak się posługiwać lunetą? – zapytał. Głębokim żalem napełniła go wiadomość, że Arbas nie okazał nawet najmniejszych śladów choroby morskiej mimo

nierozważnego apetytu.

Arbas poczuł się urażony. Był na morzu na kilku krótkich wycieczkach i uważał się już trochę za starego wilka morskiego, nawet jeśli niezbyt znał się na lunetach.

– Prawdę mówiąc, Arbas od dawna ma do czynienia z podobnymi przyrządami – gładko skłamał Kane. – Jest zafascynowany precyzyjnością twojej lunety.

Imel chrząknął i odrzucił do tyłu pasmo brązowych włosów zdmuchnięte wiatrem na twarz.

– Wydawało mi się, że jeszcze przed chwilą widziałem, jak patrzy przez nią odwrotną stroną.

– Podziwiałem jej bezbłędne wykonanie – mruknął Arbas, broniąc się sam. Choć drogie, lunety nie były rzadkością, lecz kiedy człowiek mało kiedy patrzy dalej niż na drugą stronę ulicy, nie spotyka się z takimi przyrządami. Arbas miał więcej pożytku z własnych oczu, które widziały wszystko wokół niego.

Imel dyskretnie zmienił temat rozmowy. Wskazał dwa żagle, które pojawiły się na horyzoncie za rufą.

– Wciąż nas ścigają – zauważył. – Mogę? – wziął lunetę i wprawnie skierował ją w stronę najpierw jednego, a potem drugiego ze ścigających ich statków. W milczeniu przyglądał im się z zaciśniętymi w skupieniu wargami.

Podał lunetę Kane'owi.

– Jak sami pewno zauważyliście – spojrzał ironicznie na Arbasa – oba statki należą rzeczywiście do floty Konsorcjum. To wyklucza nasze mgliste przypuszczenia, że mogą to być ciekawscy piraci.

Po raz pierwszy zauważono żagle późnym ranem. Imel wstał, słysząc wołanie obserwatora, ale nie uznał tego za sprawę bardziej nagłą niż własna toaleta. Żagle utrzymały się na horyzoncie do południa i stało się już pewne, że są ścigani.

– Lartroxianie zawsze byli upartym narodem – rozmyślał głośno Kane. – Szpony ich zemsty sięgają dalej, niż się spodziewałem. Zobaczyli, że uciekamy na pokładzie statku, więc wiedzieli, że musimy przepłynąć przez ujście Zatoki Lartroxiańskiej. W ciemności przepłynęliśmy nie zauważeni obok czekających tam statków patrolowych, ale ich statki stacjonują na wszystkich wyspach wzdłuż wybrzeża. O pierwszym brzasku

musieli zawiadomić wszystkie statki w zasięgu luster sygnalizacyjnych. Znając miejsce, z którego wypłynęliśmy, wystarczyło tylko wyznaczyć kursy przechwytyjące dla wszystkich możliwych tras prowadzących od Zatoki Lartroxiańskiej. Proste – stwierdził Kane. – Biorąc wszystko pod uwagę, to aż zastanawiające, że tylko dwa statki zdołały nas wyśledzić.

– Nie jest to takie dziwne, kiedy wie się, jak nieudolna jest flota Konsorcjum – zauważył Imel, okazując pogardę żeglarza głębokich wód dla tych, którzy wypływając na morze rzadko tracą z oczu brzeg.

– Mimo to odkryły nas dwa statki – powiedział Arbas. – I nie uczone oko mówi mi, że zbliżają się.

Kane przyjrzał się uważnie statkom przez lunetę.

– Zbliżają się powoli, ale jednak doganiają nas – potwierdził. – Konsorcjum ma niewiele dużych statków w swojej flocie i wydaje mi się, że ściągnęliśmy dwa z ich najlepszych. To są biremy, galery o długich, smukłych kadłubach, takich, z jakimi eksperymentuje ostatnio kilku szkutników. Chcą zaprojektować statek z wiosłami tak szybki, jak dobry statek pod pełnymi żaglami. Chodzi o to, by kil równoważył wystarczająco żagle nie obciążając zbytnio wiosła. Mają więcej żagli, niż powinna mieć birema – zobacz, jakie mają wysokie maszty. Wszystko działa świetnie, dopóki silny wiatr nie wywróci statku do góry dnem, co zwykle się dzieje, jeśli balast i kil nie są odpowiednio ustawione.

Niespokojnie przyjrzał się ich własnemu stateczkowi. Imel wybrał statek typu pirackiego, chcąc połączyć dyskrecję, szybkość i moc w walce – w takiej kolejności. Wybrany przez niego statek miał wysmukły, wyścigowy kadłub, wznoszący się nisko nad fale i tyle żagli, ile tylko mógł unieść statek tego typu. Wyposażony był również w pojedynczy rząd wiosła, które można było wyciągnąć w czasie ciszy morskiej. Załogę statku stanowili doborowi wojownicy, lecz z konieczności było ich niewielu. Ścigające ich galery miały co najmniej dwukrotnie większe rozmiary, nie mówiąc już o sile.

– Zdaje się, że kiepsko z nami będzie, jeśli dojdzie do otwartej bitwy – kontynuował Kane. – A na to się zanosi. Przy tym wietrze powoli doganiają nas. Gdyby wiatr ucichł, prędkość ich wiosła

ośmiokrotnie przewyższałaby naszą. Jedyłą szansą dla nas jest zgubić ich w ciemności – jeśli utrzymamy przewagę do zmroku.

Imel ani trochę nie stracił pewności siebie.

– Nie mogą dogonić nas przed świtem – ocenił chłodno. – A czy zgubimy ich w nocy czy nie, i tak przed ranem dotrzemy do północnych granic Sorn-Ellyn, zakładając, że wiatr się utrzyma. Nie popłyną daleko za nami.

– Wątpliwa przepowiednia, sądząc po dobrze zademonstrowanej zawziętości floty Konsorcjum – skomentował sarkastycznie Arbas. – Poza tym przypominam sobie z twojej niesamowitej opowieści, że Sorn-Ellyn nie jest zbyt bezpieczną okolicą. Może twoi ludzie woleliby zmierzyć się z flotą.

Imel uśmiechnął się bez urazy.

– Efrel sama nakazała mi płynąć tamtędy. Uczyniliśmy tak w drodze do Nostoblet i nic nam się nie stało, więc zrobimy tak również w drodze powrotnej. Ufam całkowicie mądrości Efrel w takich sprawach. Nie sądzę, by Lartroxianie podążyli za nami na Sorn-Ellyn.

Kane wzruszył ramionami, nie mogąc zaproponować żadnego innego rozsądnego wyjścia. Arbas wciąż miał wątpliwości.

– Może chciałbyś założyć się? – zaproponował kusząco Imel. – Na przykład o ten twój cenny nożyk. Ja stawiam swój sztylet z klejnotami. Symboliczny zakład – ostrze wątpliwego pochodzenia przeciw zdobionemu klejnotami sztyletowi o oczywistej wartości.

Arbas musnął swe długie wąsy w zamyśleniu, nie chcąc dać się przechytrzyć. Po chwili potrząsnął głową.

– Nie. Nie podoba mi się taki zakład. Według mnie wartość noża leży w jego ostrzu, a nie w jaskrawo zdobionej rękojeści. Widziałem stręczycieli z Nostoblet, którzy czuliby się zażenowani nosząc go. Oprócz tego właśnie przyszło mi do głowy, że gdybym wygrał zakład, nie nacieszyłbym się wygraną, bo mało prawdopodobne, żebym jeszcze wtedy żył.

– Nie myślałem, że jesteś taki ostrożny – kpił Imel. – Zobaczmy jutro rano.

Reszta dnia upłynęła spokojnie. Statki Konsorcjum zbliżyły się do nich przed zmrokiem na tyle, że można było gołym okiem widzieć podwójne rzędy wiosł. Wiatr wciąż utrzymywał się. Pelliński statek płynął nieomylnie ku otoczonemu złą sławą

Sorn-Ellyn.

Gdy ciemność skryła prześladowców, Kane siedział jeszcze długo, pijąc wino i grając w kości z Arbasem. Żaden z nich nie poświęcał jednak pełnej uwagi grze, usiłowali wychwycić pierwsze dźwięki zbliżających się do nich w mroku galer. Ich statek płynął bez świateł, jak czarna strzała w bezwzględnej ciemności. W oddali światełka wrogich statków chwiały się, migocząc we mgle. Były na kursie zbieżnym i stale zbliżały się do nich.

Gra wreszcie urwała się, gdy Kane zapomniał, ile ostatnio zdobył punktów, a Arbas również nie mógł sobie przypomnieć. Zabójca ze stoickim spokojem zebrał wygraną i udał się na swój hamak. Kane był w posępnym nastroju i został na pokładzie z butelką wina. Wreszcie położył się na zwoju olinowania i zapasowych żagli i zapadł w niespokojny sen. Miał złe sny, ale drzemał nie budząc się całkowicie. Potem, już nad ranem, nagle zbudził się ze snu – niepewny tego, co działo się w jego myślach, ani czemu się zbudził. Właśnie. Jego dłoń niespiesznie zacisnęła się na rękojeści miecza. Znowu ten dźwięk. Dobiegł z głębi nocy. Skrzypienie wręg? Krzyki ludzi? Kane skupił się na tym dźwięku. Nie. To brzmi bardziej jak trzaskanie belek. Jakieś głosy wrzeszczące z przerażenia. Dźwięki były zbyt odległe, by można było je rozpoznać. A potem zapadła cisza.

Cisza.

Zaniepokojony Kane wstał. Wiatr ucichł wraz ze zbliżaniem się świtu. Nad jego głową wisały oklapnięte żagle, ospale powiewające w przelotnym podmuchu nocnej bryzy. Kane zastanowił się, czy obudzić wioślarzy, ale odrzucił ten pomysł. Statki Konsorcjum są w takiej samej sytuacji, a w ciemności skrzypienie wioseł zdradziłoby pierwszy statek, który by z nich skorzystał. Przypuszczalnie wachta powiadomiła już Imela, a on doszedł do podobnego wniosku. Najprawdopodobniej będą dryfować do świtu, a wtedy mogą przynajmniej ocenić swoją pozycję.

Kane leżał nie śpiąc i wypatrywał pierwszego przebłysku światła na wschodzie. Gdzieś po godzinie niebo zaczęło szarzeć, więc podszedł do burty. Słyszając szuranie i skrzypienie pokładu za sobą, odwrócił się i ujrzał, jak Imel wychodzi ze swej kabiny,

przeciągając się zmysłowo.

Thovnozjanin ziewał, podchodząc do niego. Kane zastanawiał się, w jakim stopniu jego bez troska była udawana.

– Dzień dobry – powitał go Imel. – Kazałem wachcie obudzić się, jak tylko zrobi się jasno. Widzę, że ty jednak wstałeś wcześniej ode mnie. Widziałeś coś?

Kane potrząsnął głową. Mgła wciąż pokrywała fale zasłoną gęstszą od mroku nocy. Potem wschodzące słońce przebiło się przez nią i morze wokół nich okazało się puste, jak okiem sięgnąć.

– Ten cholerny wiatr też się jeszcze nie zerwał. To może oznaczać następną noc na Sorn-Ellyn, chyba że zacznie wiać przed południem. Każę ludziom siadać do wioseł.

Jego rozkazy zostały wykonane. Senna załoga wyszła na pokład, sarkając, że wojownicy muszą wykonywać pracę galerników. Niewolnicy byli luksusem, na który nie mogli sobie pozwolić ze względu na brak miejsca. Niebo pojaśniało i mgła przerzedziła się. Na morzu wciąż była pustka.

Statek powoli ruszył, nabierając prędkości w miarę wysiłku wioślarzy. Pojawiło się słońce i wzniosło nad morze. Nie było śladu po biremach, nawet kiedy Kane przyjrzał się horyzontowi przez lunetę.

– Mimo wszystko nie popłynęli za nami na Sorn-Ellyn – przypomniał im Imel, kiedy już upewnili się, że są sami na morzu. – Nawet zawziętość Lartroxian musi mieć gdzieś granice. Jeszcze raz Efreł przewidziała wszystko i wygrała.

Mimo pozornego spokoju w głosie Imela można było wyczuć ulgę.

– Na to wygląda – powiedział cicho Kane. Całą uwagę skupił na tym, co widział przez lunetę.

W oddali zobaczył rozrzucone fragmenty wraka – części połamanych desek, rzeczy z ładowni statku, nierozpoznawalne śmieci. Pochodziły z jakiegoś dużego statku, który rozbił się niedawno, bo nie zdążyły się jeszcze rozprzestrzenić. Wśród nich nie było pływających po powierzchni ciał. Lecz przecież na Sorn-Ellyn nie było o co się rozbijać. Czyżby biremy zderzyły się z sobą? Proste zderzenie nie roztrzaskałoby jednak kadłuba na drobne kawałki. Więc co?

Kane podał lunetę Arbasowi. Wątpił, czy ujrzą jeszcze

ścigające ich statki.

5.

BOGOWIE W CIEMNOŚCI

Była już późna noc i wszyscy na pokładzie spali mocno, kiedy marynarz na wachcie zobaczył stojącą przy burcie ciemną postać w płaszczu i kapturze. Ciesząc się z towarzystwa w taką samotną noc, podszedł do niej w milczeniu. Twarz osoby była ukryta w cieniu kaptura, więc żeglarz nie wiedział, kim jest. Zastanawiał się przez chwilę nad tą tajemnicą, opierając się o burtę i patrząc na ocean.

Silny wiatr pchnął statek, który przecinał jak nóż spienione czarne fale, mącąc wodę, która chłodno odbijała blade światło zbliżającego się do pełni księżyca. Patrząc w niebo, żeglarz zobaczył tylko kilka gwiazd, a i te świeciły złowieszczo jak kocie oczy w świetle ognia. Niebo zaciągnięte było ciężkimi chmurami. Dziwne obłoki tworzące fantastyczne wzory mknęły przez niebo, gonione nocnym wiatrem, przesuając się przed trupiobladym księżycem. Niesamowite, tytaniczne postacie, które wiły się groteskowo jak żywe, wykrzywiały się groźnie wokół kilku patrzących szyderczo gwiazd na oczach obłąkanego księżyca.

– Spójrz w niebo! – wykrzyknął żeglarz w zdumieniu. – Dlaczego chmury kłębią się tak dziwnie?

– To są bogowie w ciemności – padła ochrypla odpowiedź. – Tkają sieć ludzkiego losu z nieskończonych odcieni kosmicznej ciemności. Widzisz teraz ich cienie, bo siły zła zbierają się, by świętować nadchodzące dni.

Słowa były jakby popękane i zniekształcone, dźwięczące echem przez wieki czasu i nieskończoność przestrzeni. Żeglarz drgnął, słysząc te upiorne tony i rozejrzał się w poszukiwaniu mówiącego.

Obok niego nikogo nie było przy burcie.

6.

W CZARNEJ TWIERDZY

Od strony północnego wybrzeża Pellin był mroczną, odstraszącą wyspą. Jej klify stanowiły strome kolumny czarnego bazaltu, zniszczonego przez wiatr i uderzające fale. Za wybrzeżem gleba była lekka i jałowa. Wzdłuż brzegu rosły rzadko karłowate drzewa, a w głębi wyspy czarne, pokręcone pnie wznosiły się z trudem nad gąszczem pnączy i zarośli.

Co jakiś czas można było zauważyć miejsca, gdzie nawet ta skąpa roślinność nie chciała zapuścić korzeni. Na tych pustkowiach połyskiwały ciemno w słońcu dziwne stosy bazaltu i niesamowite masy kamieni, zbyt regularnych, by uznać je za dzieło natury, a zbyt niewyobrażalnie starych, by mogły być dziełem człowieka.

Gigantyczne ruiny stojące posepnie nad morzem od wieków pogrążone były w samotności.

Na południowym wybrzeżu wyspy znajdował się obszerny port Prisarte, głównego miasta wyspy i siedziby władczyni Efrel. Port był dobrze chroniony, a fortyfikacje strzegły wąskich cieśnin, które prowadziły do dużej zatoki, pełnej teraz statków, gdyż Efrel szykowałą się do wojny. Sama zatoka otoczona była suchymi dokami, stoczniami, magazynami i barakami, brzydkimi budowlami z drewna i bazaltu, wśród których łatwo można było rozpoznać nieliczne, bogate pałace szlachty.

Nad całym tym krajobrazem dominowała Dan-Legeh, czarna forteca Prisarte – ogromny, groźny zamek przodków Pellinów od niepamiętnych czasów. Dan-Legeh była osobliwą megalityczną budowlą, której wysokie mury dziwnie przypominały starożytne ruiny, straszące w opustoszałych okolicach wyspy. Widać było, że w miarę upływu lat dodawano nowe części do pierwotnej postaci twierdzy. Na pierwszy rzut oka można było zauważyć jakby nie pasującą wieżę, drugie spojrzenie mogłoby ujawnić mur jednej roboty niezręcznie połączony z drugim, zupełnie inaczej wykonanym. Owe dodatki same były bardzo stare, będąc

pozostałościami prób uczynienia Dan-Legeh bardziej zdatną do zamieszkania przez ludzi. Wyglądały nieharmonijnie, kłócąc się z pierwotnym wyglądem twierdzy. Legendy mówią, że forteca była tu, zanim jeszcze ludzie po raz pierwszy stanęli na tej wyspie, ale Pellin był krajem obfitującym w takie baśnie.

Dan-Legeh jawiła się jako złowieszcza, ogromna bryła na tle zachodzącego słońca, kiedy Kane wpłynął do portu Prisarte. Wiał słaby wiatr i miasto leżało w długim cieniu fortecy. Zanim Kane i jego towarzysze wyszli na brzeg i spotkali oczekującą ich zbrojną eskortę, zapadł zmierzch. Zmrok stawał się coraz głębszy, gdy udali się do Dan-Legeh, jadąc wąskimi ponurymi uliczkami. Towarzyszyło im pobrękiwanie uprzęży i złudne migotanie pochodni. Noc zamknęła się już nad nimi, gdy stanęli wreszcie przed potężnym mostem zwodzonym i barbakanami strzegącymi głównego wejścia do twierdzy.

Gdy weszli do Dan-Legeh, wyszedł im na spotkanie oficer, znaczny szlachcic sądząc po jego ekstrawaganckim stroju i wspaniałym rynsztunku. Był wysokiego wzrostu, smukłej budowy ciała i miał bladą, przystojną twarz oraz lśniące czarne włosy typowe dla pellińskiej arystokracji. Swoją gibkością, gładkimi jak jedwab mięśniami i doskonałą koordynacją ruchów przypominał kota. Mężczyzna piękny i niebezpieczny jak czarna pantera. Jego oczy były równie pozbawione wyrazu, co oczy kota, gdy podszedł do nowo przybyłych.

– Gratuluję ci, Imelu – powiedział na powitanie – ukończenia tak trudnej misji. Wiedziałem, że nie zawiedziesz nas. Doskonale się spisywałeś.

Potem powiedział lakonicznie:

– Więc ty jesteś Kane. – Zawahał się przy imieniu, jak ktoś, kto powtarza wulgarne słowo w eleganckim towarzystwie.

Dwaj mężczyźni przyglądali się sobie przez chwilę, mierząc się chłodnym wzrokiem. Kane natychmiast wyczuł w Pellińcyku nienawidzącego go rywala. Jego sztywna postawa i wyniosłe zachowanie jasno dawały do zrozumienia, że był przeciwny sprowadzeniu Kane'a na Pellin od chwili, kiedy zaplanowano misję Imela. Tylko rozkaz jego władczyni i poczucie szlacheckiej godności powstrzymało go od jawnego okazania wrogości. Kane'a rozśmieszyła ironia losu, iż pierwszym, który go powitał

na Pellinie, okazał się śmiertelny wróg, przedtem nigdy nie widziany.

Pelliński możnowładca popatrzył na niego z ledwo skrywaną pogardą. Ich spojrzenia spotkały się i wtedy spiesznie odwrócił oczy. Jego sposób zachowania stał się ostrożniejszy, bardziej wyrachowany.

– Jestem Oxfors Alremas – oświadczył. – Moja wola ustępuje tu tylko woli Efrel. – Przerwał, by dotarło to do nich, po czym opanował się i ciągnął dalej nieprzekonywająco: – Witam was w Pellinie i w Dan-Legeh. Wkrótce zostanie wam podana kolacja. Najpierw jednak pozwólcie zaprowadzić się do waszych komnat. Przypuszczam, że zechcecie zmyć sól podróży. Czekają na was także odpowiednie stroje, gdybyście zechcieli ubrać się stosownie do waszej nowej pozycji.

Przygryzając wargę w zamyśleniu Imel patrzył, jak Kane i Arbas odchodzą z Alremasem. Potem, potrząsając głową, jakby mu się w niej zmaciło, odwrócił się do pozostałych żołnierzy i rozkazał im wrócić do koszar. Co do niego samego, to oczywiście również miał zamiar przebrać się w lepsze ubranie. A potem udać się na bankiet, o którym wspomniał Alremas.

Odchodząc, Imel pomyślał o winie, śmiechu i szelmowskim towarzystwie dam dworu. Czuł dziwną ulgę od chwili, gdy zajmowanie się Kane'em przestało należeć do jego obowiązków.

7.

KRÓLOWA NOCY

Kane stwierdził, że jego komnaty były urządzone z istic cesarskim przepychem. Uwielbiał luksusy i urzeczony był kosztownymi futrami, jedwabiami i gobelinami, które zdobiły obszerne pokoje. W komnatach znajdowało się również wiele drogich i pięknych statuetek, ozdób i dzieł sztuki, które uzupełniały wspaniałe wyposażenie pokoi. Był tam również piękny, wpuszczony w podłogę basen do kąpeli, w którym Kane zaznał przyjemności z prześliczną niewolnicą przysłaną mu jako służącą.

Kolacja była równie świetna. Bankiet wydano w olbrzymiej, oświetlonej ogniem sali, a uwijające się dziewczki służebne roznosiły niezliczone półmiski pieczonego mięsiwa i kubki spienionego piwa lub wina. Wielką salę wypełniało niemal dwustu gości – w większości szlachta i oficerowie. Głośne rozmowy i śmiech unosiły się znad długich, drewnianych stołów ku wysokiemu, łukowemu sklepieniu.

Kane'owi jednak wydawało się, że śmiech jest nieco powierzchowny i wymuszony, a w głosach pobrzmiwał niezupełnie ukryty niepokój. Co więcej, cienie w wielkiej sali były jakby zbyt głębokie. Nieraz zdawało mu się, że widzi szybkie ruchy za zasłoną tych cieni. Przez cały czas trwania posiłku jego czułe zmysły dawały mu znać o tym, że jest obserwowany z ukrycia, i to z niemal nieludzką intensywnością.

Miejsce u szczytu głównego stołu, mimo że stało tam nakrycie, pozostało puste.

Kane siedział przy głównym stole z Oxforsem Alremasem po jednej stronie i Imelem po drugiej. Arbas siedział kilka miejsc dalej. Pellińczycy nie byli pewni jego statusu, lecz przyjęli, że jest dość ważny, skoro przybył z Kane'em. Rozmowy z innymi przy stole były ostrożne i dotyczyły tylko spraw codziennych, więc Kane uzbroił się w cierpliwość i czekał na rozwój wydarzeń. A Efreł nadal nie było.

Pod koniec kolacji Alremas zwrócił się do Kane'a, który właśnie opróżniał swój kubek:

– Teraz, kiedy miałeś już czas odpocząć po podróży, zaprowadzę cię do Efrel.

Kane kiwnął głową niewzruszony i wstał, by udać się za nim. Alremas poprowadził go przez przyprawiający o zawrót głowy ciąg kamiennych schodów i długich, krętych korytarzy. Wnętrze twierdzy było znacznie obszerniejsze, niż wskazywał na to jej wygląd zewnętrzny. Znowu Kane wyczuł, że wiele ścian i schodów było obcych oryginalnej konstrukcji zewnętrznej, być może dodano je, kiedy pierwotne elementy rozpadły się ze starości. Zawsze można było rozpoznać zewnętrzny mur po jego szczególnej budowie – składał się z olbrzymich, przemyślnie dopasowanych bloków bazaltu. Żeby wznieść taki mur, trzeba by geniuszu budowlanego, nie znanego temu wiekowi.

Wreszcie zatrzymali się przed ciężkimi drzwiami z dębu nabijanego żelazem. Alremas zastukał głośno ręką do szyby i drzwi otworzył wielki niewolnik. W tłustym słudze Kane rozpoznał typowego eunucha, strażnika prywatnych komnat lady. Nietypowy był natomiast jego wzrost, sięgający siedmiu stóp, i masywna sylwetka, sugerująca wielką siłę pod gumią warstwą tłuszczu. U jego pasa wisiał w pochwie znacznych rozmiarów parang. Twarz strażnika była pozbawiona wyrazu.

– Zostaw swoją broń eunuchowi – burknął Alremas, po czym rzucił Kane'owi wrogie spojrzenie i odszedł mrocznym korytarzem.

Przechodząc przez próg, Kane znalazł się w obszernym pokoju. Buduar nie był właściwą nazwą dla takiej komnaty. Pomieszczenie było jasno oświetlone i ozdobione w osobliwy sposób. W umeblowaniu znać było wyraźnie kobiecą rękę, lecz znajdowały się tu również inne przedmioty o złowieszczym, diabolicznym charakterze – niesamowite obrazy i rzeźby, dziwnie oprawione księgi, niezwykle aparaty i alchemiczne retorty, egzotyczne kadzidła i nieznanne zapachy. Kane wyczuł dochodzącą skądś, nie dającą się określić atmosferę zła. Znajdował się w makabrycznym połączeniu gabinetu czarnoksiężnika i buduaru lady. W jednym końcu pokoju znajdowały się zasłonięte drzwi. Zasłona była tylko z cienkiego

woalu, a za nią nie paliło się żadne światło. Osoba będąca za zasłoną mogła obserwować, co się dzieje po drugiej stronie, sama pozostając nie zauważona.

Nieszczególnie zadowolony z sytuacji Kane usiadł i przyglądał się zasłonie. Nie musiał długo czekać.

– A więc ty jesteś Kane. – Niski głos zza zasłony miał niesamowite brzmienie. Był to głos niewątpliwie kobiecy i piękny, lecz jakby zniekształcony i okaleczony. Brzmiał tak, jakby mówiącemu grzęzły słowa w gardle – jakby usiłował przekazać wściekłość, możliwą do wyrażenia tylko szaleństwem.

– A ty jesteś Efrel? – zapytał Kane.

W odpowiedzi rozległ się nienawistny chichot.

– Tak i nie! Byłam Efrel. Przypuszczam, że to wygoda nakazuje nazywać mnie nadal tym imieniem. Ale ja nie jestem Efrel. Efrel nie żyje. Od dwóch lat. Jednak ja żyję – i jestem Efrel! Albo byłam Efrel, bo Efrel nie żyje, więc do czego doszliśmy, Kane? To nie ma znaczenia. Tak, nazywaj mnie Efrel. Na razie to wystarczy. Ale martwi nie zawsze umierają! Strzeż się, Netistenie Marilu, umarłych, którzy jeszcze żyją! – Ostatnie słowa były już opętańczym wrzaskiem. Potem nastąpiła chwila ciszy, gdy Efrel usiłowała opanować swoje uczucia.

Zaczęła znowu.

– Tak, jestem Efrel. Do tego czasu Imel powinien był ci opowiedzieć o mojej przeszłości i o twoim miejscu w moich planach.

Kane pokiwał głową.

– Imel powiedział mi, że masz zamiar zemścić się na Netistenie Marilu i przywrócić Pellinowi znaczenie ośrodka władzy w cesarstwie. Według niego zostałem wezwany, by dowodzić twoimi siłami morskimi w nadchodzącej wojnie. W tej chwili jednakże nie jest dla mnie jasne, dlaczego nie możesz powierzyć tego któremuś ze swoich generałów. Oxfors Alremas zdaje się wyraźnie uważać, iż to jemu należy się dowództwo.

Znowu śmiech.

– Biedny Alremas. Drogi Alremas. Zawsze był mi wierny – w łóżku i w bitwie. Myślę, że przez cały czas sądził, że to on będzie trzymał wodze rządów w moim nowym cesarstwie – oszczędzając moje piękne rączki dla delikatniejszych zajęć. Nie sądzisz, że było

okrutne z mojej strony pozwolić mu tak myśleć? Wydaje mi się, że on cię nienawidzi za zajęcie stanowiska, które już uważał za swoje. Biedny, wierny Alremas.

Jednakże pochodzi on z dumnego rodu i obawiam się, że zazdrość może teraz zmniejszyć jego użyteczność. A ja, oczywiście, nie mogłabym wybaczyć mu takiego wykroczenia. W każdym razie Alremas i tak nie potrafiłby poradzić sobie z takim zadaniem. Lepiej spisuje się w rolach, które odpowiadają jego kociej przebiegłości – intrygi raczej niż otwarta wojna. Nie, on nie mógłby być moim generałem. Dość już o Alremasie. Otrzymasz władzę zarówno nad nim, jak i nad resztą moich wojsk.

Alremas mógłby mieć coś jeszcze do powiedzenia w tej sprawie, pomyślał Kane. Ciągnął już głośno dalej:

– Nie mogę również zrozumieć, dlaczego wybrałaś właśnie mnie na dowódcę swojego buntu – a jeśli już o to chodzi, skąd o mnie wiedziałaś? Oczywiście cieszyłem się pewną sławą jako generał w kilku kampaniach na obszarze kontynentu na wschód od twojej wyspy, lecz dopiero niedawno zapaściłem się tak daleko na zachód Lartroxii. Nie wiedziałem, że opowiadano o mnie w tak odległych regionach.

– Taki jesteś tego pewien, Kane? – Głos Efreł pobrzmiwał zjadliwą kpina. – Nie. Ty wiesz, dlaczego wezwałam cię, Kane. Wywołałam cię jak demona. Ludzie nie kłamią mówiąc, że jestem czarodziejką. To prawda, że zagłębiłam się w tajemnice czarnych sztuk i starych bogów, którzy jeszcze nie całkiem zapomnieli o swej dawnej ojczyźnie...

Ale o tym dowiesz się później. Teraz mam ochotę zabawić cię opowieścią. Będzie to historia, którą dobrze już znasz – albo demon, który mi ją wyszeptał, jest kłamcą.

Opowieść Efreł

Moja opowieść sięga dwóch wieków wstecz, do czasów kiedy Thovnos i Pellin były tylko dwiema z wielu oddzielnych wysp w tym rejonie. Tresli, Josten, Fisitia, Parwi, Raconos, Qarnora i inne mniejsze wysepki stanowiły niezależne królestwa i posiadłości. Drobne księstwa były słabe i zubożałe z powodu stałych wojen między wyspami.

Oprócz większych mas lądu okolica ta jest usiana wielką liczbą wysepek. Wysepek, które dawały schronienie rybakom lub piratom. Tak, w tamtych niespokojnych czasach było wielu piratów. Niewyczerpana liczba miejsc schronienia, nieumiejętność władz i bogaty handel między wyspami sprawiały, że okolica ta była dla nich prawdziwym rajem.

Tacy piraci nigdy nie byli niczym więcej jak niebezpiecznym utrapieniem, bo podobnie jak wyspy sami byli słabi i niezorganizowani. Ofiarą tych szakali, skradających się zabójców padali bezradni i nieostrożni. Jedna dobrze uzbrojona eskorta mogła przepłoszyć tych napastników.

A potem na wyspy przybył obcy z Ziemi Południowych. Był bezlitosnym i groźnym wojownikiem, a przy tym geniuszem morskiej taktyki i strategii. W ciągu kilku lat wybudował niezdobytą piracką twierdzę na skalistej wyspie Montes. Rywali albo przyłączył, albo zniszczył. Pod jego wspaniałym dowództwem zebrała się ogromna piracka flota – krwawy, groźny miecz, który wpierw oczyścił morza z handlu, a potem zagroził samym portom.

Zarozumiałe eskadry pirackiej floty przemierzały morza do woli, atakując każdy statek, jaki spotkały. Szpiedzy w każdym porcie informowali piratów o ładunkach kupieckich statków i o rozpaczliwych próbach przeciwdziałania. Nie wymknęły im się żadne tajemnice. Żaden konwój nie był dość dobrze strzeżony, by nie ośmielili się nań napaść. Nawet największe okręty wojenne władców wysp padały ich ofiarą i każdy statek, który opuściłby swój port, narażałby się na pewne nieszczęście.

W końcu piraci mieli całe morze dla siebie, bo nawet łodzie

rybackie bały się wypływać. Wilki morskie przegoniły swoje ofiary. Zdawało się, że teraz piraci muszą rozdzielić się i poszukać zyskowniejszych morskich szlaków gdzie indziej, lecz ich przywódca miał ambitniejsze plany. Kiedy morza opustoszały, zebrał swoją flotę i obrócił jej potęgę przeciw miastom na wybrzeżu. Teraz zaatakował źródła bogactw, które łupił na morzu.

Jego łupieżcza flota wypływała w nocy i napadała na jakieś śpiące miasto. W krótkiej bitwie likwidowano zorganizowany opór i miasto należało do niego. Z bezlitosną sprawnością ograbiano całkowicie napadnięty port z jego bogactw. Pirackie hordy szalały na ulicach przelewając krew i biorąc wszystko po drodze – łupy i kobiety. Kiedy miasto już zostało splądrowane, podpalali je i odpływali o świcie czerwonym od płonących ruin.

A ten człowiek, który dowodził piratami – człowiek, którego zły geniusz wykuł tu straszliwą broń zniszczenia, nazywał się Kane.

Lecz sukces piratów stał się w końcu przyczyną ich klęski. Wojujący stale władcy wysepek pojęli wreszcie, że zagraża im ogromne niebezpieczeństwo ze strony pirackiego cesarstwa Kane'a. Zapominając o osobistych sprzeczkach, poszli za przykładem wroga i złączyli się pod jednym władcą – rodem Pellin, wybranym dla ich prestiżu i potęgi. Nowe cesarstwo zebrało razem swe rozbite wojska i stworzyło flotę dość silną, by rzucić wyzwanie piratom. Po długich, nie przynoszących rozstrzygnięcia miesiącach utarczek i pościgów, cesarska flota pod dowództwem Netistena Ehbuhra z Thovnos zaatakowała Kane'a na morzu przed jego twierdzą w Montes. Walki były zaciekle i wynik długo był wątpliwy, gdyż obaj admirałowie byli świetnymi dowódcami. Przez cały dzień trwała bitwa na morzu, lecz kiedy nadszedł wieczór, znacznie większa liczba okrętów i wojowników cesarstwa zdołała przeważyc szalę zwycięstwa...

Widząc, że jest ich zbyt mało, by dalej prowadzić walkę na morzu, Kane wycofał resztki rozbitej floty do portu swojej fortecy na klifach. Oblężenie, które nastąpiło, ciągnęło się przez ciężkie i krwawe dni, lecz katapulty i maszyny wojenne cesarstwa stopniowo skruszyły mury obronne twierdzy. Za straszliwą cenę życia wielu ludzi Netisten Ehbuhr wdarł się do zniszczonej

fortecy i w ostatniej zaciętej walce dobił resztę pirackiej hordy.

Bitwa kosztowała dużo również i młode cesarstwo, wielu szlacheńskich ludzi spotkała krwawa zguba na Montes – wśród nich najważniejszych władców z rodu Pellin. Tak więc Netisten Ehbuhr mógł zagarnąć władzę w nowym cesarstwie dla siebie i swego rodu, bo nikt spośród pozostałej przy życiu arystokracji nie sprzeciwiłby się bohaterowi spod Montes. I tak ród uzurpatora Netistena siedzi na cesarskim tronie niemal od samych początków istnienia cesarstwa – kradnąc tron, który według prawa należy się Pellinowi!

A najdziwniejszą rzecz odkryto, kiedy padł już ostatni z piratów. Choć wielu żołnierzy widziało Kane'a walczącego ze swymi ludźmi aż do samego końca bitwy, jego ciała nigdy nie odnaleziono. Nie natrafiono nawet na ślad Kane'a, chociaż zwycięzcy skrupulatnie przeszukiwali poczerwiałe ruiny i szkarłatne sterty zabitych, chcąc znaleźć jego ciało.

Niektórzy twierdzili, że ludzie Kane'a ukryli ciało wodza, by ocalić je przed pohańbieniem. Inni śmiali się z takiego pomysłu i mówili, że przywódca piratów musiał uciec jakimś tajnym tunelem, przemknąć się obok ich szeregów i odpłynąć z innej części wyspy.

Było to co najmniej dziwne. Jeszcze przez wiele lat ci, którzy mieszkali nad morzem, bali się, że pewnej nocy Kane i jego czarna flota wróci i krwawo się zemści za klęskę pod Montes. Nawet dziś jego imię jest przekleństwem – klątwą zła, terroru i grabieży.

I tak budzące strach imię Kane'a, króla piratów, przeszło do mrocznych legend naszego ludu. Demoniczną postacią był ten dawny Kane, którego przeszłość ginęła w opowieściach nawet w ówczesnych czasach, a jego śmierć nigdy nie została udowodniona. Błysnął w naszej niespokojnej historii jak jakaś niszczycielska kometa, wyłaniając się nagle z czerni nocy i tak samo niespodziewanie odchodząc w nieznane. Ludzie opowiadali, że Kane był olbrzymiej postaci, silniejszy od dziesięciu potężnych mężczyzn. W bitwie nikt nie mógł się z nim mierzyć, gdyż potrafił władać mieczem obiema rękami i walczyć bronią, którą inny wojownik ledwo zdołałby podnieść. Jego włosy były czerwone jak krew, a żywił się bijącymi sercami wrogów. Oczy Kane'a były oczami samej śmierci i rzucały błękitne płomienie, które mogły

spalić dusze ofiar. Jedyłą rozkoszą była dla niego grabież i mord, a po każdym zwycięstwie jego sale bankietowe rozbrzmiewały krzykami torturowanych pojmany dziewczic.

Oczywiście te legendy stawały się coraz bardziej wymyślne i pełne przesadzonych potwornych wydarzeń za każdym razem, gdy je opowiadano. Lecz relacje i historie zapisane w tamtych czasach wspominają strasznego władcę piratów z zabobonnym lękiem, a ich autorzy przypisują mu niemal nadprzyrodzone cechy. I chociaż przeklinają i oczerniają Kane'a, nazywając go najbardziej złym człowiekiem swoich czasów, mimo wszystko odnotowują z niechętnym podziwem jego nieugiętą śmiałość w boju. Tyle wie każdy – to stare bajki, które wszyscy słyszeliśmy będąc jeszcze dziećmi. Lecz ja dysponuję siłami, o których nawet nie śniłoby się w koszmarach prostym ludziom. Słyszałeś, o czym oni szepczą. Wiedz, że mam moc nad demonami ciemności, których mądrości nie zaślepia żalosna słabość śmiertelnego umysłu. W czasie niezliczonych nocy wzywałam te istoty z obcych wymiarów – nakazywałam im posłuszeństwo i słuchałam zdradzanych mi szeptem tajemnic, które przez wieki skryte były przed ludzką wiedzą. Zdradziły mi wiele dziwnych sekretów.

Pewnemu demonowi spoza naszych gwiazd rozkazałam zdradzić mi imię generała, który z całą pewnością poprowadzi moje wojska ku zwycięstwu w nadchodzącej wojnie. Mój piękny demon tej nocy powiedział mi, że losy mojej zemsty ważą się w rękach sił tak potężnych, że istota z jego wymiaru nie jest w stanie nimi władać, a nawet ich przewidzieć.

Kiedy jednak zmusiłam demona, by wykonał moje polecenie do granic swoich możliwości, powiedział mi imię człowieka, który najlepiej dopomoże mi w zemście.

Imię, które warknął demon, brzmiało: K a n e.

Przeklełam go wtedy, mówiąc, że kpi ze mnie. Kuląc się pod naporem mej wściekłości, demon płaszczył się przede mną i wyszeptał mi pewne sekrety, których nie zna nikt więcej w całym cesarstwie. Demon powiedział mi, jaki był los pirackiego władcy Kane'a po ucieczce z Montes.

Ci, którzy znali spryt pirata, dobrze się domyślali. Ten dawny Kane nie zginął w Montes, lecz umknął przed masakrą i odpłynął na zachód z resztką swoich rabusiów. Kane wędrował przez

niezmierzone Zachodnie Morze, roznosząc swe przekleństwo na wiele obcych krajów nad brzegami tych dalekich wód.

Mijały lata, jego wrogowie starzeli się, lecz ten Kane w tajemniczy sposób pozostał młody. Dzięki przekleństwu bowiem, o którym mój demon wspominał tylko niejasno, piracki władca wymykał się nie tylko śmierci, ale i wiekowi.

I tak, podczas gdy nowe pokolenia kroczyły nieuniknioną ścieżką od łona matki do grobu, Kane żył i wędrował. W cesarstwie jego mroczna sława stała się legendą, która z kolei przerodziła się w mit. Prawda była bardziej niewiarygodna niż jakakolwiek baśń – nikt nawet nie śnił, że nasz odwieczny wróg jeszcze chodzi po tej ziemi. Minęły przeszło dwa wieki i nikt nigdy nie domyślił się tajemnicy Kane'a. A teraz – tak przysiągł mi mój demon – ze wschodu Kane powrócił na nasze wybrzeże.

To o tobie szeptał demon, Kane! Ty jesteś tym człowiekiem, którego mój demon wskazał jako generała niezbędnego dla powodzenia mej zemsty! I składając przysięgi, których nie ośmieliłby się złamać, demon zaklinał się, że w Nostoblet znajdę tego samego człowieka, który sprowadził strach i śmierć w te okolice dwa wieki temu.

W ten sposób wiem z całą pewnością, że przede mną stoi teraz ten Kane ze strasznych legend!

Jeśli Kane był zaskoczony, nie okazał nawet śladu zaniepokojenia. Jedynym znakiem potwierdzenia było lekkie kiwnięcie głową i zimny uśmiech.

– Dobrze wyglądasz na swoje lata, Kane. Nic się nie zmieniłeś, sądząc z opisów w starych księgach.

– Dość barwnych opisów, według twoich słów – skomentował złośliwie Kane.

– Więc jesteś tym samym Kane'em, o którym tyle krąży strasznych legend!

– Sama mi już to powiedziałaś.

Efrel roześmiała się, uradowana swym sprytem, lecz nie było wesołości w jej nagłym rozkazie:

– Gravter! Zabij go!

Zaskoczony niespodziewanym wyrokiem śmierci zza zasłoniętych drzwi, Kane szybko wstał i odwrócił się ku nagłemu niebezpieczeństwu. Przez cały czas, gdy jego pani przemawiała do

gościa, wielki eunuch stał nieruchomo w cieniu na swym miejscu przy drzwiach. Na jej rozkaz Gravter wyciągnął ciężki parang z pochwy i skoczył na Kane'a z tyłu, zanim jeszcze ucichły słowa Efrele. Jego grube wargi rozchyliły się szeroko w milczącym okrzyku żądzy mordy.

Przeklinając brak broni Kane miał ledwo dość czasu, by zdać sobie sprawę z niebezpieczeństwa – gdy Gravter go zaatakował. Kolos o trzęsącym się cielsku błyskawicznie zamachnął się parangiem, zataczając nim opadający łuk. Z szybkością niespodziewaną u człowieka jego postury Kane uskoczył przed cięciem i kopnął eunucha po nogach, chcąc go przewrócić. Odzyskanie równowagi zajęło Gravterowi ułamek sekundy – dość, by Kane zdążył chwycić ciężki, srebrny świecznik.

Nie spuszczać oczu ze świecznika, Gravter poruszał się pewnie. Obaj przeciwnicy czujnie krążyli przykucnięci nieco, gotowi w każdej chwili uderzyć lub wycofać się. Eunuch zrobił fintę i Kane w odpowiedzi zamachnął się niezręcznie świecznikiem. Mrużąc pogardliwie oczy, kastrat otworzył usta i wydał dziwaczny, kaszlący syk. W jego zaślinionej gębie został tylko zdeformowany i poczerniały kikut języka. Znowu wykonał fintę, którą Kane, zapatrzone na jego okaleczone usta, odparował niezręcznie.

Przekonany, że już zna swego przeciwnika, Gravter pchnął zakrzywionym mieczem Kane'a w brzuch. Ale wtedy Kane'a już tam nie było. Z nieprawdopodobną szybkością usunął się przed ciosem wprowadzonego w błąd kastrata i błyskawicznie jak kobra uderzył świecznikiem w rękojeść ciężkiego noża, wytrącając go ze zdętwiałej dłoni Gravtera.

Z ohydny skrzykiem niemego człowieka, chcącego wyrazić swoją wściekłość, eunuch wziął się za bary z Kane'em, który lekceważąco rzucił mocno zgięty świecznik za parangiem Gravtera. Gravter był kastratem, ale potężnie umięśnionym i doskonale wyszkolonym w obowiązkach strażnika. Wiele razy ten olbrzym miażdżył ludzi gołymi rękami, żeby zabawić swoją panią. Masywnej budowy, zręczny zapaśnik – zwykły człowiek był już stracony, kiedy znalazł się w uścisku tłustych ramion Gravtera. Lecz teraz, zmagając się z Kane'em, eunuch natknął się na męczyznę znacznie silniejszego od tych, z którymi do tej pory

walczył. Pot zaczął spływać strużkami po niemal nagim ciele kastrata. Rozpaczliwie starał się zgnieść przeciwnika pod swymi 350 funtami mięśni, kości i gumiastego tłuszczu.

Łatwiej byłoby już obalić posąg niż wojownika o stalowych mięśniach, z jakim zmagał się teraz Gravter. Wykazując lepszą znajomość zapaśniczych chwytów, Kane wyrywał się z każdego uścisku, jakiego próbował Gravter, i tylko dzięki tłustej skórze eunuchowi udawało się wyślizgnąć z kolei Kane'owi. W zawziętej walce zdierali sobie pasma skóry. Nagle Kane wykręcił Gravterowi rękę i trzymał ją w nieubłaganym uścisku za jego plecami. Gravter szarpał się bezradnie, lecz jedną rękę miał bezużyteczną i Kane przewrócił go na podłogę. Rozległ się trzask, Gravter drgnął spazmatycznie. Z posępną zawziętością Kane złamał drugą rękę eunuchowi i jego beznadziejny jęk zwierzęcego cierpienia był najgłośniejszym dźwiękiem, jaki rozległ się w czasie ich walki. Nie zwracając uwagi na groteskowe wymachy wykręconych rąk kastrata, Kane chwycił tłustą szyję Gravtera swą potężną lewą ręką i powoli zadusił go.

Odrzucając z pogardą trupa na bok, Kane wstał i ruszył w stronę zasłony. Zawrzała w nim żądza krwi, a w jego oczach płonęło błękitne piekło.

Szalony śmiech Efreł powinszował mu.

– Spokojnie! Już dobrze. Właśnie udowodniłeś mi swoją tożsamość! Stare legendy mówią, że twoją najgroźniejszą bronią są ręce – nazywano cię między innymi Kane'em Dusicielem. Pokój teraz! Chciałam tylko sprawdzić wartość tych legend. Niepotrzebny mi legendarny bohater, którego męstwo opisano z wielką przesadą – nawet jeśli wydaje się nieśmiertelny.

Kane uśmiechnął się ponuro, a jego humor był tak samo niebezpieczny, jak rozwścieczonego tygrysa.

– Twoja ciekawość została zaspokojona. Wiesz, kim jestem. Teraz popatrzmy na ciebie!

Zerwał zasłonę...

...i spojrzał na koszmar.

Efreł leżała chichocząc na posłaniu z kosztownych jedwabi i cennych futer. Ich wspaniałe piękno było zbezczeszczone ohydą, która na nich spoczywała.

Władczyni Dan-Legeh była kaleką, pokreconą karykaturą

kobiety – złem, które przybrało postać materialną. Mroczna atmosfera złości i chęci zemsty promieniowała od tej potworności uczynionej jeszcze okropniejszą przez klejnoty i suknię z zielonego jedwabiu.

Nad jej leżanką wisiał na ścianie niemal naturalnej wielkości portret innej kobiety. Dama z obrazu była jedną z najpiękniejszych, jakie Kane widział. Leżała na pościeli zarzuconym futrami, odziana uwodzicielsko w najcieńsze jedwabie. Jej skóra była lśniąco biała, a figura stanowiła urzekające połączenie kobiecej piękności i wyuzdania. Artysta musiał poświęcić tygodnie pracy na to, by ukazać niezwykle piękno i delikatność jej twarzy, ciemnych, błyszczących oczu, jedwabistych, czarnych włosów.

Dziewczyna na obrazie i dziewczyna na pościeli przed nim. Doskonałe piękno i kaleka deprawacja. Szokujący potwornie kontrast absolutnych skrajności. W jednym strasznym momencie Kane zrozumiał, że obie te kobiety były Efreł.

Przywiązana była za przeguby, więc jej ręce ucierpiały stosunkowo mało – a przynajmniej nie prześwitywały na nich kości. Resztę jej ciała pokrywały okropne blizny. Całe ciało było tylko bezkształtną masą pomarszczonych tkanek, miejscami biała kość prześwitywała pod obszernymi bliznami. Ostre kawałki żeber sterczały z jej boku, gdzie skóra i ciało zostały zdarte. Jedną nogę amputowano tuż pod kolanem – była oderwana lub zbyt okaleczona, by dało się ją uratować. Stopa drugiej nogi była tylko spłaszczonym kikutem poniżej kostki.

Najgorzej jednak wyglądała twarz. Musiała wlec nią po ziemi, kiedy straciła przytomność. Długie pasma czarnych, jedwabistych włosów wyrastały z nielicznych miejsc na głowie, które nie były pokryte bliznami. Większość mięśni twarzy była zdarta – jej uszy były sterczącymi kawałkami chrząstki, a nos ziejącą dziurą.

Łatwo było teraz zrozumieć jej trudności w mówieniu. Policzki miała straszliwie porozdzierane, a usta stały się niekształtną szparą, która nie mogła zasłonić połamanych resztek zębów. Jedno oko było koszmarem. Drugie jeszcze gorsze, bo nietknięte. To jedno ciemne oko było wciąż piękne w tej ohydnej kpinie z ludzkiej twarzy, jak onyks w kłębowisku robaków.

Stworzenie nazywane Efel nie miało prawa żyć, żaden człowiek nie mógłby przeżyć podobnego okaleczenia. A jednak żyła. Żądza zemsty, która utrzymywała ją przy życiu, świeciła w jej jednym oku – oku, które bez lęku patrzyło w oczy Kane’a.

Kane spoglądał beznamiętnie na potworność na posłaniu. Jego zachowanie nie zdradzało niczego więcej poza uprzejmą ciekawością. Roześmiał się niewesoło.

– Tak, jestem Kane. I widzę, że ty jesteś Efel. Teraz, kiedy przedstawiliśmy się sobie, może powiesz, dlaczego wezwałaś mnie do Dan-Legeh?

– Co? Interesy? Tak szybko? – zachichotała Efel odrzucając już pozory normalności. – Czemu mówisz do mnie teraz o interesach? Spójrz! Jesteś w najskrytszej sypialni najpiękniejszej kobiety cesarstwa! Spójrz na mnie tu na ścianie! Spójrz na mnie tu przed tobą! Czyżbym tak się zmieniła? Nie uważasz, że wciąż jestem piękna? Nie jestem najcudowniejszą i najbardziej godną pożądania kobietą, jaką widziały twe oczy? Kiedyś byłam!

– W porównaniu z tym, co kryje się we wnętrzu tego obdartego ze skóry ciała, nadal jesteś piękną kobietą – pomyślał głośno Kane, czując wzbierającą odrazę.

Następny wybuch szaleńczego śmiechu.

– Taki jesteś uprzejmy, Kane? Ja znam zło, które czai się w twoich oczach! Należymy do jednego gatunku, ty i ja! Para dobrana przez zło!

Otworzyła ramiona do niego.

– Chodź, Kanie Piracie! Chodź, Kanie Nieśmiertelny! Jeśli masz naprawdę zająć miejsce Alremasa, pamiętaj, że kiedyś był dla mnie kimś więcej niż tylko generałem! Chodź, Kane, mój kochanku!

Kane podszedł do niej. Poszarpane wargi wpiły się w jego usta.

Z podłogi przyglądały im się w przerażeniu martwe oczy zaduszonego eunucha.

8.

KONSPIRACJA W PRISARTE

Popijając słodkie wino ze wspaniałego kryształowego pucharu, Kane w zamyśleniu przeglądał kilka ciasno zapisanych płatów pergaminu. Ciało Gravtera zostało wyniesione i inny służący stał na straży za drzwiami. Miecz Kane'a znowu zawisł u jego pasa, gdy makabryczna władczyni Dan-Legeh całkowicie przyjęła go w szeregi zaufanych. Efrel, pomyślał kwaśno Kane, była w pełni z niego zadowolona.

Teraz wyszła z sypialni, by przynieść następny stos papierów na oświetlony lampą stół, gdzie siedział Kane. Mimo połamanych kończyn i okaleczeń, Efrel nie była przykuta do łóżka.

Do kikutu pod jej prawym kolaniem przywiązana była dziwacznie rzeźbiona drewniana noga. Wysadzana kosztownymi klejnotami i ozdobiona rzeźbami, przypominała kończynę demona z jakiegoś narkotycznego koszmaru. W ten sposób Efrel mogła się poruszać, chociaż z trudem i tylko z pomocą laski mogła przekuśtykać większą odległość.

Podążyła z triumfem papiery Kane'owi.

– To kilka innych dokumentów, które cię zainteresują: listy okrętów wojennych pod dowództwem Marila, liczba wojowników, których może wezwać, tajne przysięgi wierności złożone mi przez wielu różnych władców, raport o obecnym stanie moich sił – wszystko tu jest zestawione. Maril dałby fortunę, by to przeczytać!

Kane popatrzył na nią znad jednego z dokumentów.

– Wykonałaś kawał solidnej roboty zbierając te informacje. Wspaniale spisałaś się odnotowując własne przygotowania, jak i wyszukując wiadomości o słabościach i mocnych stronach wroga. Jestem pełen podziwu.

Efrel skrzywiła się i mógł być to uśmiech.

– Tak, moi szpiedzy są bardzo dobrzy. Nadzwyczaj dobrzy. Moi wrogowie niewiele mogą ukryć przede mną. Tam gdzie zawodzą służący mi ludzie, mam inne sposoby zdobywania informacji.

Kane uniósł lekko brwi, lecz powiedział tylko:

– Jak widać. No więc z tego, co tu mam, widać, że poczyniłaś dokładne przygotowania. Oczywiście będę musiał przestudiować te materiały dokładniej, ale – jak w tej chwili stoją sprawy? To znaczy, czy mogłabyś w skrócie opowiedzieć mi o obecnym stanie twoich ogólnych planów?

Z wysiłkiem opadając na krzesło, Efreł odczekała chwilę, zanim zaczęła:

– Robi się późno i pewno do świtu już niedaleko. Jestem zmęczona, więc opowiem pokrótce. Później możemy porozmawiać o szczegółach razem – jestem pewna, że twoja wiedza okaże się bezcenna w tym przedsięwzięciu.

Zaczęła mówić umyślnie powoli, a jej głos wznosił się w napięciu przy każdej frazie.

– Te kilka ostatnich lat poświęciłam na planowanie spisku, by obalić rządy uzurpatora Netistena Marila. Wiesz już o niepowodzeniu mojej pierwszej próby. Zapłaciłam straszną cenę za to niepowodzenie, lecz bogowie zechcieli oszczędzić swą córkę, by dać jej drugą szansę.

Tym razem utkałam swą pajęczynę starannie i chytrzej. Tym razem wezwałam na swe usługi siły tak potężne, że nie mieści się to w ludzkiej wyobraźni. Tym razem uda mi się – musi się udać. Muszę przywrócić Pellinowi władzę, muszę zająć tron cesarski, który był mi przeznaczony. Muszę zemścić się na Netistenie Marilu i całym jego po trzykroć przeklętym rodzie. Muszę się zemścić!

Ostatnie słowa przeszły we wrzask, lecz następne wyszeptała:

– Żaden człowiek, żaden bóg ani diabeł nie przeszkodzi w mej zemście.

Dopiero po chwili Efreł znów się odezwała:

– Jak widzisz, dobrze się przygotowałam. Tak, dobrze się przygotowałam, a Maril nadal nic nie wie o moich zamierzeniach. Potajemnie rozbudowywałam pellińską flotę. Niejeden statek zakotwiczony w jakimś południowym porcie czeka nie na ładunek, lecz na moje rozkazy. Moi wysłannicy potajemnie zapewnili wierność i posłuszeństwo wielu wyspiarskich władców – wielkich panów, jak i tych z pomniejszych wyseppek. Imel, którego już poznałeś, jest typowym przedstawicielem moich

nowych sług – jest szlachcicem z samego Thovnos. Tak jak potomkowie innych szlacheckich rodów, które zubożały i straciły na znaczeniu pod rządami Netistenów, zauważył szansę zdobycia bogatych posiadłości, które przywróciłyby znaczenie jego rodzinie. Czasami obietnice rozszerzenia władzy lub nieograniczonego prawa brania łupów i grabieży skłaniały magnata do przejścia na moją stronę. Mogło się też zdarzyć, że jakiś władca, który mnie nienawidził, nagle umarł, a jego miejsce zajął ktoś, kto w tajemnicy mi sprzyjał. Armie najemników zostały kupione przez podstawionych przeze mnie władców. Zaciągnęłam nawet na służbę całe bandy piratów i ściganych przestępców, więc powinieneś czuć się jak wśród swoich.

W ten sposób systematycznie zwiększałam moje wojska nie budząc podejrzeń. Dokładna siła, jaką w tej chwili dysponuję, jest tu zapisana. Sądzę, że jakieś sto statków wypłynie pod moim sztandarem bojowym, a wielu dołączy, kiedy ujrzy nasze pierwsze zwycięstwa. Żołnierzy i galerników mogę dostarczać tysiącami, a moi robotnicy pracują dniem i nocą wytwarzając nowe bronie, zbroje i maszyny wojenne.

– To, co mówisz, z pewnością wywiera wrażenie – przerwał Kane. – Lecz siły floty cesarskiej przewyższają nasze wielokrotnie. Z tych dokumentów wynika, że Maril wciąż ma poparcie monarchów na pozostałych sześciu największych wyspach cesarstwa, nie wspominając o tym, że większość małych wysp pozostaje nadal pod jego kontrolą. Z łatwością może zgromadzić flotyllę trzy razy potężniejszą od naszej, a każdy statek będzie w niej pierwszej klasy okrętem wojennym. Wystarczy, jeśli zażąda od swoich wasali, by poparli go tak, jak są zobowiązani uczynić na rozkaz cesarza. A jeśli chodzi o liczbę ludzi, nie dorównujemy im nawet trochę.

Kane popatrzył ponuro na stos dokumentów.

– Do diabła, jeśli Maril zacznie wykrobywać resztki, tak jak ty to robisz, może zgromadzić więcej niż cztery razy tyle statków, ile my możemy, i również lepiej je obsadzić ludźmi. Już raz sprawdziłem na tych wyspach, że odwaga i przebiegłość nie są w stanie pokonać wroga, którego siły znacznie przewyższają twoje. W końcu wszystko sprowadza się do ludzi – walki człowieka z człowiekiem – i w ostatecznym rozrachunku silniejszy będzie

zwycięzcą, a słabszy zginie.

– Oczywiście! – Efrel nie zwracała uwagi na przestrogi Kane. – Ale, jak już ci powiedziałam, dysponuję czymś więcej niż tylko ludzkimi siłami. Te zabazgrane kawałki pergaminu nawet nie sugerują ukrytych mocy, jakie rozpętam w odpowiednim czasie – ale tylko we właściwym momencie będę mogła to uczynić.

Przerwała, by nasycić się wyraźną ciekawością Kane’a.

– Posłuchaj, Kane! Zajmiesz się organizacją mych przyziemnych sił. Wiem, że masz dość geniuszu, by stworzyć z tych oddzielnych fragmentów jednostkę wojenną – armię, która zwycięży mimo mniejszej liczby ludzi i ledwo zebranej floty. Nagrodą za twoje zwycięstwo będzie królestwo – władza w cesarstwie ustępująca tylko mojej.

Zajmuj się wyłącznie swoją armią i nie mów mi o równowadze i szansach. Powiadam ci, Kane – kiedy nadejdzie czas, by uderzyć, zdołam przeważać szalę zwycięstwa na naszą stronę! Nikt nie ośmiela się zgadywać, z jakich sekretnych królestw Efrel wezwie moc, której nic się nie oprze. Ci, którzy odpowiedzą na me wezwanie, zniszczą tę drobną przewagę liczebną i techniczną, jaką Maril ma nad nami.

Kane błyskawicznie natarł na nią, chcąc dowiedzieć się więcej.

– Zaczynasz mnie interesować. Jakiego rodzaju siłami nadprzyrodzonymi ponoć rozporządzasz? Jeśli są tak potężne, dlaczego potrzebujesz mnie?

Wyczuwając jego wyzwanie Efrel znowu zaczęła robić uniki. Jej koszmarna twarz przybrała wyraz jakby chytrego uśmiechu.

– Później, Kane, nadejdzie czas, by wtajemniczyć cię w moje najgłębsze sekrety. Później powiem ci wszystko. Teraz wstaje już świt.

9.

WIĘZIEŃ W THOVNOSTEN

Cela więzienna ma charakterystyczną atmosferę. Człowiek ślepy i głuchy może ją wyczuć, chociaż nie widzi murów ani krat, nie słyszy przekleństw, błagań ani brzęku łańcuchów. Więzienie może być plugawą norą w głębi jakichś zapomnianych lochów, może też być królewskim apartamentem, oferującym wszelkie wygody. Niezależnie od swego wyglądu i położenia każde więzienie odbiera człowiekowi dwa bezcenne prawa – wolność i godność.

W każdym więzieniu znajduje się jakaś bariera – zardzewiały łańcuch, zapleśniały mur, surowy strażnik, a może tylko usłużny, lecz niewzruszony sługa pod drzwiami. Jakaś konkretna bariera ogranicza wolę więźnia i mówi mu: „Tak daleko możesz zajść, lecz nie dalej, tyle możesz zrobić, lecz nie więcej”. I tak samo jak więzienie ograbia człowieka ze swobody wyboru ruchów i postępowania, odbiera mu również godność niezależnej jednostki. Stąd się bierze ta charakterystyczna, zgniła atmosfera każdego więzienia – niewidzialne miazmaty napięcia, strachu i nienawiści, apatii i bólu, straconej nadziei i nie dającej się wyrazić rozpacz.

M'Cori czuła to. Serce jej biło w podświadomej panice, kiedy szła za strażnikami, i oddychała szybko, jakby powietrze było duszne. Było duszne, pomyślała niespokojnie. Brak świeżego powietrza, brak słońca, towarzystwa, to powolna śmierć przez uduszenie. Dygocząc, przestała dłużej o tym myśleć. Idąc po schodach zebrała luźne fałdy jedwabnej sukni, jakby obawiała się, że dotknięcie kamieni może ją skazić jakimś niematerialnym brudem. Na białych ramionach miała narzucony lekki płaszcz, chociaż na ciałach strażników połyskiwały krople potu pod ich brudnym rynsztunkiem.

Jakieś pół tuzina strażników czuwało pod grubymi drzwiami, prowadzącymi do podziemnego pomieszczenia, z którego nie było innego wyjścia. Stali z wyciągniętą bronią oczekując, aż

przybysze podejda.

Padło hasło i odpowiedź. Kiedy się zbliżyli, strażnicy uspokoili się trochę, poznając córkę cesarza.

– Pytał o ciebie, pani – tłumaczył uprzejmie kapitan. Zajrzał przez małe, zakratowane okienko w grubych drzwiach. W środku było jeszcze czterech strażników.

– W porządku. Otwórzcie jej – rozkazał. – Pani M’Cori przysła złożyć wizytę.

Kapitan straży włożył klucze do dwóch masywnych zamków po jego stronie drzwi, a w tym samym czasie odsunięto ciężkie zasuwę od środka. Drzwi otworzyły się ciężko i strażnicy wewnątrz odsunęli się na bok, by ich kapitan mógł wejść do przedsionka. Następny klucz obrócił się w zamku drzwi z grubych prętów, które znajdowały się w tym przedsionku. Strażnicy przyglądali się z napięciem, jak ta ostatnia bariera otwiera się ze skrzypieniem, lecz po mieszkańcu najtajniejszej celi Thovnosten nie było śladu.

Kapitan przytrzymał drzwi.

– Proszę, milady, nie dłużej niż pół godziny. Rozkazy pani ojca, pani rozumie.

Kiwając głową niezdecydowanie, M’Cori przestąpiła próg. Znowu poczuła ten sam dreszcz osaczenia i beznadziejności i zastanowiła się, czy kiedykolwiek dane im będzie spotkać się poza jego chłodnym cieniem. Zawołała cicho:

– Lages?

W pomieszczeniu było cicho. Panowała w nim podziemna ciemność, rozświetlona tylko jedną lampką i pochodniami na zewnątrz. Było na tyle obszerne, by większa jego część ginęła w cieniach poza migoczącym światelkiem. Kiedy szeroko otwarte oczy M’Cori przyzwyczyły się do mroku, mogły zobaczyć spartańskie wyposażenie celi.

Nie była to wilgotna dziura, w której zostawia się więźniów, by gnili w łańcuchach, chociaż jeszcze nikt nie uciekł z niej w długiej historii tych lochów. Była to cela specjalna. Tutaj monarchowie i cesarze Thovnos zamykali więźniów politycznych, którzy stanowili takie zagrożenie dla ustalonego porządku, że trzeba było ich uwięzić tam, skąd nigdy nie mogli uciec, a których ranga nakazywała pewne względy i przywileje. Śmierć była lepszym

strażnikiem, ale czasem wygodniej było więzić tę popularną osobę, dopóki nie wygasła publiczna sympatia i można było wtedy dyskretnie jej się pozbyć.

M'Cori wydało się, że widzi nieruchomą postać wyciągniętą na wąskim więziennym łóżku. Podeszła bliżej i w jej głosie zabrzmiała wznosząca się nuta niepokoju.

– Lages?

Człowiek na łóżku drgnął, kiedy podeszła blisko. Jęknął ochryple i na oślep machnął ręką w jej stronę. M'Cori krzyknęła, gdy silne uderzenie jego ramienia odtrąciło jej wahającą się rękę.

Młodzieniec obudził się dygocząc.

– M'Cori! – szepnął. – To ty! Na Hormenta, tak mi przykro, że wystraszyłem cię. Śnił mi się koszmar i ja...

Ucichł, przeczesał palcami potargane brązowe włosy i wytarł zimny pot z zarośniętej twarzy. Po omacku zaczął szukać dzbanka z wodą.

– Nie chcę zapalać światła, kochanie, strasznie wyglądam – przeproszał. – Spodziewałem się ciebie dopiero jutro, gdybym wiedział, posprzątałbym trochę. Właściwie, co ty tutaj robisz w środku nocy?! – W jego głosie zabrzmiał niepokój: – M'Cori! Nie ukrywaj niczego! Czy oni...?

Podbiegła do niego, uciszając jego nagłą panikę.

– Nie, Lages! Przestań, proszę. Ojciec jeszcze o niczym nie zdecydował. Nic się nie zmieniło. – Jej oczy zaszyły mgłą. – Lages, przecież teraz nie jest noc, lecz środek dnia.

Lages zaklął i wstał.

– Zaczekaj, zapalę światło. Mówisz, że jest środek dnia? Do diabła, znowu za długo spałem. Zaczekaj, tutaj też zrobię dzień. Samo południe, jeśli chcesz. Stanę się tu, pod ziemią, rośliną – do diabła z tym wszystkim – grzybem. Dzień, noc, co za różnica! Jem, kiedy jestem głodny, śpię, kiedy czuję się zmęczony. Ostatnio nie chce mi się jeść, więc przez większość czasu śpię. Któregoś dnia po prostu nie będzie mi się chciało obudzić i będę tak spać, aż świat na zewnątrz dawno zapomni o Lagesie! Proszę! Dwie lampy na dzień, trzy na południe, a jedną zdmuchuję na noc. Południe, powiedziałaś, to znaczy wszystkie trzy lampy.

Odwrócił się do niej i zobaczył przerażenie malujące się na jej twarzy. Pomyślał z niepokojem, że jego słowa muszą

przypominać bredzenie szaleńca. Poprawił swoje wygniecione ubranie i szepnął uspokajająco:

– Wybacz mi, kochanie. Ten koszmar zupełnie zszargał mi nerwy. Przyzwyczailem się do rozmawiania ze sobą i zapomniałem, jak się prowadzi rozsądne rozmowy.

Uśmiechnął się krzywo, a ona rozjaśniła się, pełna nadziei.

– Przykro mi, jeśli cię wystraszyłem – ciągnął dalej, próbując zapomnieć o koszmarze.

O koszmarze, który nawiedzał każdy jego sen. A był to koszmar o młodym więźniu, który leżał bezradny w swej celi – który kulił się jak wysmagany niewolnik w ciemnym kącie, słysząc zbliżające się kroki jego oprawców. Blisko, coraz bliżej. Nigdy zupełnie nie dochodzą do drzwi, wcześniej niewolnik zaczyna wrzeszczeć w obłądnym przerażeniu. I wtedy Lages budził się krzycząc.

Któregoś dnia kroki dotrą do drzwi celi. Któregoś dnia nie obudzi się. Wzdrygnął się. Wystarczającym poniżeniem było czekanie tutaj, czekanie, aż zostanie wyprowadzony i zarznięty jak jakiś przestępca. Lecz być dręczonym obawą, że wrogowie zastaną go kulącego się na podłodze...

Wiedział, że nie boi się śmierci. Nawet tak haniebną, jaką bez wątpienia czekała na niego. Odrażającej. Takiej, z którą trzeba walczyć, unikać za wszelką cenę. Lecz nie obawiał się śmierci. Więc skąd ten koszmar – skąd sny o tchórzostwie? Czy ktokolwiek może powiedzieć z całą pewnością, jak zachowa się w obliczu śmierci? Uwięzienie zaczęło nadweręzać jego umysł. Może jego męskość również ginie. Może za miesiąc – a może jeszcze za jeden... Po raz tysięczny przeklinał los, który pozwolił mu dać się wziąć żywcem.

W celi było już cicho. Ktoś mówił. Mówił do niego. To była M'Cori. Bogowie, niemal całkiem przestał o niej myśleć.

Mając nadzieję, że nie zauważyła jego zamyślenia, zaczął się uśmiechać – i stwierdził, że uśmiecha się bez powodu już od kilku minut. Czy zauważyła to? Zdawało się, że nie. Może wobec tego zachowywała się dyskretnie. Zmusił się do skupienia na jej nerwowym sprawozdaniu złożonym z dworskich plotek z poprzedniego tygodnia, opowiadaniu o nowym trubadurze i temu podobnych głupstwach.

M'Cori wyczuła, że znowu jest z nią, i przerwała paplaninę,

patrząc na niego z niepokojem. Za zakratowanymi drzwiami niewzruszenie stali strażnicy. Lages był ciekawy, czy Maril cieszy się słysząc ich raporty o jego coraz bardziej nienormalnym zachowaniu.

– Czy twój ojciec wspominał coś o mnie? – zapytał, znając już odpowiedź. Dziewczyna pokręciła głową z powagą, burząc fale blond włosów. Po raz pierwszy zwrócił uwagę na jej perfumy i przypomniał sobie, że powinien pochwalić jej wygląd. Na pewno spędziła wiele godzin przygotowując się na te pół godziny. Ubrana była i uczesana jak na bal. Zastanowił się, czy nie jest już za późno na wyrażenie swego podziwu – bez sprawiania wrażenia, iż nie zwrócił uwagi na jej wygląd od razu. Zdecydował, że nie jest.

– Nie, ojciec udaje, że zapomniał o tobie. Nigdy nie wymienia twojego imienia. To jego ulubiona sztuczka, kiedy stanie się coś, co głęboko go niepokoi. Kochanie, jestem pewna, że ma zamiar darować ci życie. Po co inaczej trzymałby cię przy życiu przez te ostatnie...

– Te ostatnie dwa miesiące – dokończył za nią Lages. – Jest cała masa powodów, ale nie martw się tym. Mimo wszystko wytrzymałem dwa lata pod pantoflem Marila i jeszcze się nie załamalem.

Ale jestem już tego bliski – pomyślał. Do trzech razy sztuka.

Lages był na morzu, kiedy Efreł knuła swój spisek z Leyanem, w związku z tym nie był weń wmieszany. Pewny lojalności syna Leyan odkładał moment wtajemniczenia Lagesa aż do ostatniej chwili. Tak więc pierwsze wieści o tragicznym losie ojca dotarły do Lagesa po powrocie do portu i jego koledzy oficerowie z bólem serca oświadczyli mu, że jest aresztowany z rozkazu cesarza. Okazując rzadką łaskę, Maril nie stracił Lagesa wraz z rodzinami konspiratorów, ale za to kazał go czujnie śledzić.

Rozwścieczony z powodu śmierci ojca Lages lekkomyślnie uknuł spisek, aby zabić Netistena Marila. Jego niewydarzony plan nie miał nawet szansy dojrzeć i Maril tym razem uwięził Lagesa, ale w dobrych warunkach.

Zamknął swego bratanka w apartamencie w pałacu cesarskim, uzyskawszy przedtem jego szczerą przysięgę, że nie będzie dalej spiskował przeciw swemu stryjowi. Znowu cesarz

zachował się nietypowo, okazując łaskę.

Przy pomocy kilku przyjaciół Lages śmiało uciekł z tego pozłacanego więzienia. Zbierając wrogów swego stryja, Lages zorganizował tym razem niemal udaną próbę zgładzenia cesarza i zajęcia jego tronu. Ogarnięty nienawiścią Lages nie myślał o tym, że jest wykorzystywany przez siły, których jedynym pragnieniem było zagarnięcie władzy w cesarstwie dla siebie.

Używając Lagesa jako marionetki inni konspiratorzy zdołali wzbudzić znaczącą publiczną sympatię dla zapalonego młodzieńca. I znów Netisten Maril zdusił spisek, a Lages jeszcze raz stał się jego więźniem.

Lecz tym razem już miało nie być ucieczki dla Lagesa, nikogo, do kogo mógłby zwrócić się o pomoc. Został żywcem pogrzebany. Tylko M'Cori miała przywilej odwiedzania go, a ona nigdy nie zdradziłaby swojego ojca – tak przynajmniej sądził Maril. Upływały powoli tygodnie, podczas gdy Maril wyłapywał ostatnich współników Lagesa. Lages wiedział, że tym razem Netisten Maril nie okaże łaski bratankowi, który go nienawidzi.

– Przyniosłam ci kilka rzeczy – mówiła M'Cori. Uniosła swój koszyk z radością dziecka, które obdarza ulubioną koleżankę swoimi skarbami.

To właśnie ta naiwność, ta zdolność zupełnego oddzielenia się od otoczenia, od rzeczywistości i wciągnięcia innych w ten jej zaczarowany świat – to sprawia, że tak kocham M'Cori – pomyślał Lages.

– Mam nadzieję, że miecz i komplet kluczy – powiedział z nieprzekonywającą beztróską.

M'Cori uśmiechnęła się promiennie. – Obawiam się, że zostały skonfiskowane przez twoich strażników wraz z toporem bojowym, który ukryłam we włosach.

Zarumieniła się pięknie, kiedy skorzystał z tej okazji, by wreszcie powiedzieć jej kilka tak oczekiwanych komplementów.

– Ale nie znaleźli zaczarowanego pierścienia niewidzialności, który włożyłam sobie za dekolot – dodała przebiegle.

– Więc gdzie jest teraz? – zapytał.

– Sama nie mogę go znaleźć – roześmiała się. – Jego czar działa aż nadto dobrze.

– Może pomóc ci go szukać? – zaproponował Lages.

M'Cori kopnęła go żartobliwie i sięgnęła do koszyka. Lages wyczytał utajoną obietnicę w jej opuszczonych oczach, chociaż nie był po temu ani czas, ani miejsce.

– Proszę – powiedziała, wyciągając ciężką butelkę. – Ukradłam butelkę importowanej brandy ojca z jego najtajniejszej skrzynki w piwnicy.

Lages westchnieniem okazał podziw.

– Jakie masz jeszcze niespodzianki, mała czarodziejko?

– Mam jeszcze książkę. Pomyślałam, że może chciałbyś poczytać.

– Jaką książkę?

M'Cori ze spuszczonego wzrokiem podsunęła mu tom w bogatej oprawie. – Wiesz, to są wiersze. Napisał je Pacin z Tresli. Ja wiem, że uznasz je za okropnie ckliwe. Ale one są moje. To moja ulubiona książka. Czytam ją często. To znaczy, myślałam, że chciałbyś przejrzeć jego poezje – teraz, kiedy wiesz, że lubię je i że wiele dla mnie znaczą. Miałbyś wtedy coś, co jest mi drogie. Coś, co mógłbyś zatrzymać przy sobie przez ten czas, kiedy jesteś tu w podziemiach.

– Dziękuję ci, M'Cori – powiedział uprzejmie Lages. – Będę czytał te wiersze uważnie nocami. Jeśli sprawi ci to przyjemność, nauczę się ich wszystkich na pamięć. Będę ci je recytował jak twój własny minstrel.

Roześmiała się, słysząc tę propozycję, ale zawahała się na chwilę, zanim zaczęła mówić dalej.

– Przyniosłam ci jeszcze jeden prezent. Ostrożnie sięgnęła do koszyka i wyjęła z niego mały bukiet dzikich kwiatów. Nieśmiało podała garść kolorowego zapachu Lagesowi, mając rozpaczliwą nadzieję, że przyjmie je, i okropnie bojąc się, że będzie się śmiał albo poczuje się obrażony.

– Kwiaty, M'Cori? – zapytał zdziwiony.

– Zerwałam je własnymi rękoma dziś rano na łące. Moje dworki myślą, że oszalałam – powiedziała z wahaniem. – Wiem, że to głupio, kiedy dziewczyna przynosi kwiaty mężczyźnie! Tylko że ja przez cały czas myślę o tobie zamkniętym tutaj bez słońca. Pomyślałam o czymś pełnym życia, jak te kwiaty, że może to będzie jakbym... jakbym...

– Jakbyś schwytała trochę słońca i przyniosła mi tutaj –

dokończył za nią Lages.

M'Cori pokiwała głową i uśmiechnęła się, ciesząc się, że ją rozumie. Ponieważ nie miała już nic więcej do powiedzenia, pozwoliła Lagesowi objąć się mocno. Całując się, zupełnie nie zważali na przyglądających się beznamiętnie strażników.

M'Cori wcisnęła głowę pod jego podbródek i stała przytulona do niego w milczeniu. Lages czuł każde uderzenie jej serca na swojej piersi. Czuł, jak powoli rozluźnia się w jego ramionach, zadowolona niczym usypiające dziecko. Pomyślał, że może usnęła, tak nieruchoma była, kiedy nagle gwałtownie odsunęła się od niego.

Pogładziła delikatnymi dłońmi jego twarz z wyszukaną pogardą.

– Twoja twarz przypomina szczotkę ryżową! Podrapałeś mnie! Mógłbyś albo zgolić tę tarkę, albo zapuścić sobie porządną brodę! – Zmierzyła go wzrokiem. – Wiesz, wyglądałbyś bardzo męsko z brodą. Musiałbyś tylko przystrzygać ją schludnie.

Lages zaczął protestować, ale zdał sobie sprawę, że ona chciała tylko wyrwać go z apatii. Zamiast tego powiedział do niej powoli:

– Jesteś moją ostatnią nadzieją, M'Cori. Gdyby nie ty, dawno już zrezygnowałbym i oszalałbym z rozpacz.

Kapitan straży dyskretnie chrząknął, stając w drzwiach.

– Milady, musi pani już iść. I tak pozwoliłem pani zostać niemal godzinę. Pani ojciec obdarłby mnie ze skóry, gdyby się o tym dowiedział.

M'Cori wstała niechętnie i skierowała się do wyjścia.

– Wróć, kochany – szepnęła. – Wydostaniesz się stąd – wiem, że tak będzie. Będę błagała ojca, żeby ci przebaczył, a przynajmniej, żeby przeniósł cię do celi w wieży. Jestem pewna, że daruje ci życie, Lagesie!

Jej optymizm niemal mu się udzielił.

– Oczywiście, kochanie. Próbuje nadal, wszelkimi sposobami. Wiem, że robisz wszystko, co w twojej mocy, by mi pomóc. Będę czekał na twoje następne odwiedziny.

– Do widzenia, Lagesie – zawołała już w drzwiach. – Nie zapominaj o przepowiedni kapłanki. – Przysłuchiwał się jej cichnym krokom. Tak, przepowiednia. Nie zapominaj o przepowiedni.

Dawno temu – jak dawno? Byli trójką półdzikich dzieciaków szalejących w czasie świątecznych zabaw na ulicy. M’Cori, Roget i Lages wymknęli się Leyanowi i pobiegli ciesząc się tą wolnością wśród tłumu i straganów. W jednej mrocznej budzie znaleźli zasuszoną staruchę, która przysięgała, że jest ostatnią kapłanką Lato, diabelskiego kultu, dziesiątki lat temu wypartego przez kapłanów Hormenta. Powiedziała, że jeśli pozwolą jej posmakować ich krwi, przepowie im przyszłość.

Rzucone sobie wyzwania sprawiły, że nie mogli się wycofać. Z całą powagą każde z nich ukuło się w palec sztyletem Rogeta i wsunęło rubinowe splamiony opuszek do bezzębnych ust staruchy. Ssała tak łapczywie, że wydawało im się, że zedrze im ciało z palców.

Rogetowi przepowiadała sławę i chwałę wojownika, Lagesowi królestwo, M’Cori małżeństwo z ukochanym, który będzie księciem i spłodzi jej siedmiu silnych synów. Odeszli kłócąc się, czyj los jest wspanialszy i kiedy Leyan wreszcie odnalazł dzieci, bardzo był zaniepokojony ich przygodą. Nigdy więcej nie zobaczyli starej kapłanki.

Wzruszył ramionami, czując przyływ goryczy. Przepowiednie i dziecinne marzenia. To prawda, że Roget zdobył sławę jako wojownik, lecz znalazł również śmierć. Został zastrzelony z ukrycia przez nieznanego zabójcę po swym wspaniałym triumfie nad buntownikami na Fisitii.

A człowiek, dla zachowania którego tronu Roget zginął, zabił ich ojca. Teraz Lages był buntownikiem. Jego szczęście dobiegało końca.

Lages posepnie przyjrzał się podarunkom M’Cori. Ckliwe wiersze. I kwiaty. Akurat tego trzeba mu było, by uciec przed tym więzieniem, tym losem. W najgorszym przypadku przypominały mu tylko o tym, że jest zamknięty tu, pod ziemią.

Ścisnął mocno w dłoni bukiet kwiatów i popatrzył na niego gniewnie. Czy chciał rzucić je na podłogę i podeptać – czy przycisnąć do warg, tego nie wiedział.

10.

SZPIEG CESARZA

Cassi był ściganym człowiekiem. Przez większość życia go ścigano.

Dzieciństwo na ulicach Thovnosten prowadzi albo do szybkiej dojrzałości, albo wczesnej śmierci, bo życie jest tu bezlitosną grą, w której zwycięzcami są silni i chytry. Cassi był chuderlawym dzieckiem, a jednocześnie chytrym i przebiegłym jak szczur. Jego wrodzony talent pozwolił mu w końcu zostać jednym z najsprytniejszych złodziei w cesarstwie. A kiedy wreszcie młodzieniec został złapany, wymknął się spod oczekującej go szubienicy, uciekając z cesarskich lochów, jak nikt przed nim. Nigdy więcej cesarskiej straży nie udało się go pochwycić i koledzy dziwili się jego niezwykłemu szczęściu.

Niewielu – bardzo niewielu wiedziało, że był on jednym z najzdolniejszych szpiegów cesarstwa. Netisten Maril docenił spryt Cassiego, który mógł wyświadczyć wielkie przysługi cesarzowi. Maril sam zaaranżował ucieczkę Cassiego, kiedy już zapewnił sobie jego lojalność, a te bajeczne kradzieże, które uczyniły Cassiego niemal legendą w podziemnym świecie cesarstwa, były potajemną zapłatą za cenne informacje.

Niejasne podejrzenia nakazały Marilowi wysłać swego szpiega do Pellinu. Obserwował uważnie tę wyspę od czasu niepowodzenia spisku jej królowej. Raporty, które otrzymywał, były czysto rutynowe, a zdrada bratanka wymagała w tej chwili poświęcenia jej pełnej uwagi. Gdyby nie to, mógłby poczuć się zaniepokojony, kiedy jeden po drugim jego szpiedzy w Pellinie przestawali nadsyłać swoje raporty. Tych niewielu, którzy wrócili jednak z wyspy, zapewniało go, że panuje tam spokój i że Pellińczycy nie przejęli się śmiercią swej królowej. Maril jednak nie był głupcem i wiedział, że szpieg jest bronią, którą nietrudno obrócić przeciw temu, kto jej używa. Cała masa pojedynczych, osobno nic nie znaczących wypadków w całym cesarstwie podsuwała mu myśl, że być może gdzieś zawiązuje się spisek.

Rozkazał więc cesarz Cassiemu udać się do Pellinu.

Cassi stwierdził, że podejrzenia jego pana są prawdziwe. Od kilku miesięcy po slumsach i portowych mordowniach, gdzie bywał Cassi, krążyła uparcie pogłoska. Ludzie szeptali o miejscu, gdzie obiecywano bogactwo i bezpieczeństwo dla każdego bandyty, niezależnie od jego przestępstw – w zamian za posłuszeństwo i współpracę w jakimś tajnym przedsięwzięciu. Gdzie jest to miejsce i czego od nich będą wymagać po zjawieniu się tam, nikt nie umiał powiedzieć.

Mówiono, że jakiś przestępczy geniusz planuje stworzenie przemytniczej szajki na skalę całego cesarstwa albo że nowo utworzona banda piratów poszukuje ludzi, albo że jeden z wyspiarskich władców chce stworzyć prywatną tajną armię, i całą masę jeszcze innych rzeczy.

Własne informacje Cassiego łączyły tę pogłoskę z Pellinem. Kierując się także intuicją dał znać, że interesowałoby go udanie się w to miejsce. Zgodnie z umową straż cesarska zaczęła mocno deptać po piętach złodziejowi i wkrótce Cassi skontaktował się z tymi, którzy obiecywali schronienie i majątek. Zabrano go potem do Pellinu wraz z wieloma, którzy wymknęli się spod szubienicy na placu Sprawiedliwości.

Po przybyciu zaprowadzono ich do nowo wybudowanych koszar, w których mieszkały już setki innych świeżych rekrutów, wybranych z rynsztoków cesarskiego podziemia przestępczego. Tam dano im jeść, uzbrojono i wyposażono oraz obiecano złoto.

Żeby zarobić na swoje utrzymanie, musieli przez cały dzień ćwiczyć musztrę. Chociaż utrzymywano pozory tajności, nawet najgłupszy z nich widział, że przygotowano otwarty bunt. Bez przerwy toczono rozmowy – radowano się perspektywą splądrowania cesarstwa, omawiano w podnieceniu wszystkie strony tej śmiałej wyprawy, snuto nieprawdopodobne domysły na temat złowieszczego przybysza, który kierował wszelkimi przygotowaniem.

Gdy tylko można było oddalić się dyskretnie, Cassi postanowił skontaktować się z siecią szpiegów Netistena Marila w Pellinie.

Nie udało mu się odnaleźć kilku z tych, których szukał, aż wreszcie skontaktował się z jakimś Tolsytem, który był również głównym dostawcą wina do Dan-Legeh.

Winiarnia cuchnęła stęchłym octem i kwaśnym potem. Miała wygląd opustoszałej tawerny po zamknięciu baru, który ujawnia swoją nędzę i zapuszczenie przy braku klientów. Sam Tolsyt tylko w połowie przypominał tłustego, wesołego handlarza winem. Był, owszem, dość gruby, chociaż zauważalne fałdy skóry wskazywały, iż ostatnio stracił sporo na wadze, ale niewesoły. Był przerażony i wyglądał tak, jakby nie widział trzeźwego dnia od miesięcy.

– Dobra, co tu się stało? – spytał Cassi, jak tylko dorwał przerażonego handlarza winem na osobności i wytłumaczył mu, kim jest. – Na czarne serce Lato! Musieliście wiedzieć, że w Pellinie coś się dzieje od miesięcy! Czemu nie było raportów? Dlaczego tych kilku szpiegów, którzy wrócili, nie powiedziało ani słowa o tym jawnym spisku? Maril podwoił przecież siły swojego wywiadu tutaj – gdzie są wszyscy inni?

– Nie żyją. Wszyscy nie żyją – odpowiedział cicho Tolsyt. – Ale na bogów, jaką śmiercią umarli!

Zadrzał mu głos. Cassi zauważył z niepokojem, że jego oczy były wilgotne od łez, chociaż twarz pozbawiona była wyrazu.

Cassi wybuchnął.

– Nie żyją! Wszyscy nie żyją, z wyjątkiem ciebie! Czy myślisz, że dam się nabrać na taką historyjkę? – Jego oczy były zawsze wąskie, teraz zwężyły się jeszcze bardziej. Był niewielkim mężczyzną o zaniedbanym i przeciętnym wyglądzie. Żmija też jest mała i niepokązna, dopóki nie zaatakuje.

Handlarz uśmiechnął się głupio przez łzy.

– Nie żyją, tak. Wszyscy, z wyjątkiem mnie. Tylko jednego Tolsyta. Kilku innych musiała przekupić. Tych ocaliła, by zanieśli fałszywe raporty Netistenowi Marilowi – zatrute kłamstwa o cichym, spokojnym Pellinie. Zdaje się, że dobrze zasłużyli na swoją zapłatę. Może powiedzieli jej, gdzie szukać ich byłych towarzyszy. Może wydarła obietnicę zdrady z innych swoimi piekielnymi narzędziami tortur. Gdybyś tylko widział, co ona z nimi zrobiła. Była z tego dumna – wywiesiła ich zwłoki na murach Dan-Legeh, aby każdy mógł podziwiać jej dzieło. Musiało jej to zająć wiele dni. Obdarte ze skóry, popalone, połamane ciała...

– A dlaczego ty nie? – spytał podejrzliwie Cassi.

– Maril zawsze brał pod uwagę możliwość zdrady, wiesz o tym – odpowiedział Tolsyt. – Zatrudnił nawet dwie oddzielne sieci szpiegowskie, z których jedna miała nie wiedzieć o drugiej. Oprócz tego korzystał z wielu zupełnie niezależnych szpiegów. No i oczywiście byli również inni agenci, tacy jak ja – przydzieleni do obserwowania jakiegoś fragmentu siatki i pozostający zupełnie anonimowi. Myślę, że tylko dzięki temu jeszcze żyję – nikt tu nie wiedział, że byłem agentem Marila.

Za to znalazła wszystkich innych. Wszystkich ludzi, których znałem, i Horment jeden wie, ilu innych, których Efrel nazwała szpiegami. Może jej demony zdradziły ich imiona. Wiem, że nie powiedziały jej mojego. Nie ośmieliłem się ostrzec Marila ani próbować pomóc pozostałym. Bałem się nawet próbować uciec. Nie uczyniłem nic, co mogłoby zdradzić mój prawdziwy cel przebywania tutaj.

Skrzywił się, widząc drwiący uśmiech.

– Gdybyś był tutaj, postąpiłbyś tak samo, Cassi. Patrzyłbyś, jak wiedźma wyłapuje nas, jak łasica wpuszczona do królikami. Żyłbyś w strachu przed dniem, w którym wywiesi twoje zmasakrowane ciało na murach Dan-Legeh.

– Więc wierzysz ich propagandzie, że Efrel wciąż żyje? – zapytał pogardliwie Cassi. Co za kaprys losu ocalił życie tego nic nie wartego tchórza, pomyślał, podczas gdy lepsi ludzie zginęli tak okropnie.

Tolsyt prychnął w przyptywie gniewu – był to pierwszy znak, że zostało w nim jeszcze trochę charakteru.

– Czy Efrel żyje? Mogę się założyć, że żyje! To nie tylko plotka przygotowana, by podniecić wyobraźnię tłumów. Każdy tutaj wie, że Efrel żyje, niezależnie od tego, iż nikt jej nie widział. Czuje się rękę Efrel w tym buncie. A myślałeś, że kto kryje się za tą aferą? Alremas? Kane? O tak, teraz jesteś mądry, zakradłeś się tu, kiedy my wszyscy zostaliśmy wymordowani. Od razu wiesz, co źle zrobiono. Wątpisz w słowa jedyne go człowieka, który był na tyle chytry, by wymknąć się tej przeklętej czarownicy.

Cassi popatrzył z ukosa na handlarza winem, przyglądając mu się z powątpiewaniem. Potrzebował go, ale nie był pewien, czy może polegać na jego pomocy ani nawet czy może mu zaufać. Może nie tylko szczęście ocaliło życie agenta.

– Dlaczego nikt nie uciekł z wyspy? – zapytał podejrzliwie Cassi.

– Niewielu miało szansę, tak szybko uderzyła. Poza tym żaden statek nie może opuścić Pellinu bez ścisłej kontroli, nawet łódź rybacka. Zawsze coś się przydarza statkom, które próbują odpłynąć w tajemnicy.

– Wszystkie zostają złapane? – Cassi popatrzył sceptycznie na handlarza. – Żadna blokada nie zatrzyma wszystkich łodzi.

– Tam czekają gorsze rzeczy niż flota Efrel – wzdrygnął się Tolsyt. – Candon i Mosna uciekli. Skradli małą łódź i wypłynęli w mglistą noc. Patrzyłem, jak odpływają. Zobaczyłem ich również następnego dnia. Wisieli na murach Dan-Legeh, biali i rozdęci, a ich ciała pokryte były pomarszczonymi wklęśnięciami i pręgami, jakby byli chłostani i przypalani na całym ciele. Tylko tyle wszyscy wiedzieli. Jednego wieczoru wypłynęli na morze, a następnego poranka wyciągnięto ich i powieszono na pokarm krukowi. Nie wiem, ile innych prób skończyło się w ten sam sposób.

Cassi zmienił temat.

– Co wiesz o tym człowieku, o Kanie?

– Nic więcej ponad to, czego sam możesz się dowiedzieć. Nikt nie wie wiele o Kanie. Efrel sprowadziła go, by objął dowództwo nad jej powstaniem. Oxfors Alremas musiał ustąpić mu miejsca, więc są śmiertelnymi wrogami. Alremas jest zbyt popularny i zbyt potężny, żeby pozbyć się go łatwo, a Kane wykonuje swe obowiązki zbyt dobrze, by Alremas mógł odzyskać dowództwo. Coś tu musi wreszcie pęknąć.

– A co opowiadają o tym Kanie?

Tolsyt wzruszył ramionami.

– Chodzi ci o to, co ludzie mówią, że jest to ten dawny Kane? Rudy Pirat, który powrócił z przeszłości, by zemścić się srogo na cesarstwie, które zniszczyło go dwa wieki temu? Z tego, co wiem, to może być prawda. Czemu nie? Efrel również została zniszczona przez cesarstwo. Ona wciąż żyje – czemu nie Kane? Wszystko w tej konspiracji przeczy prawom natury. Czemuż Maril wziął do swego łóża czarownicę!

– Zapytaj go, kiedy tu przyjedzie – doradził złośliwie Cassi. – I możesz być pewien, że Maril będzie tu ze swą flotą, żeby zniszczyć

ten nowotwór, jak tylko doniosę mu, co tu się dzieje. A uczynię to, gdy znajdę sposób, by wrócić do Thovnosten i nie dołączyć do twoich pechowych kolegów – dodał uszczypliwie.

Tolsyt nie miał zamiaru mu uwierzyć.

– Jasne, idź, złóż raport. Popłynź wpływ do Marila i powiedz mu, że nieboszczka żona i wiekowy pirat mają ochotę wyciągnąć mu tron spod tyłka. Zrób tak. Ja tylko poczekam tutaj na przybycie cesarskiej floty.

Cassi niechętnie zdecydował, że będzie musiał zaufać Tolsytowi.

– Coś wymyślę. Na razie mam zamiar powęszyć po okolicy i zorientować się, czego jeszcze mogę się dowiedzieć. Potem, powiedzmy jutro, zaprowadzisz mnie do Dan-Legeh. Jeśli Efel naprawdę żyje, Maril musi o tym wiedzieć.

Tłusta twarz Tolsyta pobladła.

– Ja? Akurat! To samobójstwo! Maril płaci mi, żebym dla niego szpiegował, a nie, żebym dał się zabić. Skończyłem z tym.

– Nie sądzę – wycedził uprzejmie Cassi. W jego oczach błyszczało pozbawione skrupułów okrucieństwo. – Muszę dostać się do Dan-Legeh, a ponieważ ty dostarczasz wino do fortecy, masz okazję złożyć tam wizytę ze swym nowym pomocnikiem, I nawet nie myśl o tym, żeby mnie oszukać, Tolsyt. Ja również wiem, jak sprawić, by śmierć była okrutna.

– Ale następną dostawę mam zawieźć tam dopiero za tydzień – zaprotestował handlarz.

– Jutro, Tolsyt. Właśnie dostałeś jakiś specjalny towar i wiesz, że główny zarządca będzie nim zainteresowany.

Odwrócił się plecami do błagającego winiarza i pośpiesznie opuścił sklep.

Po zmarnowaniu jakiegoś czasu na szukanie pozostałych agentów, których nazwiska miał podane, Cassi musiał przyznać, że Tolsyt nie przesadził. Zdawało się, że to niemożliwe, by cała siatka szpiegowska Marila została zlikwidowana, ale tak było. Będzie więc musiał polegać na Tolsycie.

Przechodząc przez miasto Cassi zauważył, że przygotowania do buntu były powszechne. Wszędzie było pełno zbrojnych, a dziesiątki kuźni produkowały broń i broje. Rzędy żołnierzy ćwiczyły musztrę na otwartych polach za murami, a Cassi już

wcześniej odkrył, że w głębi wyspy znajdowały się następne obozy wojskowe. Pomyślał, że buntownicy mają zamiar uderzyć wkrótce, zasięg działań bowiem osiągnął takie rozmiary, że oczywiste stawało się dla wszystkich, iż szykuje się jakiś poważny spisek. Wymuszona izolacja i sprytne kłamstwa niewiele już mogły ukryć. Musi jak najszybciej powiadomić Marila.

Port był pełen statków, a setki robotników trudziły się nad budową nowych okrętów i naprawą starych. Cassi zauważył niezwykle konstrukcję w rogu portu i zdecydował się zaryzykować bliższe spojrzenie. Gryząc dość zielone jabłko, które skradł nieostrożnemu sprzedawcy, Cassi niespiesznym krokiem udał się do doków.

Przyglądał się robocie ze zdumieniem. Robotnicy budowali kilkanaście gigantycznych katapult – wyrzutni o rozmiarach takich, jakie używano czasami przy oblężeniach miast. Umieszczali te katapulty na wielkich bardach – niezgrabnych łodziach, wyposażonych tylko w długi rząd wiosł służących jako napęd. Cassi zmarszczył brwi. Nawet po ukończeniu te krypy ledwo będą unosić się na wodzie. Z pewnością nie dałoby się ich dociągnąć do Thovnos, a gdyby Kane miał zamiar użyć ich do oblężenia Thovnosten, najrozsądniejszym posunięciem byłoby przewiezienie rozmontowanych katapult w ładowniach okrętów wojennych i ponowne ich złożenie po przybiciu do brzegu.

Robiło się już późno i Cassi pomyślał, że lepiej wrócić do koszar, zanim ktoś zwróci uwagę na jego przydługą wycieczkę po mieście. Przy takim zamieszaniu w Prisarte wątpliwe było, by kogoś to obchodziło, ale Pellińczycy udowodnili swoje zdolności w wykrywaniu szpiegów.

Zbliżali się jeźdźcy. Cassi cofnął się, by ich przepuścić, i z zaskoczeniem rozpoznał na jednym z wierzchowców Imela. Wiedział już o zdradzie Thovnozjanina, Imelowi bowiem nadano wysoką rangę w armii buntowników. Poruszając się ostrożnie, Cassi skrył się w cieniu markizy sklepu. Często widywał Imela w Thovnosten, ale na szczęście renegat nie pamiętał jego twarzy.

Na następnym koniu jechał ciemnowłosa mężczyzna o dość bandyckiej powierzchowności. Ubrany był w skórzane spodnie i kamizelę ze srebrnymi ozdobami. Wiatr rozwiewający jego kamizelę odsłaniał potężne muskuły na ramionach i piersi. Cassi

nie znał go.

Chociaż szpieg nigdy nie widział go przedtem, trzecim jeźdźcem mógł być tylko Kane. Nie można było się pomylić, widząc tę masywną sylwetkę – nawet jego koń miał na oko siedemnaście dłoni w kłębie. Kane miał na sobie wysokie buty i spodnie, takie jak jego towarzysz, i piękny jupon w kolorze rdzy, pasujący do rudej brody. Czerwone włosy i prymitywne rysy twarzy odpowiadały opisom Kane'a, a jedno spojrzenie na jego demoniczne, błękitne oczy usuwało wszelkie wątpliwości. Drżąc, Cassi odwrócił się. Zaczął zastanawiać się, czy przypadkiem te wszystkie opowieści o Kanie nie są prawdziwe. Z pewnością jest wiele dziwnych cudów na tej ziemi, a kto może powiedzieć, jakiego rodzaju istotę mogła przywołać na pomoc szalona czarownica?

Jeźdźcy zatrzymali się w pobliżu i Cassi uważnie przysłuchiwał się ich rozmowie, od niechcenia przebierając w owocach na straganie.

– Wygląda na to, że robota idzie tak szybko, jak jest to możliwe – mówił Imel. – Mimo to wciąż nie rozumiem, jak może to się okazać praktyczne. To znaczy, jakiej celności można się spodziewać przy celach oddalonych na więcej niż ćwierć mili?

– Spełniają swoje zadanie – zapewnił go Kane.

– Widziałem to kilka razy. To prawda, ich zasięg jest raczej ograniczony, ale są bardzo groźne tam, gdzie można ich użyć. Poza tym katapulty są niezbędne przy oblężeniu i musielibyśmy je zbudować w końcu i tak. Jeśli będziemy mieli czas wyszkolić odpowiednio załogi, mogą nabrać dużej celności. Przy pociskach zapalających nie trzeba być bardzo dokładnym, jeśli tylko zdoła się trafić w jakiś cel, gdzie mogą się rozlać.

Wzruszył ramionami.

– Myślę, że mamy jeszcze czas wpaść do Alremasa przed zapadnięciem zmierzchu. Powinien mieć jakieś uwagi na temat dzisiejszych manewrów na morzu. Już sam zgłodniałem.

– Arbas, czy te jabłka są już dobre?

Ciemnowłosy mężczyzna mruknął:

– Nie bardzo. Wszystkie, jakie do tej pory widziałem, były zielonkawe. Ale jeśli lubi się zielone jabłka, to nie ma znaczenia. Niektóre miały jedną stronę pomarańczową i te były całkiem

smaczne.

Gdy odjechali, Cassi wybrał sobie kiść winogron i zapłacił za nie.

Właściciel tym razem przyglądał się zbyt uważnie. Cassi powędrował w stronę koszar, wypluwając pestki po drodze.

II.

ODPŁYW I PRĄD DENNY

Woda była zimna i czarna jak bazaltowe mury Dan-Legeh. Kane włożył do niej nogę i zaklął.

– Jesteś pewien, że wiesz, co robisz? – spytał Arbas.

Kane uchylił się od odpowiedzi. Noc była bezgwiezdna pod grubą zasłoną morskiej mgły, a chłodny wiatr gonił gdzieś białą pianę po atramentowo-czarnej wodzie. Był odpływ i fale jęklonie pluskały o skały, gdzie stali. Mgła miała kwaśny zapach wodorostów i stęchłej wody morskiej. Czarniejsze od czerni wieże Dan-Legeh wznosiły się z mgły w noc nad nimi.

– Nie pozwól tylko komuś ukraść mi ubranie – i zostaw trochę tej brandy dla mnie – mruknął Kane, ostrożnie wchodząc do wody. Jego buty i ubranie leżały złożone na płaszczu, pomiędzy ustrojonymi w wodorosty skałami na wybrzeżu. Miecz Kane’a również tam na niego czekał, lecz potężny mężczyzna zabrał ze sobą swój ciężki sztylet przypięty do nagiej talii.

Arbas przyglądał mu się z powątpiewaniem. Potrząsając głową, zabójca pociągnął długi łyk brandy. Był przyzwyczajony do szalonych pomysłów Kane’a oraz do tego, że udawało mu się je realizować. Jeśli tym razem miało być inaczej, to poczeka, aż woda zacznie się podnosić albo skończy się brandy.

Płynąc przez zaciągniętą mgłą wodę, Kane skierował się ku skałom pod Dan-Legeh. Był pewien, że żadne ludzkie oko go nie dojrzy, chociaż on sam miał trudności w orientowaniu się w mroku.

Kiedy Kane dotarł do podstawy skał, zanurkował. Słona woda zapiekła go w oczy, a od zimna zdrętwiało mu ciało. Oplatały go pasma wodorostów owijając się wokół wymachujących rąk i nóg. Musiał wkładać wiele wysiłku, by nie dać się wciągnąć silnym prądem dennym.

Kane był dobrym pływakiem, ale wiedział, że lepiej nie zatrzymywać się na dłużej w okolicy zdradzieckich prądów. Gdyby zabrakło mu sił, prąd zniósłby go na bezdenne głębiny

Sorn-Ellyn, a Kane nie miał pojęcia, co mogłoby tam na niego czekać.

Zanurkował tak głęboko pod jęczące fale, jak tylko miał śmiałość, i płynął w dół, dopóki ciśnienie nie przeszło jego czaszki nieznośnym bólem, a prąd nie zaczął ciągnąć jego zmęczonych członków z siłą, której niemal nie potrafił się oprzeć, dopóki pierś nie zaczęła mu pękać od wstrzymywanego oddechu. Nic nie wskazywało, że zbliżył się do dna morza u podnóża skał.

Kane wyczuł jakieś poruszenie w głębinie, niżej, niż mógł się zapuścić. Powrócił na powierzchnię, chwytając powietrze wielkimi łykami. W dłoni ścisnął nóż. Coś chłodnego owinęło mu się wokół nogi. Było to tylko pasmo wodorostów.

Znowu Kane wyczuł poruszenie pod wodą. Szybko popłynął do obwieszonych wodorostami skał i wspiął się na śliski głaz, by odetchnąć chwilę. Za nim morze wzburzyło się na chwilę. Kane wycofał się skrycie między skały i obserwował.

Spod powierzchni wody wyłoniła się głowa i rozejrzała się dookoła. Kane przycisnął się mocniej do lepkiej i zimnej skały. Twarz była tylko jasną plamą na tle wzburzonej wody i grzywiastych fal. Fale wokół tego pływaka kłębiły się od ruchów innych ciał. Pływak zanurkował i już nie wrócił, chociaż Kane czekał długo.

Popłynął z powrotem w stronę brzegu i dlatego odnalazł ciało tkwiące między skałami.

Było to ciało topielca, nagie i rozdęte. Kraby nie wykonały jeszcze swojego zadania tak dobrze, żeby Kane nie mógł przyjrzeć się ranom, które znaczyły bezkrwiste ciało mężczyzny. Kane widział kiedyś człowieka owiniętego łańcuchami, które rozgrzano do białości. Te rany przywodziły na myśl tamten widok, chociaż po bliższym przyjrzeniu się okazały się nie oparzeniami, lecz pomarszczonymi wklęsnięciami.

Kane pozwolił krabom wrócić do zakłóconego posiłku. Był zziębnięty nie tylko od lodowatej wody, kiedy wrócił do miejsca, gdzie czekał na niego Arbas.

Zabójca rzucił Kane'owi butelkę, szczerząc zęby w uśmiechu, gdy Kane uniósł ją do ust. Kane dzwonił zębami, wycierając się płaszczem i usiłując naciągnąć ubranie na wilgotne jeszcze ciało.

– Jeśli masz już dość kąpieli nago na jedną noc, chodźmy

poszukać ciepłego ognia i beczułki tej samej brandy – zalecił Arbas. – Walczyłem z głodnymi krabami przez ponad godzinę czekając na twój powrót. Co tam robiłeś – spotkałeś piękną syrenę? Kane patrzył na niego dziwnie przez chwilę, a potem wrócił do mocowania się z butami.

– Widziałem tam jeszcze jedną pływającą osobę. Nie sądzę, by mnie zauważyła – powiedział cicho. Arbas podejrzewał żart.

– Czy to była morska nimfa?

– To była Efreł.

12. DWÓCH WESZŁO...

Następnego dnia Cassi przekupił sierżanta, by ten umieścił go na liście chorych.

Kiedy był już wolny, cesarski szpieg pośpieszył do winiarni Tolsyta, gdzie zamienił swój żołnierski rynsztunek na brudny chałat i poplamiony winem fartuch. Tolsyt powitał go ponuro i powiedział mu, że załadował wóz wyborowym winem lartroxiańskim, które zabiorą do fortecy. Jego oddech wskazywał, że dobrze go popróbował. Obaj wspięli się na kozioł i pojechali powoli przez zatłoczone ulice do Dan-Legeh. Tolsyt miał minę człowieka powożącego własnym karawanem.

Mimo to zagrał swoją rolę zupełnie nieźle, kiedy dotarli do fortecy. Strażnicy przepuścili ich przez bramę po krótkiej kłótni i wezwali głównego zarządcę, który przybył wkrótce, by obejrzyć towar. Było to wino dobrego rocznika.

Tolsyt był lepszym winiarzem niż szpiegiem, chociaż był zbyt zdenerwowany, by dobrze się targować, i zarządca kupił wino za bezcen. Nie śpiesząc się wyładowali beczułki, po czym załadowali na wóz puste, ociągając się z robotą aż do pory obiadu, kiedy to otrzymali pozwolenie na zjedzenie posiłku z kuchenną służbą.

Zadomowiwszy się mniej więcej w Dan-Legeh, Cassi i Tolsyt od niechcienia wybrali się na poobiednią przechadzkę po twierdzy, rozmawiając ze służbą i przysłuchując się rozmowom żołnierzy. Masy ludzi krążących po obszernej fortecy stanowiły dla nich osłonę. Każdemu, kto zwrócił na nich uwagę, wydawali się parą obiboków gapiących się na widoki.

Cassi zawołał swojego towarzysza na ubocze.

– Teraz się rozdzielimy – powiedział mu. – Chciałbym powęszyć trochę po północnym skrzydle i zobaczyć, czego uda mi się dowiedzieć od służby w apartamentach pellińskich władców. Może być gorąco, jeśli znajdą nas kręcących się tam, ale każde imię i każdy skrawek informacji, jaki tam zdobędziemy, będzie wart wiele. Miej więc oczy i uszy otwarte. Chciałbym jeszcze

dowiedzieć się czegoś bliższego o Efrel. Wszystko, co do tej pory słyszeliśmy, nie dowodzi niczego.

– Do diabła, Cassi! Chodźmy już stąd! – prosił Tolsyt. – Dość już dowiedzieliśmy się dla Marila. Cała służba przysięga, że Efrel żyje i nie opuszcza północnego skrzydła fortecy. Chodź, dość już wiemy. Zginiemy, jeśli znajdą nas myszkujących jeszcze dalej.

Cassi uciszył jego protesty groźbami i przekleństwami i rozkazał wystraszonemu panicznie winiarzowi robić, co mu każe. Tolsyt opuścił go powłócząc nogami przy skrzyżowaniu krętych korytarzy. Cassi zdał sobie sprawę, że ten człowiek jest bliski załamania. Będzie musiał jednak narazić Tolsyta na ryzyko, a nawet poświęcić go, gdyby zaszła potrzeba.

Ostrożnie szedł korytarzami, zaglądając ciekawie w każde otwarte drzwi. Zachowywał się jak człowiek zajmujący się swymi codziennymi sprawami. Czasami chował się za makaty lub w otwarte drzwi, by uniknąć spotkania z tymi, których kroki słyszał.

Zbliżając się do północnego skrzydła Dan-Legeh zaczął odczuwać niepokojące napięcie. Coraz mniej widać było ludzi, co sprawiało, że jeszcze trudniej byłoby mu wyjaśnić, skąd się tu wziął. Mimo to szedł dalej, pragnąc zasłużyć na największą nagrodę Marila za przyniesienie mu informacji z pierwszej ręki dotyczącej przywódców spisku.

Skręcił na rogu i stwierdził, że stoi naprzeciw dwóch odpoczywających strażników. Cassi wyczuł chłód ich podejrzliwych spojrzeń.

– Gdzie, do diabła, wyobrazasz sobie, że idziesz, chłopie?! – warknął jeden ze strażników.

Czuł na plecach zimny pot, ale uśmiechnął się przymilnie.

– O, jak się cieszę, chłopcy, że was widzę! – zaczął szybko mówić ze swym najlepszym wiejskim akcentem. – Jak można się stąd wydostać? Chodzę tu już od niemal godziny i ciągle się gubię. Uu, ale tu strasznie! Jak wy, chłopcy, możecie to znosić przez cały dzień?!

– A co ty tu robisz, chłopie?! – zapytał podejrzliwie wartownik.

Cassi podciągnął sobie pasek niezręcznie.

– A bo widzicie, przywiozłem wino z moim szefem. Dziesięć baryłek najlepszego lartroxiańskiego trunku – lepszego nigdzie nie znajdziecie. No, a potem podjedliśmy sobie i szef uciął sobie

drzemkę, jak to on. No to ja pomyślałem, że pooglądam trochę ten pałac, co mi o nim ludzie opowiadali tam u nas – wiecie, żebym mógł potem im wszystko opowiedzieć. Myślałem, że może nawet zobaczą te eleganckie domowe kible, co to, jak powiadają, państwo pobudowało nawet dla służby.

Przerwał i uśmiechnął się, zastanawiając się przez cały czas, czy nie przesadza za bardzo. Jako popychadło winiarza nie mógł mieć przy sobie broni – ale nawet gdyby wpadł mu w ręce miecz, wiedział, że nie przebiłby sobie drogi ucieczki z fortecy.

Drugi strażnik przyjrzał mu się pogardliwie, zauważając plamy po winie na jego ubraniu.

– Tam do diabła, puść go, Joren – ziewnął. – Kane obdarłby nas ze skóry, gdybyśmy niepokoiłi go z powodu tego wiejskiego ciołka.

Popatrzył groźnie na szpiega i powiedział:

– Wracaj, skądżeś przyszedł. Tu nie wolno chodzić, rozumiesz? Idź cały czas w lewo, aż dojdiesz do głównego korytarza, potem prosto przez trzy skrzyżowania, na czwartym skreścisz w prawo i pójdziesz prosto za kuchennymi zapachami. Do cholery, znajdź sobie kogoś innego, żeby ci pokazał drogę, jak już tam dojdiesz. A teraz zmykaj stąd, ale już – a na drugi raz, pamiętaj, że lepiej dla ciebie będzie, jak zesrasz się w portki, niż miałbyś szukać kibla w północnym skrzydle zamku!

Cassi podziękował im wylewnie i szybko się wycofał. Skryta przyjemność zrobienia głupców ze strażników wynagrodziła mu ich szorstkie potraktowanie go. Został jednak zauważony i przepędzony. Teraz będzie musiał spróbować innej metody, żeby czegoś się tu dowiedzieć. Zastanawiając się, jak sobie radzi Tolsyt, Cassi przeszedł w poprzek drogę, którą mu wskazał strażnik, i skręcił w zaniedbany, wilgotny korytarz. Miał nadzieję, że dogoni Tolsyta, zanim spotka te samą parę strażników.

Nie wiedział dokładnie, którądy mógł pójść jego towarzysz ani nawet jak daleko zaszedł, zanim opuściła go odwaga. Kiedy Cassi widział go po raz ostatni, Tolsyt szedł w dół po schodach – najwyraźniej miał zamiar dostać się do północnego skrzydła przez niższe poziomy fortecy. Mając to na uwadze, Cassi zszedł stromymi schodami do fundamentów kolosalnej twierdzy ponownie dziwiąc się rozmiarom tej legendarnej budowli.

Umiejętnie wyszukiwał sobie drogę wśród płataniny mrocznych korytarzy i zakurzonych komnat. Ostrożność nakazywała mu skradanie się w tych rzadko odwiedzanych okolicach, więc Cassi krył się po kątach, by uniknąć wykrycia przez przypadkowego nieproszonego gościa. Tak więc, kiedy tylko usłyszał delikatny odgłos skradania się, szybko schował się za starym gobelinem.

Ostrożnie zajrzał w głąb ciemnego korytarza, zastanawiając się, czy podejrzliwi strażnicy nie odcinają mu drogi. Po chwili zauważył intruza. To był tylko Tolsyt, który skradał się oświetlonym pochodniami korytarzem w jego stronę. Handlarz winem był może jakieś sto stóp od kryjówki Cassiego, lecz ten łatwo poznał jego grubą postać, chociaż światło było zbyt słabe, by mógł dostrzec rysy twarzy. Już chciał zawołać winiarza, by dowiedzieć się, jak mu poszło, i wtedy zdecydować, czy warto ryzykować dalsze szperanie, gdy zamiast przywołać Tolsyta, mógł tylko patrzeć z przerażeniem.

Podczas gdy patrzył, ruchy Tolsyta nagle stały się sztywne i powolne. Winiarz poruszał grubymi kończynami tak, jakby obciążone były one kamieniami – walczył jak człowiek w bagnie, aż wreszcie zupełnie znieruchomiał. Twarz zastygła mu w grymasie niesamowitego przerażenia. Ochrypiły bełkot strachu wydobył się z jego ust, a potem przeszedł w rżenie, kiedy nawet język odmówił mu posłuszeństwa. Wszystkie jego świadome ruchy ustały. Stał sparalizowany. Cassiemu zdawało się, że widzi scenę z częstych koszmarów.

Przez chwilę Cassi walczył z ogarniającą go paniką. Potem do jego uszu doszedł budzący dreszcz zgrzyt naoliwionego metalu sunącego po kamieniu. Pochodnie zapaliły się jaśniej w słabym podmuchu powietrza. Część zatęchłych gobelinów wydeła się odsłaniając tajne drzwi, które otworzyły się w kamieniach ściany korytarza.

Dwie postacie wyszły z ciemności za tymi drzwiami. W jednej Cassi rozpoznał Kane'a, gdyż mężczyzna trzymał pochodnię, która oświetlała mu twarz i rzucała wielki cień za nim. U jego boku kuśtykała istota, która tylko nieznacznie przypominała człowieka. Owinięta w jedwabie postać utykała wspierając się na dziwnie rzeźbionej drewnianej nodze. Sylwetka jej ciała na tle

światła pochodni była jakby kobieca, lecz dziwnie zniekształcona. Kiedy zwróciła twarz w stronę, gdzie krył się Cassi, szpieg musiał stłumić okrzyk. Wiedział teraz ponad wszelką wątpliwość, że czarownica Efreł nadal żyje.

Jedno oko przypominało mu piękną Efreł, którą widział na dworze w Thovnosten, lecz coś tak okropnego, jak reszta jej twarzy, nie mieściło się nawet w najbardziej spaczony wyobraźni.

Był zadowolony, że pochodnia nie płonęła silniejszym światłem.

Efreł przyjrzała się bezradnemu winiarzowi z rozbawieniem.

– A więc widzisz, Kane, że mój system alarmowy nie zawodzi, kiedy intruzi zakradają się do mojego schronienia. Nic tu nie może kusić złodzieja, a kiedy zobaczyliśmy, jak ten dureń skrada się ciekawie, nie mogło już być wątpliwości.

Efreł wydała radosny okrzyk, jak dziecko na widok nowej zabawki:

– Szpieg! Mały tłusty szpieg! Węszyłeś tu, co, mała tłusta myszko? Chciałeś opowiedzieć wszystko swemu panu? – roześmiała się, zachwycona. – A ja myślałam, że oczyściłam moje królestwo z takiego robactwa. Biedny, mały szpieg. Boisz się?

– Jaki czar każe tak mu stać jak posąg? – chciał się dowiedzieć Kane.

– Jaki czar każe ci tak stać, myszko? – zakpiła czarownica. – Może czar mej piękności? Nie, Kane. On jest zbyt nieśmiały. Wydaje mi się, że to coś innego. Nie widziałeś więc, jak Efreł rzuca swoje uroki? – zachichotała. – Już wiem. Kazałam ci obserwować mojego tłustego szpiega przez dziurkę w ścianie, kiedy obróciłam go w kamień. Nieważne. Być może pokażę ci któregoś dnia. Nikt inny z rodu Pellin nie posługiwał się nim nigdy, lecz Efreł jest władczynią Dan-Legeh i wszystkich, którzy krążą po moich salach. To prosty czar, ale potężny. Rzuca się go szybko, a pozbawia on moje ofiary wszelkich zdolności samodzielnego poruszania się.

Widzisz, mój tłusty szpieg może stać i oddychać. Zaczekaj, słyszę, jak miękkie serduszko bije w swym tłusciutkim gniazdku i zdaje się, że moja myszka stoi w kałuży, której przedtem tam nie było. Jednak kończynami i głową może poruszać tylko tak, jak ja

mu każe – od tej pory jest moim automatem. Czy będzie to jeden człowiek, czy setka, moje zaklęcie każe im tańczyć, jak im zagram. Chcesz zobaczyć, jak moja marionetka chodzi?

– Wolałbym, żeby przemówiła – mruknął Kane. – Każ mu powiedzieć, jakie miał zadanie. Spytaj go, kto jeszcze szpieguje. Gdzie można...

– Mogę zmusić go tylko do wypowiedzenia takich słów, jakie nakazę uformować jego wargom – przerwała niecierpliwie Efreł. – Chodź, mój mały szpiegu, do moich tajnych komnat, gdzie tak bardzo chciałeś zajrzeć. Pokażemy Kane'owi parę sztuczek za pomocą moich pięknych zabawek, a wkrótce będziesz błagać, żebyś mógł nam zdradzić wszystkie sekrety ukryte w twojej tłustej głowce.

– On może mieć wspólników w twierdzy – zasugerował Kane. – Powinniśmy nakazać natychmiast zamknąć wszystkie bramy. Gdybyś wezwała kilku służących, moglibyśmy natychmiast dowiedzieć się, pod jakim pretekstem przybył do Dan-Legeh i kto jeszcze przybył z nim. Dowiedzenie się tego nie zajmie więcej niż kilka minut, niezależnie od jego uporu, a sądzę, że gotowy jest już teraz wyśpiewać wszystko.

– Kane, czasami jesteś tak przygnębiająco prostacki. – W słowach czarodziejki, którymi uciszyła Kane'a, zabrzmiała obłąkana nuta groźby. – Szpiegdy są ostatnio rzadkimi gośćmi w Dan-Legeh. Od czasów, gdy przebywali tu moi ostatni ulubieńcy, wymyśliłam kilka nowych sztuczek. Ten wkrótce do nas przemówi, ale najpierw mam zamiar pobawić się i chcę, żebyś temu się przyglądał.

Szepnęła łagodnie:

– Chodź, tłusta myszko.

Z twarzą wciąż zastygłą w grymasie skrajnego przerażenia Tolsyt usłuchał, gdy kiwnęła na niego palcem. Niezgrabnymi krokami przestąpił próg ukrytych drzwi i zniknął w przejściu za nimi. Kane skrzywił się niezadowolony, ale wszedł za nim.

Kiedy drzwi zasunęły się, słychać jeszcze było słowa Efreł:

– Kochany mały szpieg. W co będziemy się bawić? Ciekawa jestem, czy byłeś jednym z tych, którzy szepnęli Netistenowi Marilowi o moich planach dawno, dawno temu? Czy wiesz, jakie to uczucie, kiedy odrywają ci ciało od kości? Czy w to też

będziemy się bawić? Biedny, mały, opasły szpieg – wydaje mi się, że boisz się mnie.

Zamykające się drzwi wyciszyły jej szyderczy śmiech. Cassi ostrożnie wysunął się z ukrycia. Tolsyt chyba jednak miał więcej odwagi, niż posądzał go o to Cassi. W każdym razie Tolsytowi udało się dotrzeć do części fortecy, która była na tyle ważna dla Efreł, że strzegła jej jakimś systemem alarmowym. Najwyraźniej Tolsyt natknął się na coś, czym ściągnął na siebie uwagę Efreł i jej pomocnika.

Cassi oblizał wargi. Przynajmniej winiarzowi udało się wywabić czarownicę z jej kryjóWKI – lecz czegokolwiek dowiedział się, wiedza ta była już stracona na zawsze. Cassi żałował tej straty, chociaż nie czuł żalu z powodu losu swego towarzysza, tylko ulgę, że nie spotkał on jego.

Ogarnięty nagłym strachem Cassi zdał sobie sprawę, że wkrótce Efreł i Kane dowiedzą się od Tolsyta wszystkich sekretów dotyczących działalności obu szpiegów w Prisarte. Tylko sadystyczne żądze Efreł powstrzymały Tolsyta od zdradzenia wszystkiego od razu. Cassi pośpieszył przez korytarze tak prędko, jak tylko mógł, nie zwracając na siebie uwagi. Wiedział, że wkrótce Kane domyśli się wszystkiego. Gdyby nie sprzeciw Efreł, ludzie Kane'a już w tej chwili przeczesywaliby fortecę, szukając go.

Minuty ciągnęły się w nieskończoność, gdy Cassi biegł zdającymi się nie mieć końca korytarzami. Tracił cenny czas na chowanie się przed przechodzącymi żołnierzami czy niespieszny spacer, gdy dotarł już do bezpiecznej okolicy kuchni, ale szczęście nadal go nie opuszczało.

Odpowiadając na pozdrowienia i kiwnięcia głową ludzi, których poznał wcześniej tego dnia, Cassi siadł na wóz. Cmoknął na konie i wóz wyładowany pustymi beczkami potoczył się z grzechotem ku bramie dla służby. Straż machnięciem kazała mu przejechać, nie interesując się nim i pozostała mu teraz do przebycia tylko główna brama.

Sierżant straży popatrzył na niego ciekawie.

– Co się stało z twoim panem? – powiedział, przeciągając głoski.

Cassi zaklął.

– Ten opasły łajdak kazał mi przywieźć drugi ładunek samemu. Ja tutaj wypruwam sobie żyły, a on wałęsa się i podszczypuje dziewczki kuchenne.

Strażnicy zaśmiali się.

– Dobrze, jedź już – burknął sierżant. – I tak będziesz musiał pośpieszyć się, żeby zdążyć przed zmrokiem.

Cassi odetchnął głęboko, kiedy wyjechał spod cienia Dan-Legeh. Konie niecierpliwiły się po długim oczekiwaniu, więc puścił je kłusem. Jak tylko dojechał do pustej winiarni, zeskoczył z kozła i szybko założył strój żołnierza. Nikt nie zauważył, jak wyszedł z budynku i pośpieszył do doków, lecz on sam wiedział, że ma bardzo mało czasu.

Wiedział, że musi za wszelką cenę opuścić wyspę, zanim podniesie się alarm i będą go ścigać. Ukrycie się gdzieś na wzgórzach nie wchodziło w rachubę – nawet gdyby uciekł, nie miałby możliwości przekazania informacji Netistenowi Marilowi. Nie żeby Cassi czuł jakąś nadzwyczajną lojalność wobec człowieka, który ocalił go przed szubienicą, ale cesarz szczerze płacił za jego usługi, a ta wyprawa mogła uczynić Cassiego bogatym jak szlachcic.

Odrzucił kilka planów ułożonych naprędce w drodze do portu, dotyczących tego, co wiedział o pellińskiej blokadzie. Już na nadbrzeżu zauważył ogromną, ciężką galerę odbijającą od brzegu. Pomyślał, że jest to równie dobra okazja, jak każda inna. Szukając w pamięci użytecznych informacji, Cassi pobiegł do statku i wskoczył na jego pokład w chwili, gdy ten już odpływał.

Uśmiechnął się pogodnie do uwijających się żeglarzy, którzy przyglądali mu się ciekawie. Siadając przy burcie dla złapania tchu, Cassi zdjął nowo przydzielony hełm i wytarł twarz przedramieniem. W dole, pod nim, niewolnicy wciągali wiosła na miejsca. Statek zaczynał swój rejs.

Zbliżał się do niego oficer ze ściągniętymi brwiami.

– No, co masz do powiedzenia! – warknął.

Cassi niezdarnie wcisnął na głowę hełm i zasalutował.

– Lepiej późno niż wcale, panie oficerze! Byłem, tego, chory rano i nie zbudziłem się, dopóki nie wyrzucili mnie... to znaczy, przybiegłem tu tak szybko, jak tylko mogłem, ale zgubiłem się po drodze... – plótł nadal różne bzdury, nie spuszczać z oczu

niknącego brzegu.

Oficer splunął.

– Cholera! Wy, przekłęci żołnierze, nie możecie nawet spędzić nocy w burdelu, żeby potem rano nie mieć kaca! Powiniennem kazać cię wychłostać ku przestrodze innych! Akurat dużo to pomoże, jeśli mam do czynienia z takimi szumowinami jak ty. Nie mogę pojąć, skąd Kane bierze takie szmaty i jak spodziewa się, że wyszkoleni oficerowie zrobią z was wojowników!

Rozzłoszczony oficer wymyślał mu ku uciesze wszystkich na pokładzie, a nad ich głowami wiatr wydał żagle i trirema wypłynęła na pełne morze. Gdy oficerowi zabrakło tchu, zaczął przewracać kartki swojego spisu załogi.

– Powiedziałeś, że jak się nazywasz, żołnierzu? – burknął.

Cassi powiedział mu i przyglądał się, jak przesuwając palcem po kilku brudnych stronicach nazwisk.

– To jest chyba „Sorpath”, prawda? – zapytał, kiedy oficer doszedł do końca listy i zaczął od początku.

W oficera jakby piorun strzelił.

– „Sorpath” wypłynął na manewry dziś rano – powiedział ciężko. – Ty głupi ośle! Jesteś na niewłaściwym statku! To jest „Hast-Endab” i płyniemy na dwutygodniowy patrol na południe, dookoła Fisitii!

Cassi zaczął protestować, że o niczym nie wiedział. Myślał, że jest jeszcze przed południem, a poza tym, jak miał poznać nowy statek – nie zdążył zapytać, a nie umiał przeczytać napisu na dziobie i...

Zanim oficer skończył mu wymyślać, statek odpłynął na wiele mil od brzegu.

– Najbardziej mam ochotę nakarmić tobą ryby! – dokończył. – Ale muszę cię zatrzymać, więc będziesz zastępował tych, którzy nie zdążyli na czas wrócić z burdeli. Lato tylko wie, jak Kane spodziewa się, że zrobimy zdyscyplinowanych żołnierzy z tych szumowin, które nam przysyła jako rekrutów! Trzymaj się z daleka ode mnie i nie wchodź mi w drogę, żołnierzu! To wszystko!

Były to rozkazy, które Cassi miał zamiar wypełnić z ochotą. Dołączył do śmiejących się żołnierzy, czując się słaby i chory, gdy opuściło go napięcie. Pozostało mu tylko znaleźć sposób na opuszczenie statku, kiedy nadejdzie odpowiednia chwila.

Pogrążył się w marzeniach o nagrodach, jakimi obsypie go Netisten Maril za kilka dni. Bawiło go to, że on, urodzony w rynsztoku złodziej, śmiało wszedł, a potem wymknął się z diabelskiej pajęczyny, którą tkąła Efreł.

13.

DWAJ WROGOWIE SPOTYKAJĄ SIĘ

Netisten Maril siedział na obsydianowo-złotym cesarskim tronie w swej sali audiencyjnej o wysokim sklepieniu. Wokół wznosiły się strzeliste mury pałacu w Thovnosten, stolicy Thovnos i cesarstwa. Jego okolona czarną brodą twarz pociemniała z ledwo powstrzymywanego gniewu. Nerwowo stukał w złotą poręcz tronu ręką sztyletu, dodając nowy wzór do istniejących już drobnych wgnieceń w miękkim metalu. Cesarz patrzył groźnie na zebranych doradców, najwyraźniej szukając tylko pretekstu, by poderżnąć parę gardeł. Zwykle niewiele było mu potrzeba.

Maril był dobrze zbudowanym mężczyzną, nieco po czterdziestce. Jeśli nawet najlepszy czas jego życia już przeminął, nie widać tego było po jego muskularnej postaci. Arystokratyczna twarz cesarza pocięta była zmarszczkami – śladami wściekłości, której często dawał upust. Popękane żyłki towarzyszyły cienkim, białym bliznom na jego spalonej słońcem skórze, pamiątkom dawnych bojów. Oto był człowiek, który mocno trzymał to, co uznał za swoje, który nigdy nie ustąpił miejsca przeciwnikowi i uważał każdego, kto jemu ustępował, za słabeusza. Miał wybuchowy temperament i dominujący, bezkompromisowy charakter. Niebezpiecznie było drażnić cesarza, a był on właśnie w tej chwili niebezpieczny. Netisten Maril dopiero co dowiedział się, że jego władza jest poważnie zagrożona przez wroga, którego uważał za całkowicie zniszczonego.

Z korytarza za salą tronową wyszedł strażnik i stanął w progu.

– Prowadzę go właśnie, panie – oświadczył, wracając na swój posterunek.

Maril mruknął i przyglądał się drzwiom wrogim spojrzeniem.

Nie uzbrojony młodzieniec lat około 25 wszedł do sali. Dwaj towarzyszący mu strażnicy zatrzymali się w drzwiach, pozwalając mu wejść samemu.

Lages trzymał swą potężną sylwetkę prosto, zbliżając się ostrożnym krokiem do czarno-złotego tronu. Ćwiczenia, którymi wypełniał czas, utrzymywały go w dobrej kondycji, ale bladość cery zdradzała, że spędził ponad dwa miesiące w celi. Poza tym był nieco zaniedbany – długie brązowe włosy miał rozczochrane, ubranie niestarannie dobrane i pośpiesznie założone. Lagesowi dano niewiele czasu na przygotowanie się do tej audiencji, która, jak sądził, zakończy się wizytą u kata. Jego twarz była chmurna, a muskularne ciało napięte. Brązowe oczy szukały po sali M'Cori. Lecz dziewczyna nie była obecna. Tylko najbardziej zaufani doradcy Marila i wiecznie czujni strażnicy. Lages wyprostował się arogancko i spojrzał wrogo na Marila.

Maril opanował swą niechęć i zmusił się do spokojnego mówienia.

– No cóż, Lagesie, mam nadzieję, że ten ostatni pobyt w moim więzieniu nauczy cię czegoś.

Odpowiedzią było tylko zawzięte spojrzenie.

Maril wzruszył ramionami.

– Mogłem cię zabić. Powiniennem był cię zabić. Tylko twoja wysoka ranga i nieświadomość zdradzieckiego spisku twego ojca ocaliła ci życie, kiedy karałem konspiratorów. Potem, kiedy po raz pierwszy tak lekkomyślnie targnąłeś się na moje życie, ocaliłem cię, bo przyjąłem, iż śmierć ojca odebrała ci rozum. Wątpliwa przesłanka – głupota, powiększona jeszcze przeze mnie, kiedy potraktowałem twoją obietnicę honorowego postępowania jako ważne słowo szlachcica. Lecz kiedy złamałeś przysięgę i uciekłeś, by pozwolić tej bandzie szakali zrobić z siebie marionetkę i głupca, kiedy znowu próbowałeś spiskować przeciwko mnie! – według praw i rozsądku powiniennem był stracić cię na miejscu. Gdyby nie dawna przyjaźń, którą darzę twą rodzinę, i nierozsądne uczucie mojej córki do ciebie...

– Nie mieszaj do tego M'Cori, ty przeklęty rzeźniku! – wybuchnął Lages. – Daruj też sobie kłamstwa o przyjaźni. Nienawidzisz mnie niemal tak, jak ja ciebie, i nigdy nie obchodziły cię uczucia M'Cori. Istnieje tylko jeden powód, dla którego nie usunąłeś mnie i dzisiaj jest to ten sam powód, jaki miałeś dwa lata temu. My obaj jesteśmy ostatnimi bezpośrednimi spadkobiercami rodu Netisten, a ty jesteś zbyt dumny, by

pozwolić temu rodowi wymrzeć. Gdybyś tylko mógł liczyć na męskiego potomka, już bym nie żył. Więc oszczędź mi tych oskarżeń, że to ja pogwałciłem twoją litość – widziałem, jaką litość okazałeś mojemu ojcu i jego przyjaciołom.

– Ty bezczelny synu bękarta! Twój ojciec był zdrajcą cesarstwa i zabiłem go w uczciwej walce!

– Zamordowałaś go w łóżku, kiedy dowiedziałaś się, że uwiódł twoją żonę! Nie mógł ci stanąć nawet dla Efre!

Maril ryknął z wściekłości i zeskoczył z tronu ze sztyletem w ręce. Lages odskoczył i przyczaił się. Dzikim wzrokiem śledził obiekt swej nienawiści. Był gotów zabić go przy pierwszej okazji gołymi rękami i w obecności straży.

– Panowie! Przestańcie! – krzyknął doradca. – Dla dobra nas wszystkich nie walczcie teraz między sobą! To będzie oznaczało tylko ruinę cesarstwa i śmierć dla nas wszystkich!

Kilku dworzan chciało podejść do nich, ale wahali się wiedząc, co znaczy wtrącać się, gdy Maril jest rozwścieczony.

Maril z trudem opanował się. Opuszczając sztylet, rozkazał:

– Precz stąd! Wszyscy precz stąd! Wezwę was, kiedy będziecie mi potrzebni!

Oglądając się, dworzanie nerwowo opuścili salę audiencyjną.

Za nimi wyszli strażnicy, tak niechętnie, jak żeglarze opuszczający płonący statek.

– A teraz – powiedział Maril, kiedy byli już sami – pomimo twojego uporu i przewrotności, pomimo wrogości i dawnej zdrady, wbrew wszelkiemu rozsądkowi jeszcze raz mam zamiar wyjść ci naprzeciwko i okazać łaskę po raz ostatni. Może jestem zupełnym głupcem, ale mam zamiar dać ci ostatnią szansę odkupienia twoich przewinień.

Jeśli udowodnisz mi raz jeszcze, że można ci zaufać, puszcę w niepamięć wszystko, co wydarzyło się między nami. Wypuszcę cię z więzienia i przywrócę ci wszystkie przywileje. Dam ci dowództwo cesarskiej floty. Uczynię cię nawet moim zastępcą, jakbyś był moim synem i prawowitym następcą. Pamiętaj, że jeszcze możesz kiedyś zasiąść na tym tronie, Lagesie. Ale spróbuj oszukać mnie jeszcze raz, a zabiję cię, nawet gdybyś był moim jedynym synem!

Lages był zaskoczony, a nawet oszołomiony, bo wiedział, że

cesarz jest bezlitosny. Przybył na tę audiencję spodziewając się pewnej śmierci, a zamiast tego wróg proponuje mu zwrócenie wolności i wysokiego stanowiska. Zaskoczenie tym nieprawdopodobnym obrotem sprawy przebiło się przez pancierz nienawiści.

– Co sprawia, że chcesz mi zaufać? – spytał, zastanawiając się nagle, jaką diabelską sztuczkę Maril ma na myśli, proponując mu całkowite przebaczenie.

Maril zasiadł na swym tronie, przyglądając się Lagesowi uważnie.

– Wydaje mi się, że wiem, co ci leży na sercu, Lagesie. Nawet jeśli nie chcesz tego przyznać, wiesz, że w sprawie twego ojca zrobiłem jedyne, co było możliwe. To nie była jakaś dworska intryga – twój ojciec wplątał się w zdradę stanu. Zarówno zwyczaj, jak i prawo domaga się tylko jednego końca dla spiskowców. Jeśli Leyan był twoim ojcem, nie zapominaj, że był również moim bratem. Dlatego postąpiłem właśnie tak, a nie inaczej – dałem mu szansę w równej walce.

Lages zacisnął pięści, ale powściągnął swój gniew, odpowiadając:

– Być może jest to prawda – nie wiem. Motywy postępowania człowieka są tylko jego sekretem. Ale wiem jedno na pewno: zwyczaj również domaga się, bym pomścił mego ojca.

Maril skinął głową, przyjmując do wiadomości.

– Tak, zdaję sobie z tego sprawę. To następny powód, dla którego nie straciłem cię.

– To nie znaczy, że próbowałem cię zabić tylko dlatego, żeby postąpić zgodnie ze zwyczajem. Ta kłótnia to wojna na śmierć i życie pomiędzy nami dwoma – jeden na jednego.

Przysięgam, nic nie sprawiłoby mi więcej przyjemności, niż móc zadusić cię tymi rękami! – Uniósł przed nim obie pięści, podkreślając swoje słowa.

Oczy Marila płonęły gniewem, ale odpowiedział szorstkim śmiechem.

– Mimo to będziesz musiał odłożyć na jakiś czas naszą wojnę, bratanku. Zamiast tego – jeśli znam twe myśli tak dobrze, jak mi się zdaje – jeszcze mi pomożesz...

– Pomogę zadusić cię twymi własnymi flakami!

Maril zignorował ten wybuch.

– Tak, pomożesz mi. Obaj chcemy pomścić twego ojca.

Lages poczuł się zbity z tropu.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał cicho, zastanawiając się, gdzie kryje się ów okrutny żart. Taka przebiegłość obca była charakterowi Marila, podobnie jak przejaw łaski, którą okazał swemu śmiertelnemu wrogowi.

Maril uśmiechnął się zimno i wykorzystał swą przewagę.

– Nie zabiłem twego ojca, powinieneś o tym wiedzieć. Mimo że to moja ręka wbiła miecz w jego ciało, nie ja go zabiłem. Leyan był moim bratem, nigdy nie pragnąłem jego śmierci, dopóki przeznaczenie tego nie zażądało. Nie jestem za nią bardziej odpowiedzialny niż miecz, który go śmiertelnie ranił. Moja ręka i mój miecz były tylko narzędziami mrocznego przeznaczenia, które schwytało nas w swą pajęczynę – złego przeznaczenia utkanego przez przebiegłego demona, który spiskował przeciw całemu naszemu rodowi.

Nie, Lagesie. To nie ja zabiłem Leyana. To ta chytra czarownica, która zatrula umysł mego brata i obróciła go przeciw mnie – która go zwabiła i wciągnęła do konspiracji, by zaspokoić swoje własne spaczne ambicje. To Efrel zamordowała twego ojca. Mówię ci, że to Efrel zamordowała Leyana i jest to tak pewne, jakby to jej ręka wbiła nóż w jego serce!

Lages stał w milczeniu, patrząc ponuro. Okoliczności przewinienia Efrel już wcześniej nasuwały mu się na myśl, ale wściekły napływ emocji nie pozwalał rozsądkowi skierować gniewu ku nieżyjącej czarodziejce. Często w bezsenne noce rzucał się w rozpaczliwym cierpieniu ducha, przeklinając piękną czarodziejkę, która zgubiła tak wielu swymi zdradzieckimi planami. Lecz to zwycięstwo Marila oznaczało klęskę jego ojca i koniec jego własnych nadziei. Maril żył, podczas gdy inni zginęli, i tego Lages nie mógł ścierpieć.

– Tak, Efrel. – Cesarz zauważył niepewność na twarzy Lagesa i bezlitośnie zarzucał go argumentami. – Wiesz w głębi swego serca, że to ta wiedźma jest winna zguby Leyana, lecz nie chciałeś tego przyznać nawet przed samym sobą. Na Efrel nie mogłeś się zemścić, a ja byłem obiektem, na którym mogła się skupić twoja nienawiść – oczywistym winowajcą w twoich oczach, gdy żal i

hańba rozpały w tobie płomień krwawego szaleństwa. Więc obróciłeś swą wściekłość na Netistena Marila, zapominając o tej diablicy, która uwiodła twego ojca na jego zgubę.

Uginając się pod ciężarem emocji, Lages spuścił głowę i powiedział niemal szeptem:

– Efrel! Tak, to co mówisz, jest prawdą. Teraz zdaję sobie z tego sprawę. Być może zawsze o tym wiedziałem, ale Efrel nie żyje, a ja...

– Nie! – przerwał Maril. Nuta strachu, niemal przerażenia, pojawiła się w jego głosie. – Nie, Efrel nie umarła! W swej kryjówce na Pellinie czarownica wciąż żyje! Mówię ci, Efrel nadal żyje – i na wszystkich bogów, nie mogę zrozumieć, jak i dlaczego!

– Co! Skąd o tym wiesz?! – Lagesowi zakręciło się w i tak już zmęczonej głowie od następnego nieprawdopodobnego zaprzeczenia tego, co uważał za niezmienną rzeczywistość.

– To nie może być prawdą! Co za żart...

– Od kilku miesięcy czułem, że dzieje się coś niedobrego – przerwał mu Maril. – Agenci przynosili mi wiadomości o niezwykłym poruszeniu ludzi i okrętów w całym cesarstwie. Kilku moich wasali ostatnio było niespokojnych, inni dyskretnie wycofali się spod mojej kontroli. No i wśród moich szpiegów zapanowała ostatnio wysoka śmiertelność. Szczególnie trudno było mi zdobywać informacje dotyczące Pellinu. Tych kilka zmyślonych raportów o panującym tam spokoju podejrzenie kontrastowało z innymi wieściami – i niepokojącym faktem, iż większość moich agentów na Pellinie przestała w ogóle się odzywać. Oczywiście było, że zawiązuje się spisek przeciwko mnie, ale nie mogłem zdobyć żadnych dokładniejszych informacji – niczego, co mógłbym wykryć i zniszczyć.

Maril skrzywił się.

– Oczywiście twoje nieszczęsne wysiłki nie tylko zajmowały całą moją uwagę, ale do niedawna przesłaniały mi widok na niebezpieczeństwo grożące cesarstwu. Zakładałem, co nie jest takie niezrozumiałe, że miałaś swój udział w tym spisku, którego przygotowywanie wyczułem.

Nie dodał, że jednym z powodów, dla których oszczędził Lagesa, była chęć wykrycia domniemanych współpracowników.

– Następnie dziś rano Cassi, jeden z moich najzdolniejszych

szpiegów, powrócił z Pellinu, gdzie pojechał z bandą rzezimieszków, którym powiedziano, że znajdują tam robotę. Nawet Cassi z trudem zdołał uciec z tej przeklętej wyspy, by złożyć mi raport. Był ledwo żywy, kiedy wreszcie wyłowili go rybacka łódź w okolicach Fisitii – po tym, jak wyskoczył z wojennego okrętu buntowników w nocy i popłynął w stronę lądu tylko z parą spodni wypchanych korkiem, żeby utrzymywały go na wodzie.

Cassi przyniósł mi informacje, jakich potrzebowałem. Powiedział, że Efreł wciąż żyje – chociaż jest mocno zniekształcona i okaleczona po jeździe przez nasze miasto. Cassi widział ją w piwnicach Dan-Legeh na własne oczy, tak przysięga. Nie umie wytłumaczyć, jak udało jej się przeżyć, ale kara w niczym nie umniejszała jej piekielnej przebiegłości – i teraz ogień nienawiści pożera jej złą duszę. W ciągu tych miesięcy Efreł poczyniła poważne przygotowania do podboju Thoynos i zagarnięcia tronu cesarstwa. Cassi mówi, że wiedźma zebrała niebezpiecznie wielu zwolenników jej buntu. Powiedział też, że mianowała swoim generałem tajemniczego obcokrajowca, którego sprowadziła z Iartroxiańskiego kontynentu. Nazywa on siebie Kane.

– Kane? Słyszałem tylko o jednym człowieku, który nosił to imię.

– Tak – głos Marila stracił swą władczą pewność. – To następna dziwna sprawa, która mnie prześladowuje. Cassi zbliżył się do tego człowieka dwa razy i twierdzi, że Kane nawet przypomina wyglądem owego potwora z legend. Co więcej, powiedział, że buntownicy przechwalają się między sobą, że ich nowy dowódca i Rudy Kane, którego pirackie hordy plądrowały nasze wybrzeże dwa wieki temu, to ten sam człowiek.

Przerwał na chwilę, zagubiony w rozważaniach. – Poczekaj, wezwę Cassiego. Powinien wypocząć już nieco po swoich przejściach. Wysłuchamy teraz jego pełnego raportu.

Maril rykiem wezwał straż. W następnej chwili w drzwiach zrobiło się tłoczno.

– Straż! Sprowadzić mi Cassiego!

– Ten dawny Kane, stryju? – Lages potrząsnął głową w niedowierzaniu. – Nie, to chyba nie jest możliwe. Bardziej prawdopodobne jest, że to jeszcze jeden wybieg chytrej wiedźmy.

Efrel znalazła kogoś przypominającego nieco Kane'a i wykorzystuje legendę, by dodać buntownikom śmiałości.

– Też tak myślałem, Lagesie – odparł Maril, zauważając z przyjemnością, że jego bratanek odnowił z nim stosunki. Zaczynało wyglądać na to, że mimo wszystko będzie mógł liczyć na jego lojalność. – Ale przecież równie niemożliwe jest, by Efrel żyła. Kto może powiedzieć, jakimi siłami włada ta czarownica? Wypadki przybierają dziwny obrót i nie podoba mi się to ani trochę. Nie obawiam się ciała ni stali – ale czary...

Maril powiedział z niezwykłym zapałem:

– Więc mogę liczyć na twoją wierność w tej sprawie, prawda? Dasz mi słowo honoru, że zakończysz tę bezsensowną kłótnię? Będziesz walczył u mego boku, by unicestwić tę wiedźmę, której czarne zbrodnie i podłe żądze obraziły bogów i sprowadziły nieszczęście na ród Netistenów?

Zgodnie z jego tokiem rozumowania Lages mógł udzielić tylko jednej odpowiedzi. Pokiwał głową w zamyśleniu.

– Tak. Możesz liczyć na moją lojalność. Przysięgam ci zniszczyć czarownicę. Jeśli to prawda, że Efrel uszła swemu zasłużonemu losowi, możesz być pewien, że nie spocznę, póki ona i jej diabelski spisek nie zostaną unicestwione. Efrel musi odpowiedzieć za śmierć mego ojca i ani wskrzeszony władca piratów, ani jej czary nie ocalą tej zdradzieckiej dziwki przed moją zemstą!

– Wiedziałem, że jesteś na tyle rozsądny, iż mogę ci zaufać – radował się Maril. Chwycił dłoń swego bratanka z przekonującym entuzjazmem. – Jest jeszcze nadzieja, że uda się bunt stłumić w zarodku. Pełne sprawozdanie otrzymamy od Cassiego – dokładne szczegóły dotyczące planów Efrel, jej systemów obrony oraz imiona zdrajców przebywających wśród nas. Potem wyślę flotę cesarską pod twoim dowództwem do Prisarte. Tyle statków, ile możemy zmobilizować w ciągu tygodnia, powinno wystarczyć, by zgnieść buntowników i spalić miasto wraz z fortecą na czysty popiół.

Strażnik wszedł do sali tronowej. Był sam, a twarz miał pobladałą.

– Gdzie Cassi? – zapytał Maril.

Strażnik oblizał wargi.

– Panie, lepiej będzie, jeśli sam zobaczysz.

Maril popatrzył gniewnie na nieszczęsnego strażnika. Klnąc, cesarz podniósł się z tronu i wyszedł z sali.

Lages stał w pustej sali audiencyjnej w zamyśleniu, z rękami założonymi na szerokiej piersi. Zmarszczył czoło, pogrążony w rozważaniach. Zbyt wiele rewelacji w ciągu jednej godziny sprawiło, że czuł w głowie zamęt. Tego poranka był jeszcze więźniem w niełasce oczekującym na egzekucję. Nie minęło południe, a jest wolny, zwrócono mu rangę, dano dowództwo cesarskiej floty i obiecano wstąpienie na tron. Sława i władza należały do niego, musiał je tylko sobie wywalczyć. Bogowie dali mu szansę zemśczenia się na Efrel oraz zdobycia miejsca na cesarskim tronie i M'Cori za żonę. Ambitne plany, ale silny mężczyzna z odwagą i umiejętnościami może pokonać wszystko.

A więc bogowie zechcieli zmienić utkany wzór jego przeznaczenia. Uśmiechnął się, przypominając sobie przepowiednię. Kapłanka wiedziała, że Lages jest obdarzony łaską bogów.

Uśmiech Lagesa zmienił się w dziki grymas.

– To jeszcze niczego nie zmienia, drogi stryju – szepnął do cieni. – Daję ci moje słowo, że będę lojalny, dopóki Efrel nie zginie. A potem... Tylko cienie usłyszały jego ponury śmiech.

14.

...A JEDEŃ WYSZEDŁ

Cassi otworzył jedno oko, zobaczył jedwabną pościel i wspaniałe futrzane nakrycia na swoim łóżku – otworzył drugie i zobaczył bogate wnętrze swojej komnaty. Ziewnął i przeciągnął się, prostując zeszywniałe kończyny. Znajdował się w Cesarskim Pałacu w Thovnosten. Przestał być ściganym człowiekiem.

Był teraz bogaty. Podrapał się po zaroście na ostrej szczęce i zastanowił się nad rozmiarami cesarskiej szczodrości. Od dziś będzie prowadził życie arystokraty. Koniec z włóceniem się po ulicach Thovnosten. Będzie mieszkać we wspaniałej posiadłości, upijać się, dobrze jeść i mieć piękne kobiety oraz martwić się, co zrobić, żeby jego byli koledzy nie skradli mu klejnotów i drogich przedmiotów.

Coś obudziło go. Spojrzał groźnie na drzwi prowadzące do jego komnat. Netisten Maril postawił tam dość straży, by zatrzymać armię. Ta czujność godna była pochwał, ale w tej chwili Cassi chciał tylko spać. Gdyby ci durnie robili mniej hałasu...

– Panie? Obudziłeś się? – Strażnik stał na baczność w progu. Cassi rozkoszował się widokiem cesarskiego gwardzisty zwracającego się doń w taki sposób. Skrzywił wargi i odpowiedział:

– Owszem. Co się stało? – Jego ton sugerował, że lepiej byłoby, gdyby nie był to jakiś drobiazg.

– Ktoś do pana.

– Powiedz mu, żeby się wynosił – ziewnął Cassi. Człowiek na jego stanowisku nie może przyjmować przypadkowych gości, a gdyby Maril chciał go widzieć, strażnicy nie byliby tak ostrożni.

– Nie poświęcis mi, panie, chwili uwagi? – zamruczał nowy głos. Cassi usiadł. Sen był teraz ostatnią rzeczą, o której myślał.

– Netisten Maril przysłał mnie dla ciebie – uśmiechnęła się. – Podobam ci się?

Była zwinna jak tancerka, o zgrabnej figurze opiętej przezrzystą, jedwabną suknią. Włosy miała krótkie i mocno

kędzierzawe, ufarbowane ekstrawagancko na kolor jesiennych liści. Jej twarz była poważna i kokieteryjna jak twarz dziecka, a jej paznokcie były długie i polakierowane na czarno. Nie mogła mieć więcej niż 15 lat.

– Podejź tu – powiedział i wyszczerzył się w uśmiechu.

– Panie, rozkazy zabraniają nam wpuszczać tu kogokolwiek, z wyjątkiem samego cesarza – zaprotestował strażnik. – Istnieje niebezpieczeństwo, że...

Dziewczyna zaśmiała się zaskakująco gardłowym tonem.

– Czy wyglądam tak niebezpiecznie, panie?

Palce o czarnych paznokciach szarpnęły zapięcie jej złotozółtej sukni. Fałdy jedwabiu spłynęły do kostek. Była wiotka i biała. Całe jej ciało pomalowane było we wzory w jesiennych kolorach. Zrobiła leniwy piruet.

– Boisz się mnie, panie? – uśmiechnęła się. – Czy ukryłam gdzieś broń?

– Chodź tu – zaprosił ją Cassi ochrypłym głosem. Strażnik wtrącił się.

– Panie, mamy rozkazy, by...

– Do diabła z rozkazami – parsknął Cassi. – Mój przyjaciel, Netisten Maril, przysłała mi dowód swojej łaski. A teraz precz!

Dziewczyna zaśmiała się, kiedy zamknęli drzwi.

– Czego sobie życzysz, mój panie?

Jednym krokiem wyszła ze stosu jedwabiu i tańcząc zbliżała się do niego jak fantastyczny motyl.

– Coś razem wymyślimy – uśmiechnął się Cassi, robiąc dla niej miejsce na łóżku.

Zdolna była, Cassi musiał to przyznać. Po chwili podniósł ją i przetoczył się, obejmując ją nogami. – Maril okazuje swą wdzięczność w pięknym stylu – wysapał między pocałunkami. – Ah... Uważaj na swoje pazury, suko! Plecy mam spalone słońcem i zasolone, jak marynarz... Ah...

Zaczęła nagle dyszeć, wbijając paznokcie w ciało na jego plecach.

– Czyż nie nazywają tej ekstazy małą śmiercią? – szepnęła, gryząc go w ucho.

Cassi poczuł wstrząs orgazmu, przebiegający przez niego. Wciąż był jeszcze oszołomiony i zastanawiał się nad jej słowami,

gdy trucizna zaschnięta pod jej ostrymi paznokciami wypełniła jego żyły ogniem agonii.

Dziewczyna zlizwała pianę z jego martwych warg i mrugnęła do strażników, przechodząc obok nich.

15. WIEŻA O ŚWICIE

Nocne niebo pobladło od zbliżającego się świtu. Dwie postacie stały obok siebie na wieży przed bramą portu Thovnosten, przyglądając się gasnącym gwiazdom. Lages stał wyprostowany i dumny, jakby miesiące więzienia były tylko złym snem, dawno zapomnianym. Młodzieniec wspaniale prezentował się w posrebrzanej zbroi, hełmie z czubem i purpurowym płaszczu cesarskiego generała.

M'Cori stała w milczeniu chroniona przez jego ramię, gdy pierwsze promienie świtu zbudziły błyski w kaskadzie jej delikatnych blond włosów, spływających na ramiona. Spięty pod szyją szmaragdową szpilą wspaniałały płaszcz z białych gronostajów osłaniał ją przed chłodnym wiatrem od morza. Wiatr przyciskał suknię do smukłego ciała i zrzucał pasma włosów na jej patrycjuszowską twarz. Była krucha i piękna niczym cudna porcelanowa bogini – blada i złota, o oczach zielonych jak morze pod nimi.

– Jest świt – powiedział po prostu Lages.

– Świt. I musisz odpłynąć – M'Cori popatrzyła w dół na flotę kołującą się na kotwicy.

– Tylko dwadzieścia cztery statki. Tak mało na spotkanie zdradzieckiej floty czarownicy.

– To są wszystkie wojenne okręty, jakie mogliśmy zmobilizować w tak krótkim terminie. Za miesiąc moglibyśmy mieć następną setkę, lecz Efreł również zebrałaby swoje siły. Lepiej, jeśli zaatakujemy teraz, dopóki nie ukończyła jeszcze przygotowań. Nie zapominaj, że nasze statki są co do jednego najlepszymi okrętami wojennymi, dobrze uzbrojonymi i wyposażonymi w załogi wyszkolonych żołnierzy. Naszymi przeciwnikami jest banda niezdyscyplinowanych renegatów. Szkoda, że Cassi nie miał okazji powiedzieć nam wszystkiego, co wiedział. Z tego, na co wskazywał, wynika, że ich flota prawdopodobnie składa się z garstki prawdziwych okrętów i zbieraniny statków kupieckich i barek naprędce i prowizorycznie przerobionych do przewożenia wojsk i towarów. Zmieciemy ich z

powierzchni morza.

Dziewczyna zdawała się nie zauważać jego pewności siebie.

– Znowu cię tracę, najdroższy – znowu, po tych tygodniach w więzieniu. Lages, kłamałam – czasami byłam pewna, że ojciec ma zamiar zgładzić cię. I tak w końcu by uczynił, gdyby nie potrzebował cię do walki z Efrelem. Teraz jesteś wolny. Wolny – tylko po to, by opuścić mnie znowu po zaledwie kilku dniach wspólnego szczęścia. Niemal żałuję, że nie zostałeś w tej celi. Byłeś tam bezpieczny i mogłam odwiedzać cię, kiedy tylko chciałam.

Lages odwrócił się do niej:

– Jak oswojony ptak w klatce, któremu mogłabyś przynosić kwiaty i słodycze! Mężczyzna woli śmierć od takiej egzystencji!

Powstrzymał się. Nie miał zamiaru tak na nią krzyczeć. Na Hormenta! Ona tylko troszczyła się o jego bezpieczeństwo. Jej zdumiewający brak logiki czasami doprowadzał go do furii. Chciał ją przeproszać – ale czując się niezręcznie, wreszcie nie powiedział nic. Zamiast tego popatrzył w niebo. Wiedział, że musi odejść.

– Kocham cię, M'Cori – szepnął.

Zarzuciła swe białe ręce na jego opancerzone ramiona i przywarła do niego desperacko. Po chwili on łagodnie rozluźnił jej uścisk. Czując silne pragnienie posiadania jej i jednocześnie chęć uwolnienia się od niej, Lages zszedł po schodach z wieży i podążył do portu.

M'Cori patrzyła przez łzy, jak flota odpływa.

16.

WIZJE CZARNEGO PROMETEUSZA

Głęboko w bazalcie pod Dan-Legeh wykuta była tajna komnata Efrel. Niewielu przychodziło tu z własnej woli, a jeszcze mniej ją opuściło. W tej mrocznej krypcie – wielkiej jaskini chytrze wykutej w kamieniu, gdzie nigdy nie docierało światło mocniejsze niż to rzucane przez migotliwe płomyki kaganków – Efrel odprawiała swoje czary i magiczne eksperymenty. Od wieków do tych samych celów władcy Pellinu wykorzystywali tę salę, która zasłana była pozostałościami po jakichś złych przedsięwzięciach, zapomnianych wieki temu.

Komnata była wielką, cienistą jaskinią, w której rozmieszczone zostały co jakiś czas wielkie lampy oliwne, w większości nie zapalane od wieków. Lampy stały na trójnogach w połowie tak wysokich jak człowiek i wiele galonów oliwy wypełniało ich zbiorniki, by podsycać migoczące płomyki. Środek komnaty zajmowała wielka sadzawka atramentowo-czarnej wody – czarna, lustrzana powierzchnia, otoczona niskim murkiem z dziwnymi płaskorzeźbami. Dookoła sadzawki stało kilka posągów wielkości człowieka, przedstawiających jakieś ohydne morskie demony z mackami. Odwiedzający to miejsce mógłby zastanawiać się, czy nie jest to świątynia jakiegoś zapomnianego diabelskiego kultu, którego wyznawcy obrócili się w proch wraz ze swymi bogami. Woda odbijała światło pochodni jak polerowany gagat i nawet nachylając się nad nią nie można było stwierdzić, jak była głęboka. Musiała być bardzo głęboka, bo jej poziom podnosił się i opadał zgodnie z pływami – wskazując na połączenie z morzem.

Wokół tej okrągłej sadzawki ustawione były aparaty i magiczne przedmioty Efrel – dziwnie oprawione tomy zakazanej wiedzy, alembiki i retorty o dziwacznych kształtach i inne alchemiczne przyrządy, pudełeczka i fiolki wypełnione

proszkami, eliksirami i zakonserwowanymi obiektami podejrzanego pochodzenia, niesamowite rzeźby na podłodze i na ścianach. Poplamione i świeżo naoliwione narzędzia tortur były najmniej budzącymi odrazę przedmiotami we wnętrzu tej sali.

Efrel nie była w niej sama. Przed nią, uwięzione w granicach starannie narysowanego pentagramu, wznosiły się węzowe zwoje jej demona – potwornie złej istoty wezwanej przez Efrel z innej płaszczyzny istnienia. Demon nie po raz pierwszy widział Efrel i tę komnatę. Czarownica często wzywała swego potwornego ulubieńca w celu zdobycia informacji, jakich żaden człowiek nie mógłby jej dostarczyć. W tym celu dzisiaj wezwała ową istotę.

Pentagram wytrzymał jego wściekłe próby wyrwania się na wolność. Rozczarowany demon zaprzestał wysiłków. Patrząc wrogo na triumfującą czarownicę przemówił szorstkim, szepczącym głosem:

– Widzę, że udało ci się przeciągnąć Kane’a na swoją stronę. Wykazuje wielką energię w służeniu ci. Jak ci odpowiada twój nowy kochanek?

Efrel uśmiechnęła się w odpowiedzi na złośliwą uwagę demona.

– Jestem bardzo zadowolona z twojej rekomendacji. Kane jest dokładnie takim człowiekiem, jakiego było mi potrzeba. Udzielił mi bezcennych lekcji zdrady, wprowadził nową strategię i taktykę do mojej armii i zorganizował cały bunt z nieporównywalną sprawnością.

Przerwała, a potem wróciła do powodów wezwania demona.

– Kane wydaje mi się czymś więcej niż tylko człowiekiem. Jest niezwykłą kombinacją – mężczyzną nieprawdopodobnie silnym, bezlitosnym i śmiałym, intelektualnym geniuszem i człowiekiem złym do szpiku kości. Coś zupełnie nieludzkiego jest w jego oczach – to znak mordercy albo moje wszystkie instynkty kłamią! Tak, dobrze, przyda mi się Kane! Oczywiście to niebezpieczna broń – i tak samo zdradziecka. Użyję Kane’a, ale nie zaufam mu nawet na cal!

Demon zaśmiał się kpiąco.

– Rozumiem, swój pozna swego. Czy możesz jednak być pewna, że umiesz go kontrolować? Ciekaw jestem tego.

Efrel warknęła w złości:

– Potrafię poradzić sobie z Kane’em! On jest tylko mężczyzną mimo czarnego serca i długiego życia. Ten głupiec ma ledwo pojęcie o odrobinie moich mocy, podczas gdy ja wiem, kim jest naprawdę. Kane nie ukryje niczego przed Efre!

Dlatego też wezwałam cię. Do tej pory niewiele powiedziałeś mi o Kanie. Tylko tyle, że Rudy Kane, władca piratów, wciąż żyje, że jest jedynym, który zwycięży dla mnie, i że można go znaleźć na wybrzeżu Lartroxii. Dziś wieczór mam zamiar poświęcić cały czas mego zaklęcia na dowiedzenie się wszystkiego o Kanie.

Powiedz mi teraz, kim – albo czym – jest Kane? Co robił w ciągu tych dwóch stuleci od czasów, gdy terroryzował cesarstwo? Kim był, zanim pojawił się w naszych okolicach, by poprowadzić pirackie hordy do grabieży i mordów? Jak uniknął śmierci na przestrzeni tych wieków?

Demon zaśmiał się znowu.

– Wielu rzeczy możesz nie wiedzieć o Kanie. Nawet w moim świecie są tajemnice dotyczące Kane’a, które wymykają się naszej mądrości. Opowiedzenie choćby tego, co wiemy, zajęłoby znacznie więcej czasu, niż twoje zaklęcie może mnie tu trzymać. Lecz dopóki trwa, powiem ci trochę o człowieku, którego wywołałaś z przeszłości.

Jestem posłuszny twym rozkazom. Patrz, pokażę ci zaledwie kilka scen z przeszłości fantastycznej historii Kane’a.

Zarysy podziemnej komnaty zaczęły się rozpląwać. Masywne lampy, groteskowe posągi, okrągła sadzawka, narzędzia tortur, czarnoksiężskie przedmioty – wszystko to rozmyło się przed oczami i rozpląnęło w czerni.

Efre! zdawała się stać w środku nieskończonej nicości i tylko sardonicznie uśmiechnięty demon widoczny był w kosmicznej czerni.

Światło zaczęło wyłaniać się z chaosu. Przed nią zaczęły się formować chwiejne obrazy, wirujące, kalejdoskopowe wzory czasu. Tuż przed jej oczami rozbłyskiwały zastygłe wydarzenia z przeszłości – krótkie obrazy z minionego życia Kane’a, wydarte z wieczności nadprzyrodzonymi zdolnościami demona i rzucone na ekran jej świadomości.

Efre! zobaczyła Kane’a biegnącego przez zrujnowane miasto ze smukłą dziewczyną u boku. Za nimi pędził tuzin groźnie

wyglądających bandytów. Na ich okrutnych twarzach malował się triumf, gdy popędzali swe wierzchowce w pościgu za zbiegami.

Wieże miasta były zwalone, budynki zniszczone i wypalone. Horyzont był dziwnie skrócony, jakby miasto wybudowane zostało na szczycie ponad równiną. Zawalone gruzem ulice dały Kane'owi przewagę nad jeźdźcami i kiedy tylko na chwilę zniknął im z oczu, wskoczył w ciemne drzwi, wciągając dziewczynę za sobą.

Kane leżał nagi na gnijącym łożu w komnacie, gdzie światło księżyca wlewało się do środka przez okno zasłane pajęczynami. Za oknem rozciągały się skruszone mury twierdzy, która od dziesiątków lat spała pogrążona w ruinie. W dolinie poniżej słabo widać było opustoszałą wioskę. Kane zdawał się nie zauważać panującego dookoła rozkładu, leżąc bezbronny, pogrążony we śnie. W tej zatęchłej komnacie podchodziła do niego bladokóra kobieta o porcelanowym ciele zasłoniętym jak woalem zbutwiałym jedwabiem. Światło księżyca błysnęło biało na jej długich włosach, gdy uśmiechnęła się do mężczyzny, który na nią czekał.

Spryskany krwią Kane toczył zaciekłą walkę z demonem dwa razy od niego większym. Diabełki wielkości lalek uwijały się między nogami walczących, kłując Kane'a ostrymi jak brzytwy włóczniami. Kilka z nich już leżało rozgniecionych i wdeptanych w czerwoną ziemię. Za nimi stała naga dziewczyna przywiązana do skały i przyglądała się walce z przerażeniem. Surowe góry i czarne skały otaczały walczących, a w skalnej ścianie za nimi ziała czarna jaskinia, która zdawała się prowadzić wprost do głębin ziemi. Miecz Kane'a był złamany, więc ciął rozpaczliwie ostrym odłamkiem, odpychając paszczę demona wolną ręką.

Kane skradał się ostrożnie pustymi ulicami miasta, gdzie w żadnym oknie nie paliło się światło. Nie było śladów zniszczeń, lecz budynki wyglądały jak opuszczone od wielu lat. Gdziekolwiek w świetle księżyca ujawniały się stosy suchych kości. Za plecami Kane'a paliły się pochodnie – to pół tuzina ludzi o zaciętych twarzach ścigało go po martwym mieście.

Noc wybuchła chaosem rozlewu krwi i płomieni. Kane szedł dumnie splądrowanymi ulicami miasta z czerwonym mieczem w

ręce – śmiejąc się potężnie, podczas gdy jego piracka horda szalała dookoła. Barbarzyńskie postacie wywalały drzwi domów, zabijając wszystkich, którzy stanęli im na drodze. Wyjący wojownicy biegali po ulicach, obładowani łupami i kosztownościami. Kobiety i dzieci zabijano wraz z mężczyznami, a młode dziewczęta wynoszono, obnażone i wrzeszczące, w mrok. Kane zabrał butelkę wina przechodzącemu rabusiowi i wylał jej zawartość na roześmianą, opryskaną krwią twarz.

Kane biegł na górę po schodach, ścigany przez ziejące stworzenie o białym futrze – pół wilka, pół człowieka. W dole widać było salę zamkową – przewrócone stoły, podłogi purpurowe od krwi. Wszędzie leżały poszarpane ciała dziesiątków ludzi i szarych wilków. Na szczycie schodów Kane odwrócił się i rzucił na niezgrabnego wilkołaka. Złączeni w miazdzącym kości uścisku, człowiek i bestiołak, stoczyli się po schodach – rozbili poręcz i spadli na podłogę. Silne uderzenie rozdzieliło ich. Kane potrząsnął głową w oszołomieniu, chcąc pozbyć się bólu w niej, gdy wilkołak kłapnął zakrwawionymi kłami i skoczył na niego.

Światło gwiazd padało na wieżę wznoszącą się wysoko w nocne niebo. Odziany w szaty w fantastyczne wzory, Kane nachylał się w skupieniu nad stołem zasypanym dziwnymi księgami i zwojami pergaminu zapisanymi rudoczerwonym pismem. Mruczał coś do siebie, przeglądając strony wykresów i obliczeń. Często sięgał do ciemnych ksiąg wiedzy czarnoksięskiej, które leżały przed nim. Skomplikowany układ pentagramów i tajemnych znaków pokrywał większość ścian wieży, a w jednym kącie płakała wystraszona dziewczyna skuta łańcuchami.

Kane siedział na ogromnym tronie z obsydianu, na głowie miał koronę z nie oszlifowanych drogich kamieni. U jego stóp leżał lew obnażając kły i odstraszać dworzan. Ich sposób ubierania się był obcy, tak jak i rasa, do której należeli. Twarz Kane'a wykrzywiona była gniewem, a jego wargi wypowiadały dziwne sylaby, jakby jakieś zarządzenie, do zebranych przed jego tronem. Po tych słowach zapanowała konsternacja, lecz kiedy Kane zerwał się w gniewie, wymachując berłem jak maczugą, dworzanie pośpiesznie zeszli mu z oczu.

Niezgrabnie kołyszące się istoty wielkości człowieka, które

wyglądały jak potworne mieszańce człowieka z żabą, stały obserwując Kane'a w zrujnowanej komnacie jakiejś kolosalnej budowli z czasów poprzedzających czas ludzi. W błoniastych dłoniach ścisnęły wielkie, spiżowe miecze i czekały w cieniach popękanych i chylących się murów. Błotnista woda pokrywała większość podłogi, a mięsiste pnącza zakradały się do wnętrza przez wyrwy w ścianach i oplatały wielkie maszyny, których przeznaczenia nie sposób było się domyślić. Środek komnaty zajmował olbrzymi kryształ – ponura kopuła średnicy niemal stu metrów, zbudowana z substancji przypominającej krwawnik. Nagle zdało się, że szkarłatne żyłki kryształu załśniły życiem. Oślepiające strumienie skrzęcej się energii trysnęły z długo uśpionych słupów maszynierii sprawiając, że ziemnowodne stworzenia cofnęły się wystraszone. Upiorne, zielone światło z żyłkami czerwieni strzeliło z głębi obudzonego kryształu i skąpało Kane'a w swym ogniu.

Kane stał w jaskini ciągnącej się nieskończenie głęboko pod ziemią. Ostre stalaktyty zwisały jak czarne chmury ze sklepienia jaskini oddalonego o milę. Wokół niego horyzont zniknął nad dymiącą równiną potrzaskanych skał i wrzących jam z lawą. W tej koszarnej wizji piekła Kane nie był sam. Otaczały go mroczne istoty o straszliwej urodzie, niesamowite demony o błoniastych skrzydłach i pięknych twarzach, które pały złą mądrością. Wirowały wokół Kane'a, postawami swymi wyrażając po części groźbę, po części ciekawość. Kane rozmawiał szczerze z jednym, który wydawał się ich przywódcą – wysoką, demoniczną postacią pełną doskonałego piękna i absolutnego zła, której oczy płonęły jak żółte słońca.

Kane tarzał się po posadzce fantastycznej świątyni, walcząc z innym mężczyzną przed dymiącym ołtarzem. Oczy Kane'a pały żądzą mordy. Jego potężne dłonie zaciśnięte były na gardle przeciwnika, który tylko słabo wymachiwał rękami, chcąc sięgnąć roześmianej dziko twarzy Kane'a. Sina twarz człowieka, którego dusił, zaskakująco przypominała jego własną, prymitywną twarz.

Obrazy przebiegały przez umysł Efel z oszałamiającą szybkością – pojawiały się, a potem rozplywały niemal szybciej, niż mogła je rozpoznać. To był wir obrazów, które nieustannie

zmieniały się – niektóre tylko na chwilę pokazywały twarz Kane'a, inne przedstawiały całe sceny i trwały nawet minutę. Zgrzytliwy głos demona dotarł do uszu Efreł poprzez fantastyczne zjawy, gdy usiłowała zrozumieć zastygłe momenty niewiarygodnej sagi o Kanie, wypuszczone ze skarbca wieczności.

– Dwa wieki – to nic nie znaczy dla Kane'a. Lata są zaledwie mgnieniami dla człowieka, który widział upływ wieków, powstanie i upadek cesarstw, koniec dzieciństwa ludzkości i odejście starszych ras w mrok. Bardzo poważnie nie doceniłaś Kane'a, jak teraz widzisz, Efreł. On nie jest, jak myślałaś, tylko piratem, który dzięki przypadkowemu rządzeniu losu przeżył dłużej, niż dane jest ludziom. Nie, Efreł! Pirat, złodziej, żebrak, król, czarnoksiężnik, wojownik, uczonek, generał, poeta, morderca – grał nieskończenie dużo ról. Ten człowiek, który mierzy upływ wieków, jakby były to lata, występował w różnych postaciach podczas swych nie kończących się wędrówek.

Kane był jednym z pierwszych prawdziwych ludzi, którzy narodzili się we wrogim świecie dziwnych starych istot. W tym świecie świtu ludzkości Kane sprzeciwił się szalonemu bogowi, który eksperymentując stworzył jego rasę, ale wyniki okazały się dalekie od oczekiwań stwórcy. Temu zidiociałemu starymu bogowi zachciało się stworzyć rasę bezrozumnych istot, których jedynym celem istnienia będzie bawić i cieszyć go. Niemal udało mu się, aż Kane podniósł bunt w tym dusznym raju i obudził w młodej rasie niezależną wolę. Zabił własnego brata, który chciał sprzeciwić się herezji, i w ten sposób nauczył młodą ludzkość nie tylko buntu, ale i gwałtownej śmierci. Ogarnięty wstrętem do nieudanego wyniku swego podłego eksperymentu, bóg porzucił swoje dzieło. A za swój akt sprzeciwu Kane został przeklęty i skazany na nieśmiertelność, na wieczne krążenie po świecie w cieniu przemocy i śmierci. Jego przeklęta wędrówka skończy się dopiero, gdy sam Kane padnie ofiarą tej przemocy, którą przejawiał po raz pierwszy na świecie. Dla odróżnienia od reszty ludzkości, której się wyrzekł, ma on piekielne oczy, oczy mordercy – Piętno Kane'a!

Od wieków wędruje z jednego miejsca na drugie, a gdzie tylko zatrzyma się, przynosi śmierć i zniszczenie. Jest zwiastunem śmierci, istnym władcą chaosu. W jego naturze leży

rozszarpywanie, zabijanie i niszczenie. Czyż to nie Kane bowiem pierwszy pokazał morderstwo nowo narodzonej rasie? Ten Kane, Efreł, jest człowiekiem, z którym związałaś się.

Oczywiście, Kane jest nadal człowiekiem i stalowe ostrze wbite w serce zabije go tak samo, jak każdego innego człowieka. Lecz mimo to nie jest w pełni człowiekiem. Naturalna śmierć nie grozi mu, a jego ciało nie zestarzało się nawet o godzinę od czasu przekleństwa. Rany szybko się goją i ciało wraca do stanu sprzed owej klątwy. Tylko przez przemoc śmierć może go osiągnąć, a jak do tej pory Kane okazał się zbyt silny dla tych, którzy chcieli go zabić. Przemoc i śmierć są właściwym żywiołem tego władcy chaosu i tam jest on panem.

Żaden człowiek jednak nie może żyć wieki i pozostać w pełni człowiekiem. Jego umysł jest pełen mądrości i doświadczeń wieków. Widział rzeczy, o których inni mogą tylko marzyć, skosztował wiedzy, która innych przyprawiłaby o utratę zmysłów. Bo i nie jest on istotą o zdrowych zmysłach w takim znaczeniu, jakie uznaje się w waszym świecie. Myśli Kane'a nie przypominają myśli innego człowieka, widzi on bowiem wszystko z perspektywy wieków. Żywoty innych dla niego są rozbłyskującymi drobinami światła. Czas dla niego stoi w miejscu i wszystko, co ty uważasz za stałe, dla Kane'a jest niczym więcej niż wiecznie zmieniającym się fenomenem. Jedyne, co dla niego jest stałe, to jego własne istnienie i robi on wszystko, by uczynić to wieczne życie znośnym.

Jego motywy są nieodgadnione, jego postępowanie niezrozumiałe dla ludzkich umysłów, żyje on bowiem w świecie wiecznych zmian, gdzie tylko on jest jedyną stałością.

Taki jest ten, którego miałaś zamiar wykorzystać w celu dopełnienia swej zemsty. Z pewnością Kane może dokonać wszystkiego, czego pragniesz – nie skłamałem, radząc ci odszukać go. Kane jest twoją bronią, manipuluj nim, jeśli umiesz. Pamiętaj tylko, że żaden pentagram nie utrzyma demona, którego wezwałaś. Strzeż się, Efreł – nawet królowa nocy nie ośmiela się zapalać swego ognia kometą!

Śmiejąc się szyderczo po raz ostatni, demon znikł. Ciemność nieskończoności wybuchła ostatnim wirem obrazów, a potem skurczyła się i pękła jak kosmiczna bańka. Komnata wyglądała

tak samo jak przedtem, jedynym dodatkiem był pusty pentagram.

Wstrząśnięta wyjaśnieniami demona Efrel siedziała samotnie w mroku komnaty, rozmyślając nad tym, czego się dowiedziała, i przeklinając fakt, że nie można ufać pomocy demonów. Z niepokojem przypomniawszy sobie jednego z przodków, który zażądał, by obsypać go złotem – i został przygnieciony lawiną monet.

W końcu uśmiechnęła się pewnie. Mimo wszystko Kane nigdy nie natknął się na Efrel w czasie swych wędrówek. Szepnęła w mrok:

– A więc tej wiedzy nie obawiam się, będzie to bowiem moja siła. Znając sekret Kane'a łatwiej mogę rozprawić się z nim, kiedy to będzie konieczne. Niech Kane najpierw podbije dla mnie cesarstwo – a potem przyjdzie czas, by poddać próbie jego nieśmiertelność!

17.

WEZWANIE DO BOJU

Kane nakładał zbroję szybkimi i pewnymi ruchami wieloletniego praktyka. Chociaż dopiero co się obudził, chodził po zimnej, oświetlonej słońcem wczesnego poranka komnacie, jakby był na nogach od wielu godzin. Poprawiając kolczugę Kane zastanawiał się, ile razy już to robił? Ile świtów zastawało go przygotowującego się do bitwy? Nie tak wiele, by nie pojawił się znajomy chłód w żołądku. Rozmyślając nad tym, czy kiedykolwiek opuści go to uczucie niepewności w ostatniej minucie, założył nagolenniki.

Przez ramię zawołał do Efreł:

– Kiedy dotrze tu cesarska flota? Czy znamy jej dokładną siłę?

Wydawało mu się, że Efreł patrzy na niego z niezwykłą uwagą ze swego ciemnego kąta sypialni.

– Według moich informacji ich flota wypłynęła o świcie pięć dni temu – odpowiedziała czarownica – i miała dobry wiatr aż do wczorajszej ciszy. Zakładając, że postarają się płynąć jak najszybciej, by zaskoczyć nas, cesarskie wojska powinny wejść na nasze wody gdzieś pomiędzy późnym porankiem dziś i wczesnym jutrem. Co do ich floty, mój informator naliczył dwadzieścia cztery pierwszorzędne okręty wojenne – z tego jedenaście trirem.

– Czy Netisten Maril dowodzi nimi? – spytał Kane, zakładając nagolennik na drugi but. Nad nagolennikami spodnie z grubej skóry chroniły kolana i uda poniżej kolczugi.

– Nie. Moi szpiedzy donieśli mi, że cesarz pogodził się wreszcie ze swym bratankiem i wysłał jego na swoje miejsce. Jak znam Marila, z wiekiem staje się ostrożny albo, co jest całkiem prawdopodobne, ma nadzieję, iż Lages zgubi siebie i moją flotę. W każdym razie dopiero teraz dowiedział się o mojej konspiracji, a więc próbuje zaatakować nas szybko, zanim moje plany zdołają wydać owoce. Stąd stosunkowo mała flota.

Kane mruknął i przypiął sobie na plecach ciężki miecz do walki oburącz. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zabrać

zamiast niego krótszego miecza przydatniejszego w bliskim starciu, gdzie krótka, ostra klinga ułatwia walkę w ścisku. Mimo to ciężki miecz był dobrze wyważony, uznał więc, że potrafi władać nim swobodnie. Zdecydował wreszcie, że jego większy zasięg może okazać się bardziej przydatny.

Kane ciągnął:

– Jesteś pewna, że to pełna siła ich ataku? Może się okazać, że to tylko przednia straż większej floty. Spróbują wyciągnąć nas i...

– Nie. Ta jedna flota to wszystko, co Maril wysłał. Zmobilizowanie całej cesarskiej floty zajęłoby mu, oczywiście, kilka tygodni. Ze swoich źródeł wiem, że w tej chwili żadne inne wojenne statki nie zdążają do Pellinu.

– A gdzie, do diabła, jest Alremas? – mruknął Kane, wybierając długi sztylet – płaski i wyważony tak, by można nim rzucić. – Twoje źródło informacji jest bardzo pewne siebie. Ciekawe, czy jego głowa potoczy się, jeśli okaże się, że nie miał racji? Kim jest ten twój tajemniczy donosiciel? Następnym demonem?

– Nie demonem – Efreł uśmiechnęła się kpiąco, drwiąc z jego niewiedzy. – Ale jedną z istot z tej płaszczyzny – istot, które żyją w ukrytych miejscach tego świata, którego tajemnice niewielu ludzi zgłębiło. Obserwują oni nasze głupie wojny, a skłonni do zapomnienia ludzie nawet tego nie podejrzewają. Ośmielisz się zgadnąć? Zapewniam cię, Kane, że moje informacje pochodzą od istot równie obcych ludzkości, jak demony z innych wymiarów!

Przerwała, by wzbudzić jego ciekawość.

– Ale o tym opowiem ci kiedy indziej. Efreł nie dzieli się swymi sekretami niepotrzebnie.

Do komnaty wpadł zdyszany Imel. Niespokojnie pociągał za zapięcie swego wspaniałego pancerza. Skrzywił się na myśl o tym, jak purpurowa emalia i złocenia będą wyglądać przed zmierzchem, ale wiedział, że będzie imponującą postacią – zwycięzcą lub trupem.

– Czy wszyscy oficerowie zostali zawiadomieni? – spytał gniewnie Kane, wyładowując swoją złość na Imelu.

– Tak, dopilnowałem tego osobiście.

– A żołnierze?

– Trębacze ogłosili wezwanie do boju w koszarach, flota również została powiadomiona. Żołnierze będą gotowi do wejścia

na pokład za godzinę. Udało nam się także obudzić całe miasto. Biorąc wszystko pod uwagę, sprawy układają się dobrze.

Kane popatrzył ponuro na Imela, który poprawiał ciągle zbroję.

– Mam nadzieję, że umiesz w tym pływać – w wodzie nigdy nie uda ci się tego zdjąć. Dobrze, idź dopilnować, by wszystko układało się sprawnie i szybko. Lages i cesarska flota mogą zjawić się tu za kilka godzin, a chcę, żeby każdy dostępny statek był gotowy na ich spotkanie. Zabierz się wreszcie do roboty i przestań się muskać! A jak zobaczysz Alremasa, to powiedz mu, żeby pofatygował się tu na górę!

– Tak jest, panie! – zasalutował Imel. Obrócił się zwinnie i wybiegł z komnaty, niemal wpadając na Arbasę. Zabójca zręcznie uskoczył na bok i wszedł do środka, klnąc pod nosem.

– Już gotowy do boju, Kane? – spytał Arbas. – Myślałem, że mamy więcej czasu. Czyżby ten cholerny szpieg popsuł nam szyki?

– Zdaje się, że tak, choć dłużej nie można było i tak tego ukrywać. Na szczęście Maril nie wysłał całej floty, ale mimo to będzie ciężko. Chciałbym, żebyś popłynął ze mną na „Ara-Tewing” – wolałbym mieć za plecami kogoś, komu mogę zaufać. A tymczasem zobacz, jak idą przygotowania. Twój kolega Imel będzie ci wdzięczny za pomoc, ale przede wszystkim zawiadom mnie, gdyby były jakieś problemy.

Kiedy Arbas wyszedł, Kane powiedział do Efreli:

– Teraz zobaczymy, jak udało ci się przygotować flotę. I nie martw się o sąd polowy, gdyby okazało się, że moje dowodzenie zostawia wiele wątpliwości. Twierdzisz, że twoje informacje o flocie Marila pochodzą od tych nieludzkich sprzymierzeńców, o których ciągle wspominasz. Wydaje mi się bezsensowne, że utrzymujesz w tajemnicy przed swoim generałem, kim oni są. Ale to twoja sprawa. W każdym razie mam nadzieję, że wezwałaś ich na pomoc – w walce przeciw Lagesowi przydadzą nam się wszelkie nadprzyrodzone moce, jakimi władasz.

Efrel zignorowała jego przytyki.

– W tej bitwie, Kane, musisz polegać wyłącznie na własnych siłach. Jak wiesz, cesarska flota będzie zabezpieczona przed wszelkimi pospolitymi czarami, a nie nadszedł jeszcze czas, bym

wezwała te siły, o których często wspominasz. Gdyby było inaczej, nigdy bym cię nie potrzebowała, prawda?

Kane chciał dalej ciągnąć sprzeczkę, ale w tym momencie do komnaty wszedł nie śpiesząc się Oxfors Alremas.

Alremas rzucił mu wściekłe spojrzenie.

– Nie jestem przyzwyczajony do tego, żeby mi rozkazywać jak zwykłemu żołnierzowi. I nie wysyłaj po mnie na drugi raz tego dorobkiewicza! Mogę być zmuszony do przyjęcia pozycji twojego podwładnego na jakiś czas, ale nie zapominaj, że bezprawnie zajęłeś miejsce, które mnie...

Zobaczył Efrel i powstrzymał się.

– Dzień dobry, moja królowo – powiedział spokojnie.

Efrel podniosła się.

– Dzień dobry, Oxforsie Alremasie – pokuśtykała do drzwi. – Sama mam parę rzeczy do zrobienia, więc opuszczę cię, Kane. Jestem pewna, że Alremas z chęcią ci pomoże. Prawda, Alremasie? – Uśmiechnęła się do niego z przebiegłością węża i kulejąc zeszła po schodach.

Wyglądało na to, że wszelki buntowniczy duch opuścił Alremasa, który w otępieniu odwrócił się do Kane'a.

– A teraz – zaczął Kane – chciałbym zwrócić twoją szacowną uwagę, że mamy stoczyć bitwę. Lages dowodzi flotą dwudziestu czterech okrętów wojennych, które dotrą tu w ciągu kilku godzin. Niemal połowa z nich to triremy, a wszystkie są świetnymi statkami bojowymi. Jak wiesz, nie odważyliśmy się zebrać naszych sił w obawie przed wykryciem, więc w tej chwili możemy zmobilizować pięć trirem i siedem innych statków wojennych. Dodaj do tego około dwudziestu sześciu przerobionych statków kupieckich, barek i mniejszych łodzi, a okaże się, że mamy cholernie małą flotę w porównaniu z cesarskimi wojskami. Poza tym Efrel powiedziała mi, że nie może pomóc nam tym razem swymi siłami nadprzyrodzonymi, którymi podobno włada.

Będziemy więc mieli trudne zadanie i liczy się każdy dostępny statek i człowiek. Chcę, żeby byli gotowi jak najszybciej! Nie mam zamiaru czekać, aż Lages zaskoczy nas w przystani! Wypłyniemy i zaczekamy na niego na pełnym morzu, gdzie możemy liczyć na dość miejsca do manewrowania. Jeśli tylko ta łatana flota zapamiętała, czego ich nauczyłem, powinniśmy móc wciągnąć

Lagesa do znacznie niebezpieczniejszej gry, niż się spodziewa. Zaplanowaliśmy to wcześniej do ostatniego szczegółu, więc chyba rozumiesz, co masz robić. A teraz, na czerwone oczy Księcia Tloluvina, weź się do roboty i dopilnuj, żeby moje plany zostały wykonane! Nasza osobista sprzeczka może poczekać, aż Thovnosten zostanie zdobyte. Zgłoś się za godzinę na pokład „Kelkina” po ostatnie rozkazy. To wszystko.

Alremas mruknął coś, co trudno byłoby uznać za uprzejme pożegnanie i wyszedł majestatycznym krokiem.

Kane założył hełm z czubem i chwycił swój topór bojowy.

– Jeśli przeżyjesz dzisiejszą bitwę, będę musiał się z tobą rozprawić, Alremasie! – mruknął, śledząc ponurym spojrzeniem pellińskiego szlachcica. Kiedy wychodził, by przyjrzeć się przygotowaniom do bitwy, przyszło mu do głowy, że jego wróg zapewne myśli podobnie.

18.

OGIEŃ NA MORZU

Spotkali cesarską flotę krótko przed południem. Kane obserwował zbliżające się statki z pokładu swego okrętu flagowego „Ara-Teving”. Lages nie zmarnował czasu i bez tajemniczego wywiadu Efreł na pewno rozbiłyby blokadę buntowników i spadł na Prisarte, zanim zdołano by zorganizować obronę, skorzystał bowiem z wczorajszej ciszy morskiej, żeby wyciągnąć statki na brzeg i zdjąć z nich główne maszty, przygotowując je w ten sposób do bitwy. Napędzana wiosłami jego flota mknęła z prędkością miazdzącego pocisku.

Patrząc przez lunetę, Kane podziwiał piękno długich okrętów wojennych. Ich potrójne lub podwójne rzędy wiosel cięły równo, a żagle dziobowe wydęte były wiatrem, pchając zakończone taranami kadłuby statków przez falujące morze. Potem Kane przyjrzał się swojej własnej flocie, a nie był to wesoły widok – odnowione bardzo stare statki, przerobione łodzie kupieckie i tylko kilka dobrych okrętów wojennych, jak „Ara-Teving” i „Kelkin”. Zdawał sobie jednak sprawę, że muszą wystarczyć i wdzięczny był, że mieli dość czasu, by wszystkie statki ustawiły się w szyku tutaj, jakieś 15 mil od portu w Prisarte. Niezależnie od swojej siły młoda flota Efreł mogła teraz oczekiwać ataku wojsk cesarskich.

– Co o tym myślisz? – spytał Arbas, który stał obok Kane’a.

– To samo co przedtem. Jeśli wszystkie ich okręty uderzą na nas klinem, będziemy w bardzo złej sytuacji, żeby nie powiedzieć w beznadziejnej. Musimy spowodować, by nie wszystkie statki dotarły do nas, dlatego właśnie pomyślałem o tych specjalnych barkach. Teraz dowiemy się, czy ta pływająca artyleria, z której byłem tak dumny, do czegoś się nadaje.

Wskazał na dziesięć niezgrabnych barek, które powoli holowano na pozycję tuż przed resztą floty. Barki zostały starannie przebudowane zgodnie z poleceniami Kane’a. Na każdej z nich wznosiła się ogromna katapulta: nie niewielkie

działko, jakie czasem znajdowało się na pokładzie okrętu wojennego, lecz potężna maszyna oblężnicza, jakie zwykle budowano, by zwalić mur fortecy.

Ładownie każdej barki wypełniały kosze kamieni i głazy o wadze stu funtów lub więcej. Ale oprócz tego były tam również dziwniejsze pociski – i na nich Kane opierał swą nadzieję zwycięstwa nad silniejszym przeciwnikiem. Specjalne kłęby szmat, słomy i innych materiałów łatwopalnych powiązано razem, tworząc kule średnicy jakichś dwóch stóp. Każdy taki wiecheć został następnie nasączony mieszaniną saletry i siarki z dziegciem, smołą i innymi palnymi olejami. Ogniste kule, broń, którą Kane wykorzystywał przedtem w czasie oblężeń, paliły się intensywnym płomieniem lecąc w powietrzu, a spadając na pokład rozbijały się na dziesiątki płonących fragmentów. Jeden taki pocisk mógł spalić statek lub zająć większą część jego załogi gaszeniem rozprzestrzeniającego się pożaru. Oprócz tego na pokładzie tych barek znajdowała się tylko załoga niewolnych wioślarzy i kilku żołnierzy wyćwiczonych w obsłudze katapulty. Łodzie te były stanowczo zbyt powolne i niezgrabne, by nadawały się na coś innego niż na morską artylerię, a z powodu nieprzydatności na wzburzonym morzu nie można było ich bezpiecznie odholować daleko od portu.

Stwierdziwszy, że cesarska flota jest już w zasięgu strzału, Kane wydał rozkaz, by rozpocząć ostrzeliwanie. Dziesięć katapult wystrzeliło naprzód swymi długimi ramionami, a odrzut pchnął barki głęboko w wodę. Deszcz kamieni i ognistych kul leciał wysokim hakiem w stronę zbliżającej się floty. Co najmniej połowa nie trafiła, lecz kilka kamieni spadło pośród floty. Obsługujący katapulty pośpiesznie naciągnęli je i wystrzelili jeszcze raz.

Druga salwa była znacznie groźniejsza.

Zdumiony Lages patrzył ze swego statku flagowego „Mon-Ossa”, jak galera tuż obok niego została trafiona dwiema ognistymi kulami naraz. Płonące pociski zalały pokład i ludzi falą nie dających się ugasić płomieni.

– Cała naprzód! – krzyknął. Wojenne flagi przekazały jego rozkaz i flota przyśpieszyła. Thovnozjański generał pieniał się z wściekłości, ale przeciwnik nadal znajdował się poza zasięgiem

strzału z łuku. – Cała naprzód! Zbliźcie się do nich! Musimy dostać się tam, gdzie nie sięgną ich katapulty. Łucznicy! Strzelajcie, jak tylko podpłyniemy do nich! Uciszcie te przeklęte katapulty!

Masywny głaz spadł na wioślarzy za nim, zostawiając tylko krwawą masę połamanych desek i zmiażdżonych ciał. Jego statek wszedł w drogę drugiemu, niewolnicy bowiem po nietkniętej stronie wiosłowali bez przerwy. Ten drugi okręt przepłynął obok bardzo blisko, unikając zderzenia tylko dzięki zręczności kapitana. Po lewej stronie Lagesa mniejszy okręt zapalił się od ognistej kuli, która wpadła do ładowni, i zaczął dymić wielkimi chmurami czarnego dymu. Inne statki w szyku również już płonęły, a pociski wciąż spadały bezlitośnie.

Lages wykrzykiwał rozkazy i przeklinał wioślarzy za ospałość. Katapulty dosięgły ich z odległości pół mili. Jego flota zmieniała się w zbiór płonących wraków, a oni nadal byli zbyt daleko, by łucznicy mogli trafić w cokolwiek. Przez fale spienione wiosłami cesarska flota brnęła w groźnym deszczu pocisków.

Kane obserwował z satysfakcją wyniki ostrzału z katapult. Teraz strzelały już nie salwami, ale kiedy tylko mogły – tak szybko, jak można było je załadować. Kilka cesarskich statków już było wyraźnie uszkodzonych, a cztery inne, w tym dwie triremy, płonęły. Nagły, ostry świst zawiadomił Kane'a, że Lages rozkazał swoim łucznikom otworzyć ogień – za wcześnie, bo ich pierwsza salwa spadła do morza, tuż przed powoli płynącymi barkami.

– Naprzód! – krzyknął Kane. – Szybciej do ataku!

Flagi przekazały jego rozkaz do innych okrętów.

Gdy flota buntowników ruszyła na spotkanie cesarskich statków, Kane polecił swoim łucznikom, by przygotowali się do strzału. Za chwilę flota Lagesa będzie zbyt blisko, by cofające się barki z katapultami mogły kontynuować atak. Wtedy statki buntowników znajdą się w zasięgu strzałów z łuku.

Kane roześmiał się szaleńczo, upojony bitwą. Pokłady posypane były piaskiem, by mogła weń wsiąkać krew, która wkrótce uczyniłaby podłoże śliskim. Główne maszty zdjęto, gdyż przy taranowaniu okrętów zwaliłyby się na pokład. Tnąc powierzchnię morza rytmicznymi pociągnięciami wiosła, jego flota okrętów wojennych podążała w stronę sił cesarskich z prędkością czterech węzłów. Kości zostały rzucone, bitwa była

nieuchronna.

Gdy zaczęły się zacieśniać szyki, grad strzał cesarskiej floty spadł na cofający się rząd barek. Strzała z żelaznymi zadziorami trafiła jednego z załogi barki w pierś. Słaniając się z bólu wpadł na koszt z żarzącymi się węglami do zapalania ognistych kuł, strącając go do ładowni barki. Rozsypane węgle natychmiast zapaliły stos łatwo palnych pocisków. Z nagłym hukiem barka eksplodowała kolumną płomieni, tłustego dymu i wrzeszczących ludzi.

Pozostałe załogi barek nadal strzelały, niewzruszone świszczącymi strzałami, dopóki ich własne okręty nie wysunęły się przed nich, wchodząc im na linię ostrzału. Ponieważ na nic by się zdały w walce z bliska, wycofały się do Prisarte, zanim cesarska flota mogła wziąć na nich odwet za morderczą kanonadę.

Dwie floty mknęły w czarnym deszczu strzał o żelaznych grotach i ostrych kamieni miotanych z małych działek pokładowych. W tym morderczym gradzie spotkały się.

Potężna cesarska galera wbiła się w przerobiony statek handlowy, który nieopatrznie wysunął się przed inne okręty wojenne – i niemal zmiotła jego zmiążdżony kadłub z powierzchni morza. Dwie mniejsze galery zderzyły się niemal dokładnie czołowo. Statek buntowników, choć okaleczony, został na wodzie, drugi powoli tonął. Krzyki „Przyśpieszyć taranowanie!” ginęły w strasliwym hałasie pękających belek, wrzasków bólu i ńście zwierzęcych ryków.

Wykrzykując wściekle rozkazy, Kane skierował swój statek flagowy ku najbliższej triremie wroga. Po osiągnięciu prędkości taranowania wiosłarze w rozpaczliwym pośpiechu wciągnęli wiosła w ostatniej chwili – właśnie gdy Kane zręcznie obrócił koło sterowe w prawo. „Ara-Teving” skręcił przed przeciwnikiem i przemknął obok jego kadłuba, łamiąc wiosła i okaleczając wiosłarzy po jednej stronie wrogiego okrętu. Pchany nadal impetem, „Ara-Teving” przemknął obok, a potem zanurzył wiosła w wodzie i odpłynął, zostawiając unieruchomiony cesarski statek mniejszym okrętom.

Wśród bitewnego zamieszania inne statki buntowników usiłowały powtarzać ten sam manewr, nie zawsze z równym

powodzeniem. Nie mogąc wymknąć się bosakom abordażowym wroga, „Hast-Endab” został uwięziony między dwiema galerami, zanim zdołał spuścić wiosła. Jak tylko zaczepiono haki, na pokład wskoczyła podwójna fala cesarskich żołnierzy. Dwa przerobione statki kupieckie płynęły na pomoc zaatakowanemu okrętowi i wkrótce grupa ta przypominała pływającą wyspę.

Powietrze rozbrzmiewało krzykami umierających i rannych żołnierzy, szczękiem broni, trzaskiem belek. Strzały padały wszędzie.

„Mon-Ossa” włączył się do bitwy już po pierwszym starciu, ponieważ Lages stracił nieco czasu na oczyszczenie uszkodzonego rzędu wiosła. Zauważając cesarski okręt flagowy, Kane dał rozkaz taranowania, chcąc zatopić go i załamać flotę cesarską widokiem takiej porażki. Lages ujrzał galerę buntowników płynącą wprost na jego okręt, ale uszkodzone wiosła sprawiły, że stracił on dużo ze swej zdolności manewrowania. Chciał skrócić, ale nie zdołał całkowicie ująć okutemu spiżem taranowi.

Dwa statki flagowe zderzyły się i wraz z grzmotem zderzenia rozległy się donośne okrzyki bojowe żołnierzy. Dwie strony rzuciły się na siebie i na obu pokładach rozgorzały zacięte boje.

Kane skoczył w środek bitwy, wycinając sobie mieczem drogę do drugiego statku. Pewny, że może władać długim mieczem lewą ręką, odrzucił tarczę na bok, wyszarpnął zakrzywiony sztylet zza pasa jakiegoś trupa i chwycił go w prawą dłoń. Chociaż był leworęczny, nauczył się posługiwać prawą ręką z równą sprawnością. Fakt, że mógł w pełni używać obu rąk, czynił Kane’a podwójnie niebezpiecznym w starciu, o czym szybko dowiadywali się ci, którzy go zaatakowali.

Rozpędzając wrogów Kane dotarł do wysokiego dziobu „Ara-Teving” i skoczył na pokład „Mon-Ossa”. Chmara cesarskich żołnierzy wybiegła mu naprzeciw. Kane powalił pierwszego ciosem miecza, na krótko zablokował miecz drugiego, zanim nie rozprawił się z nim nagłym, wypruwającym wnętrzości cięciem noża, a potem odwrócił się szybko i przebił trzeciego żołnierza swoim szerokim mieczem. Wołając do swej załogi, by szła za nim, Kane wdarł się w szeregi cesarskich wojsk, a jego miecz i sztylet zostawiały krwawy ślad. Wykrzywione twarze i błyszczące klingi wirowały wokół niego w purpurowym huraganie.

Przez pierwsze kilka minut nie było łatwo. Kolczuga Kane'a wytrzymała każdy cios, chociaż na jego obnażonym ciele krwawiło parę skaleczeń – niewielka była to zapłata za śmierć tyłu wrogów. Potem jego załoga zaczęła przeskakiwać poręcze na burtach i przyszła mu z pomocą.

W pierwszej fali Arbas walczył jak krwiożercza pantera. Nie zważając na nic, ciemnowłosy zabójca wdarł się między cesarskich żołnierzy. Kane żałował, że nie ma spokojnej chwili, by mógł przyjrzeć się artyście przy pracy – bo jego niebezpieczny talent polegał nie tylko na umiejętności skradania się, ale i otwartej walki.

Spokojnie i z rozmysłem Kane wycinał w pień cesarskich wojowników. Jego zmysły rozpalone były bitewnym zgiełkiem i ekstazą mordowania. Mimo iż pragnął zatracić się w orgii rzezi i rozlewu krwi, Kane opanowywał swoje krwiożercze instynkty. Jego działaniem rządził rozum, a nie emocje.

Oficer w czerwonym płaszczu cesarskiego generała przepchnął się między chwiejącymi się żołnierzami, by rzucić się na Kane'a.

– Zapewne jesteś Kane! – krzyknął, zadając groźny cios, który Kane ledwo odparował. – Wiesz więc, że ja jestem Lages! Dzisiaj dowodzę tą flotą, piracie! Jutro twoja śmierć uczyni mnie cesarzem!

– Więc nigdy nim nie będziesz! – warknął Kane i zaatakował jeszcze wścieklej. – Ale mogę dać ci koronę z dobrej stali!

Lages był świetnym szermierzem, lecz szybki jak błyskawica atak dwóch mieczy Kane'a zaskoczył go. Widział już przedtem ludzi walczących mieczem i sztyletem, ale nigdy dwoma mieczami. Kane władał swobodnie mieczem, który większość ludzi musiałaby trzymać w obu rękach. Drwiny zamarły na wargach Lagesa, któremu zaczynało brakować tchu. Mimo swoich umiejętności Lages był zmuszony cofać się coraz bardziej ku burcie statku. Po raz pierwszy jego pewność siebie zachwiała się. Czyżby tygodnie spędzone w więzieniu tak go osłabiły? Czyżby ten Kane naprawdę był potworem z dawnych czasów, którego, jak głosiła legenda, nie może pokonać człowiek?

Lecz Lages był silnym mężczyzną. Jego wyszczerbiona tarcza nadal zatrzymywała deszcz ciosów, jakim zasypywał go Kane, a

splamiony czerwienią miecz usiłował dosięgnąć wroga. Z rosnącą paniką Lages zdał sobie sprawę, że coraz mniej atakuje, a nawet z trudem udaje mu się bronić przed bezlitosnym atakiem Kane'a. Z posępną zawziętością czynił wszystko, by ostrza mieczy wroga nie dotknęły jego zboląłego ciała. Jego tarcza porąbana już była na kawałki, miecz stępił się od parowania klingi Kane'a. Wreszcie nadszedł ten jeden szybki jak błyskawica cios, którego nie można było zatrzymać. Kordelas Kane'a błysnął jak odbite światło i rozciął rękę Lagesa, w której trzymał miecz. Lages uczuł, jak jego prawa ręka traci czucie i klinga pada z brzękiem na śliski pokład.

– Żegnaj, Lagesie! – roześmiał się Kane i wzniósł szeroki miecz, by zadać ostateczny cios. – Dołącz do swej floty w piekle!

Lages szybko uskoczył do tyłu, by uniknąć ciosu, potknął się o połamaną poręcz na burcie i spadł do morza. Fale uderzyły go z wielką siłą, która go ogłuszyła, i lodowata woda zamknęła się nad nim. Zbroja ciążyła mu i wciągała go pod wodę. Lages tonął, rozpaczliwie usiłując rozpiąć zranioną ręką sprzączki swego ciężkiego pancerza.

– Lages poległ! Lages poległ! – krzyk rozpaczony rozniósł się wśród cesarskich statków.

Kane miał zamiar podejść do burty i upewnić się, lecz przeszkodziła mu pałająca żądzą zemsty grupa cesarskich żołnierzy, która rzuciła się na niego. Zawzięcie i z wszystkich sił Kane bronił się przed ich wściekłym atakiem i przez nie kończącą się chwilę uderzał o stal tak szybko, że ani oko, ani myśl nie mogła za nim nadążyć. Lecz wreszcie ulegli morderczej postaci, na której się skupili, i rebelianccy żołnierze szybko przebili się od tyłu, by przyjść Kane'owi z pomocą.

I wtedy nagle okazało się, że nie ma już z kim walczyć. Cesarski okręt flagowy został zdobyty.

Kane wytarł pot i krew z twarzy i zaczerpnął tchu. Stał cały zalany krwią, część z niej była jego własna. Rozglądając się dookoła widział, że szala zwycięstwa przechyliła się na jego stronę.

Ostrzał z katapult złamał szyki cesarskiej floty, a taktyka taranowania i łamania wioseł przyniosła spodziewane skutki. Wystarczająco dużo okrętów wojennych zostało w ten sposób unieszkodliwionych, by stały się łatwym łupem mniejszych statków buntowników. Przerazone klęską statku flagowego

niedobitki floty Lagesa będą walczyły teraz nie o zwycięstwo w bitwie, lecz by uciec.

Kane uśmiechnął się dziko. Zanosiło się na to, że jego wysiłki na rzecz Efrele nie poszły na marne.

Nadszedł Arbas poważnie kulejąc – prymitywny opatrunek przesiąknięty krwią ozdabiał jego udo.

– Chodź już, Kane! Ten statek tonie! O, cholera, jakiś sukinsyn o mało co nie odciął mi nogi! Do pioruna, ale to była bitwa!

Kane spojrzał na zalaną purpurą nogawkę spodni zabójcy.

– Wygląda, jakby ktoś przeciął ci tętnicę! Załóż ciaśniejszy bandaż, bo wykrwawisz się na śmierć! Jeszcze nie skończyliśmy walczyć, Arbasie.

Kane krzyknął do swoich ludzi:

– Wracajcie na „Ara-Teving”! Zabierzcie wszystkich rannych, jakich znajdziecie! I pośpieszcie się, do diabła!

Podtrzymując Arbasa, Kane również opuścił tonący „Mon-Ossa”. Zabójca kłął przy każdym kroku, ale trzymał się dzielnie. Kane stwierdził, że widocznie jego tętnica udowa nie została naruszona, bo inaczej dawno już by się wykrwawił.

„Ara-Teving” odpłynął od wraka i udał się w inną część morskiego pola bitwy. Rebeliancka birema i cesarska trirema toczyły bój w pobliżu i Kane wydał rozkaz staranowania wrogiego okrętu. W chwili gdy „Ara-Teving” odpływał, nikt nie myślał o krwawiącej postaci, która unosiła się na wodzie za nimi na kawałku zatopionego statku. Na powierzchni wody pełno było takich.

Lages trzymał się mocno desek i próbował wiosłować zdrową ręką. Słona woda paliła zranione ramię jak kwas i Lages kłął, marnując oddech, który przydałby mu się bardziej do pływania. Nie mógł umrzeć teraz tutaj! Nie teraz, kiedy ma tak wiele powodów, by żyć! Jego flota była pokonana i pewna już, że ich dowódca nie żyje, gdyż „Mon-Ossa” uniósł rufę i zatonął. Gdyby Lages nie zdołał uwolnić się od zbroi, leżałby teraz na dnie, tysiące sążni pod powierzchnią wody. Oprócz tego zdawało mu się, że w tej chwili ma niewielkie szanse, by uniknąć utopienia albo niewoli. Lages rozpaczliwie rozglądał się dookoła w poszukiwaniu pomocy.

W tej chwili zauważył wielką cesarską galerę, jakimś trafem

nie tkniętą nawet w boju, która płynęła wprost na niego. Trirema ta rozprawiła się z dwoma statkami buntowników, które chciały ją zaatakować, a teraz płynęła w kierunku dalszych starć.

Lages pomachał zdrową ręką i krzyknął ochryple:

– Pomocy!

Z przerażeniem zdał sobie sprawę, że znajduje się dokładnie na drodze statku.

– Na Hormenta, nie! – modlił się. – Nie pozwól mi zginąć teraz, utopionym przez własnych ludzi!

Lecz ktoś na pokładzie statku wojennego rozpoznał szamoczącą się postać w wodzie dzięki szkarłatnemu płaszczowi, który Lages narzucił na połamane deski, kiedy usiłował je złapać.

Galera zwolniła i skręciła, żeby go nie uderzyć. Lages chwycił linę, którą mu rzucono, i wspiął się na pokład.

– Dzięki Hormentowi! – wysapał. – I dziękuję wam wszystkim! Nie zostaniecie bez nagrody za to! Kto tu jest kapitanem?

Podbiegł oficer – Lages rozpoznał w nim jednego ze swych dawnych towarzyszy.

– Och, to ty, Gable! – roześmiał się słabo Lages. – Gdyby nie twój statek, stałbym się pokarmem dla ryb i tego ci nie zapomnę!

– Myślałem, że wciągamy na pokład ducha, panie – powiedział Gable. – „Mon-Ossa” leży na dnie, a ludzie mówią, że Kane wysłał cię tam, byś był jego kapitanem.

Lages zaklął.

– Rozliczę się z Kane’em innym razem. Co sądzicie o bitwie? Co się stało od chwili, gdy uznano mnie za zmarłego?

– Źle się dzieje, panie – odparł posępnie Gable. – Oprócz naszego statku widzę jeszcze tylko dwie mniejsze galery, które mogą poruszać się swobodnie. Ogniste kule wyrzadziły nam wiele szkód. Teraz ci przekłęci rebelianci osaczyli nas i abordażem pokonują resztę floty, która jeszcze trzyma się na wodzie.

– Tego się obawiałem – jęknął Lages. – A więc sprawa jest beznadziejna. Kane jest tym diabłem z legendy! Dobrze, daj znak do odwrotu. Spróbujemy wrócić do Thovnosten z tym, co uda nam się ocalić.

Samotna cesarska galera opuściła pole bitwy i uciekła w stronę Thovnosten. Dwie mniejsze galery i inne uszkodzone okręty usiłowały uczynić podobnie, lecz flota buntowników

otoczyła je i tylko jednej biremie udało się uciec. Nie ścigano jej, buntownicy byli zbyt zajęci wyrzynaniem załóg cesarskich statków.

I tak z dwudziestu czterech dumnych okrętów dwa wróciły z trudem do Thovnosten, zostawiając resztę na łasce zwycięzców i morza.

W tym czasie siły buntowników zdobywały jeden statek po drugim spośród unieruchomionych ich bosakami. Po zajęciu kolejnego okrętu zwycięscy buntownicy przechodzili na pokład następnego statku, by wzmocnić siły towarzyszy. Cesarscy żołnierze walczyli dzielnie, ale byli w beznadziejnym położeniu i co mądrzejsi poddali się wraz z okrętami, licząc, że znajdą łaskę w Prisarte.

Pokonawszy drugiego przeciwnika „Ara-Teving” mknął na spotkanie następnego. W jednym zakątku pola bitwy sprawy źle wyglądały dla buntowników. Siostrzany okręt „Ara-Teving”, „Kelkin”, został uwięziony między dwoma cesarskimi triremami i jego mniej liczna załoga powoli ulegała naporowi wroga. Pomimo tego, co czuł do Alremasa, Kane nie mógł pozwolić na stratę drugiego pod względem wartości okrętu po jego własnym w całej flocie Efel.

Kane rozkazał atakować, myśląc, że przyjscie z pomocą Alremasowi przyniesie mu pewne poważanie wśród wyniosłych Pellińczyków. Na jego rozkaz „Ara-Teving” podpłynął blisko do triremy i zarzucił bosaki. Prowadząc swą załogę, Kane przeskoczył przez burtę, by zaatakować cesarskich żołnierzy z tyłu. Nie dając im czasu na zdanie sobie sprawy z nowego niebezpieczeństwa, Kane wpadł między wrogie szeregi, tnąc dwoma mieczami na obie strony. Ludzie cesarza cofnęli się i słabli pod wznowionym atakiem buntowników. Ich oczywiste zwycięstwo zmieniło się nagle i okrutnie w klęskę. Bili się teraz na śmierć i życie, jak zaszczute zwierzęta, nie zważając na rany i niebezpieczeństwo.

Ku swemu rozczarowaniu Kane stwierdził, że Alremas nadal walczy. Miał nadzieję, że cesarscy żołnierze zabiją pellińskiego władcę za niego i oszczędzą mu kłopotów. Musiał przyznać, chociaż niechętnie, że Pellińczyk świetnie władał mieczem. Ten męczyzna wspaniale fechtował, z szybkością i wytrzymałością,

której trudno byłoby się spodziewać po takim fircyku. Kane nie przypuszczał, że Alremas jest dość silny i wytrzymały na taką walkę. Gdyby tylko ten drań nie był zbyt popularną osobą, by go zamordować, pomyślał z żalem, Arbas zająłby się tym z przyjemnością.

Kane walczył, siejąc śmierć i zniszczenie wokół siebie. Alremas musi poczekać na inną okazję. Teraz czeka ich brudna, krwawa robota tłumienia resztek zacieklego oporu. Wreszcie walki ustały. Ostatni cesarski żołnierz padł bądź też poddał się.

Znużony okrzyk triumfu przebiegł szeregi buntowników. Połowa ich ludzi leżała martwa lub ciężko ranna, a połowa okrętów była wrakami. Jednakże zdobyte wrogie statki zastąpią im utracone okręty, a nowych żołnierzy zawsze można znaleźć. Odnieśli znaczące zwycięstwo nad silniejszym, lepiej wyposażonym wrogiem, więc ludzie mieli prawo być dumni.

Kane pokazał się na dziobie swego okrętu flagowego. Był teraz jeszcze bardziej budzącą podziw i lęk postacią – w postrzępionej kolczudze, z pokaleczonymi nagimi ramionami i twarzą, zalany krwią od stóp do głów. Wzniósł swój skrwawiony miecz w górę w geście salutów ludziom, których poprowadził do zwycięstwa.

Wśród dzikich okrzyków:

– Niech żyje Kane! Niech żyje Kane! Niech żyje Rudy Kane! – poprowadził swą triumfującą flotę z powrotem do Prisarte.

Ze skrytym zadowoleniem Kane zauważył, że to jego imię, a nie Efrel, ludzie wykrzykiwali w podziwie.

POWRÓT DO THOVNOSTEN

Netisten Maril kipiał z wściekłości – był to jego normalny nastrój, kiedy napotykał jakąś przeszkodę.

– Tylko dwa statki wróciły! Na Hormenta! Na po trzykroć przekłętogo Tloluvina! Tak nie może być – to niemożliwe! Jak Kane mógł zadać taki cios cesarskiej marynarce wojennej! Na Lato, wiedziałem, że powinienem być sam dowodzić tą wyprawą. Ty pozwoliłeś bandzie buntowników i piratów zwyciężyć najlepsze okręty wojenne na Zachodnim Morzu!

Usiłując opanować się, Lages z kamienną twarzą wysłuchiwał zarzutów swego wściekającego się stryja. Rany sprawiały mu ból i ilekroć próbował, bez powodzenia zresztą, przerwać strumień inwektyw Marila, samego ogarniała go złość. W końcu Marilowi zabrakło tchu i zamilkł. Jego purpurową twarz wykrzywił grymas niezrozumienia i gniewu.

Lages zaczął mówić z goryczą:

– Dobrze, więc dostaliśmy łupnia. Atak hysterii niczego nie zmieni, a jeśli chcesz kogoś obrzucać przekleństwami, wyładuj się, proszę, na Kanie.

Ludzie walczyli dzielnie w czasie całej bitwy i wątpię, czy potrafili byś dowodzić nimi lepiej. Próbowaliśmy zaskoczyć Efrel i zrobiliśmy błąd. Kane czekał na nas ze znacznie potężniejszą flotą, niż przypuszczaliśmy. Użył kilku chytrych sztuczek, żeby zmniejszyć przewagę naszej liczniejszej floty, i dał nam łupnia. Nie tylko pokazaliśmy im, czym dysponujemy i straciliśmy znaczną część sił morskich, ale pozwoliliśmy Kane'owi odnieść wielkie zwycięstwo strategiczne. W porządku, to był twój pomysł, żeby spróbować ataku znienacka – nie twierdzę, że nie wydałbym takiego samego rozkazu. Strategia zawiodła i poprzestańmy na tym!

Nie usatysfakcjonowany wyjaśnieniami Maril mruknął coś niezrozumiałego w odpowiedzi, a potem uspokoił się. Gładził swoją czarną brodę i patrzył groźnym wzrokiem na bratanka.

Lages pośpiesznie kontynuował:

– Popatrzmy, jak sprawa wygląda. Wiemy już, że mamy do czynienia z poważnym buntem, spiskiem, który przygotowywany jest już od wielu miesięcy. Wiemy, gdzie jest jego ośrodek i kim są przywódcy. Bitwa zmusi ich do jawności. Teraz, kiedy rozpoczęła się otwarta wojna, możemy przypuszczać, że Efreł wezwie na Pellin wszelką pomoc, jaką obiecali jej tajni sprzymierzeńcy. Zwycięstwo Kane'a pociągnie za sobą poparcie tych ostrożniejszych zdrajców, którzy nie byli jeszcze zdecydowani. Wielu pójdzie za tą wiedźmą, kiedy tylko wiadomości o naszej klęsce zaczną kusić niezbyt wiernych nam sprzymierzeńców. Teraz, kiedy Kane stoi na czele sił zbrojnych, bunt Efreł stanowi największe niebezpieczeństwo dla nas i naszego cesarstwa, z jakim przyszło się mierzyć rodowi Netisten.

Straciliśmy dwadzieścia dwa statki i około pięciu tysięcy żołnierzy i niewolników. Jest to jednak tylko połowa marynarki Thovnos, jeśli wziąć pod uwagę okręty będące na patrolu albo z jakichś powodów nieosiągalne, kiedy wypływaliśmy. Gdybyśmy uczynili prawdziwy wysiłek, moglibyśmy przerobić sporo statków handlowych na wojenne i wyposażyć je w załogi i świeżo zaciągniętych żołnierzy. To pomysł Kane'a i teraz wiemy, że jest skuteczny. To tyle, jeśli chodzi o Thovnos. Obecnie możemy żądać od władców wszystkich wysp pomocy, gdyż Efreł jest zagrożeniem dla całego cesarstwa. Wątpię, czy jej konspiracja objęła dużo najważniejszych rodów, więc prawdopodobnie możemy założyć, iż Tresli, Fisitia, Josten, Qarnora, Raconos i Parwi pozostaną lojalne nam, tak jak i wiele mniejszych wysp. Wliczając ich poparcie, myślę, że zdołamy zmobilizować flotę około trzystu okrętów, plus następną setkę przerobionych statków i łodzi.

Buntownicy też ponieśli ciężkie straty. Byłbym zaskoczony, gdyby Kane zdołał zebrać więcej niż setkę statków wszelkiego rodzaju i skompletował załogi dla nich. Możemy liczyć na to, że nasza przewaga będzie wynosić więcej niż cztery do jednego. To znaczy, że pierwsza bitwa nie przesądziła jeszcze losów wojny. Zbierzemy siły, wrócimy do Pellinu z pełną flotą i zrównamy fortecę tej przeklętej czarownicy z ziemią!

Ale o to będziemy się martwić jutro. Od kilku dni prawie nie

zmrużyłem oka. Jestem wycieńczony i obolały, więc jeśli pozwolisz, stryju, udam się teraz do swoich komnat.

Nie czekając dłużej, Lages odwrócił się i wyszedł z sali audiencyjnej.

Maril mruknął coś na temat bezczelnej młodzieży i zapadł w posępne rozmyślanie.

Lages z trudem zdejmował brudne po bitwie ubranie, kiedy M'Cori wpadła do jego komnaty.

– M'Cori! – uśmiechnął się do niej. – Poczekaj chwilę – zarzucił czystą luźną koszulę na brudne plecy i zaczął wciskać jej dół za pasek.

Ignorując jego próby doprowadzenia się do porządku, M'Cori przepędziła z pokoju służącego.

– Musiałam przyjść natychmiast się z tobą zobaczyć. Och, Lagesie, dziękuję wszystkim bogom, że wróciłeś! Wszyscy mówią o nieszczęściu – o przysiedze zemsty Efre! Słyszałam, że Kane omal cię nie zabił, że omal nie zauważono cię w wodzie! – Padła w jego ramiona, drżąc gwałtownie.

Lages trzymał ją mocno, nie zwracając uwagi na ból ramienia. Przez chwilę stali w objęciach, kiedy to Lages szeptał jej pocieszające słowa do ucha. Wreszcie pocałowali się.

– A Kane – zaczęła M'Cori, opanowawszy się. – Mówią, że on naprawdę jest tym Kane'em, którego legendarne pirackie bandy niemal podbiły cesarstwo w pierwszych latach naszej historii. Mówią, że Efre wróciła go do życia, by stworzyć niezwyciężoną armię na potrzeby swego spisku.

– W to mogę uwierzyć teraz, kiedy go widziałem! – krzyknął Lages. – Ten mężczyzna nie jest człowiekiem! Wyglądał jak jakiś demon śmierci – cały zalany krwią, z tym obłąkanym światłem w oczach mordercy! Zabijał naszych ludzi, jakby byli owcami. W boju Kane jest w swoim żywiole, czuje się jak rekin w morzu, na którym walczyliśmy, i jest tak samo groźny.

M'Cori jęknęła, a Lages ciągnął uspokajająco.

– To, co o nim mówią, to nonsens. Wiem, że jest człowiekiem. Był ranny w kilku miejscach. Może być wielkim wojownikiem, niesamowicie podobnym do tego pirata, Rudego Kane'a, ale ten Kane nie jest żadnym nadprzyrodzonym demonem z przeszłości. Teraz już poznałem się na nim i kiedy spotkamy się znowu, zabiję

go – niezależnie od tego, kim naprawdę jest. Zrobię dla ciebie parę pucharów z czaszek jego i Efrel.

M'Cori wydawała się zafascynowana tą myślą.

– Cóż za makabryczny pomysł! Za dużo nasłuchałeś się tych krwawych starych sag, które zawodzą minstrele. Jak ktokolwiek mógłby pić z czaszki – nawet ci dzicy bohaterowie z opowieści! Nie utrzymałaby się w niej przecież woda. To okropny pomysł, Lagesie. Oddaj je lepiej mojemu ojcu.

Lages wiedział, że prawie nie myślała o tym, co mówiła. Bardzo wyraźnie zdawał sobie sprawę z jej odzianego w cienką suknię ciała przyciśniętego do jego gołej piersi. Jak we śnie zdawało mu się, że jej serce bije w rytm jego serca, być może dlatego jego puls się przyśpieszył. Myślał o wszystkich tych latach, odkąd poznał M'Cori, zastanawiał się, czy był kiedyś taki czas, że jej nie kochał. Był zupełnym głupcem, że pozwolił, by wydarzenia ostatnich kilku lat przeszkodziły im. Zdał sobie sprawę, że te lata były teraz stracone, a przyszłość niepewna. Ile razy śmierć była tak blisko, że mogła odebrać mu lata, które miały nadejść?

Potem Lages szepnął do niej, bojąc się podnieść głos, żeby nie zdrzął.

– Posłuchaj mnie, M'Cori! Kiedy to wszystko się skończy, Maril powinien być już ze mną pogodzony. Ja zrezygnowałem już z tej krwawej zemsty. Nie będę już dłużej zbiegiem, nie będę synem zdrajcy pozbawionego ziemi, człowiekiem, który usiłuje zasłużyć na łaskę cesarza. Mam zamiar poprosić Marila o twoją rękę, M'Cori – i wiem, że się zgodzi.

Spojrzał na nią z wielkim przejęciem, jakby chciał usłyszeć jej myśli, zanim wypowie słowa.

– Czy zechcesz mnie? Zostaniesz moją żoną, M'Cori?

M'Cori uścisnęła go namiętnie. Te słowa gotowe były od wielu lat.

– Och, Lagesie – mój kochany! Znasz przecież odpowiedź!

Ucałowała go mocno. Przez następne kilka minut Lages nie pamiętał o zmęczeniu i bólu. Zapomniał o pajęczynie ciemności, której nie wszystkie jeszcze wzory zostały utkane.

20.

Z PRASTARYCH MÓRZ

Późną nocą, kilka dni po bitwie, Kane siedział czytając sprawozdanie w pokoju na wieży, który wybrał sobie na kwaterę. Zakładając, że naprawy zdobytych okrętów zostaną zakończone na czas, można było uznać, że jego flota nie poniosła większego uszczerbku niż flota przeciwnika, a może nawet mniejszy, bo zdobyte okręty pierwszej klasy świetnie zastąpiły utracone dużo gorsze statki. Ofiary w ludziach były jednak znaczne, a to dużo poważniejsza sprawa. Należało bowiem znaleźć kogoś na ich miejsce. O zwykłych żołnierzach nie było trudno, ale wyszkoleni oficerowie to zupełnie co innego.

Arbasowi można by prawdopodobnie powierzyć dowództwo, zakładając, że wyzdrowieje na czas. Kane wiedział, że zabójca miał charakter samotnika, ale był zręcznym szermierzem i jako taki umiał wzbudzić szacunek i posłuszeństwo ludzi. Byłby dobrym dowódcą na czas bitwy, nawet jeśli nie miał ochoty brać na siebie obowiązków długoterminowego dowodzenia. Można by go namówić, pomyślał Kane, gdyby udało mu się przemówić do próżności zabójcy. Imel być może zdołałby namówić któregoś ze swoich dawnych znajomych, by przeszedł na ich stronę. Arystokracja miała potrzebne doświadczenie i czar, żeby dowodzić – prości ludzie przyzwyczajeni byli do rozkazów tych, których uważali za lepszych od siebie. Ta sama tradycja służalczości wobec szlachty sprawiała, że trudno było awansować kogoś spośród szeregowych żołnierzach.

Kane odłożył papiery na bok. Jakiś szósty zmysł wyczuł obecność Efreł, zanim jego czuły słuch wychwycił stuk drewnianej nogi na schodach. Zastanawiał się, co skłoniło ją do tak trudnej wspinaczki? Wybrał ten pokój na wieży na swoje miejsce pracy częściowo z tego powodu, że Efreł niewygodnie było się tam dostawać.

Kane uważał, że jego stosunki z czarownicą nie należały do łatwych. Obecnie była całkowicie z niego zadowolona, ale

spełnianie wszystkich zachcianek wariatki mogło nadwerężyć nerwy nawet Kane'a. Jej maniera wyszukanej tajemniczości i nie kończących się insynuacji drażniła go dużo bardziej, niż chciał okazać, a jej nie dające się przewidzieć ataki szaleństwa były co najmniej męczące. Znużonego Kane'a zafascynowało nieco zaspokajanie niemal zwierzęcych żądz Efreł, ale zawsze w jego głębi pozostawało poczucie odrazy, którego trudno mu było się pozbyć. Kane uświadomił sobie, że liczył każdy krok w korytarzu, słuchając powtarzanego przez echo stukania upiornej sztucznej nogi Efreł. W jej krokach był jakiś hipnotyczny rytm.

Wkrótce okaleczona postać Efreł pojawiła się w drzwiach. Popatrzył na nią wyczekująco.

– Dobry wieczór, Kane – zaczęła, mówiąc swym dziwnym głosem – pięknym i tak samo zniekształconym, jak jej koszmarne ciało – widzę, że pracujesz po nocy jak urzędnik.

– Dobry generał powinien znać mocne i słabe strony swoich wojsk do ostatniego szczegółu – stwierdził Kane, nieco rozdrażniony. W rzeczywistości to bezsenność, nie pracowitość skłoniła go do zostania tu do późna. – Tak, wielu zapalonych amatorów myśli, że wojna toczy się zderzając dwie armie i zostawiając sprawiedliwości oraz bogom przyznanie zwycięstwa. Mój miecz stępił się na takich głupcach i rozstrzygnął więcej spraw, niż można zliczyć.

– Nie obrażaj się – żartowałam tylko. Po twoim zwycięstwie w zeszłym tygodniu nie mogę krytykować ani twoich umiejętności, ani twojej filozofii.

Efreł usiadła na krześle obok Kane'a.

– Ale przyszedł tu, by ci powiedzieć, że Imel jeszcze raz udowodnił mi swoją przydatność. Następny z jego szlachetnie urodzonych przyjaciół uległ jego perswazjom. Imel właśnie powiadomił mnie, że lord Gali z Tresli przyłączył się do nas. Jest on najpotężniejszym władcą na tej wyspie, jak zapewne wiesz, i przybędzie do nas wkrótce z flotą osiemnastu okrętów wojennych.

– Co za zbieg okoliczności – uśmiechnął się Kane. – Właśnie zastanawiałem się, czy Imel mógłby nam pomóc. Kup mu nową garderobę, a przeciągnie na naszą stronę całą Tresli. To dobre wieści. Potrzebna mi jest świeża flota do strzeżenia wód Pellinu,

na wypadek gdyby Maril wysłał następną ekspedycję wcześniej, niż się spodziewamy. Gdybym był na jego miejscu, spróbowałbym wysłać jakiś desant – zrobić szybki wypad, żeby zakłócić działania w Prisarte.

Ale po laniu, jakie sprawiliśmy Lagesowi, wydaje mi się, że Maril zaczeka, aż zbierze całą swoją flotę, zanim znów ruszy do ataku.

– Propozycje pomocy napływają z wszystkich stron – cieszyła się Efreł. – Każdy szukający przygód łajdak, każdy chciwy szlachcic, wszyscy, którzy mają jakiś powód, by nienawidzić ród Netisten – garną się do mnie w miarę, jak wieści o naszym zwycięstwie roznoszą się po cesarstwie.

Czarownica przerwała, by nacieszyć się tą myślą, i jej wzrok padł na pomarszczone szramy po skaleczeniach, które Kane odniósł w czasie bitwy. Dziwne, pomyślała, tylko niewielkie strupy i różowe blizny zostały po ranach. A więc nieśmiertelny ma również duże zdolności wracania do zdrowia. Przypomniała sobie słowa demona, że Kane nie może mieć żadnej blizny na stałe, bo jego ciało nie ulega żadnym zmianom. Biorąc pod uwagę jego przeszłość, zastanowiła się, czy gdyby nie to, jego ciało nie byłoby poznaczone bliznami tak jak jej. Przyjemnie było pomyśleć, że ktoś inny też mógł przeżyć podobne okaleczenia.

Kane mówił:

– Tak, widzę, że coraz więcej jest odpowiedzi na twoje wezwanie, ale jak skarżył się Hedusi:

*Nie mów mi więcej o liczbach,
Choć prawdziwe, twe słowa są kłamstwem –
Ja napełniam mój puchar kropla po kropli,
Gdy ty lejesz strumieniem z amfory.*

– Nigdy nie słyszałam tego przysłowia w takiej postaci – odpowiedziała Efreł.

Kane zapomniał, jak stary jest to cytat. Rozdrażniony tym, że dał się przyłapać na pedanterii, powiedział gorzko:

– Początkowo nie było to przysłowie. To znany cytat z jednej ze sztuk Gorovina. Nie powiesz mi chyba, że dzieła Gorovina zostały zapomniane tu, na Wschodzie.

– A więc Kane jest również uczonym, a nie tylko wojownikiem. Doprawdy, jakie to niezwykle! Musimy kiedyś porozmawiać o wiedzy, jaką nagromadziłeś w czasie wieków. – Efreł zauważyła, że Kane nieświadomie powiedział o Cesarstwie Thovnozyjskim jako o Wschodzie. Był to oczywiście Zachód w stosunku do Kontynentu Lartroxiańskiego i jeśli Kane po prostu się nie przejęczył... Zastanawiała się, jak długo Kane żył w tych na poły legendarnych krajach za Zachodnim Morzem.

– Nie podobałby ci się Gorovin – powiedział zjadliwie Kane. – Nikt w jego sztukach nie zostaje żywcem obdarty ze skóry. Ale to, co chciałem powiedzieć, powinno być jasne – powtarzałem to z pewnością wystarczająco często. Nie możemy stawić czoła Netistenowi Marilowi i całemu cesarstwu z tymi resztkami pościąganyymi stąd i stamtąd. On może korzystać z całych jego zasobów. Większość rekrutów, których zebraliśmy po bitwie, na nic się nie zda przeciw doświadczonym żołnierzom. Wojska cesarskie mogą najwyżej zmęczyć się zabijając ich. Jeśli mam naprawdę ci pomóc, musisz dokładnie powiedzieć mi, z jakimi siłami nadprzyrodzonymi nawiązałaś współpracę. Powiedz mi, o jakich to diabelskich siłach przez cały czas tak tajemniczo wspominałaś. Wtedy być może będę mógł ułożyć odpowiedni plan.

Efreł roześmiała się dziko i przez chwilę Kane obawiał się, że dostała następnego ataku obłądu. Czarownica jednakże tylko radowała się momentem triumfu i po chwili uspokoiła się. Efreł musiała od dawna czekać na ten moment odsłonięcia ostatniej tajemnicy, sądząc po jej skrytej radości. Skrzywiła się w grymasie, który miał być tajemniczym uśmiechem na jej strasznej twarzy – Kane nauczył się już rozpoznawać ten wyraz – i spytała:

– Co wiesz o Scylredi?

Chociaż kierunek, w jakim zmierzała rewelacja Efreł, nie był pełnym zaskoczeniem, Kane pozostał niewzruszony. Jego myśli w tej chwili mogłyby wstrząsnąć czarownicą, ale powiedział tylko:

– Słyszałem kilka dziwnych opowieści o Scylredi z ust ludzi morza w tej okolicy. Mówią, że są to jacyś źli morscy bogowie.

Efreł zachichotała pogardliwie.

– Tak, tak mówią legendy i opowieści starych bab. To tylko

wylęknione domysły, ledwo blady cień prawdy. Posłuchaj, Kane!

W czasach, zanim na Ziemi pojawił się człowiek – kiedy morze było ogromną podwodną dżunglą, kłębiącą się od prymitywnego życia, kiedy oceany były znacznie większe niż dziś – powstała i osiągnęła swój szczyt rasa istot znanych człowiekowi jako Scylredi. Większość kontynentów, które znamy dziś, nie wyłoniła się jeszcze z pierwotnego oceanu i tylko kilka kawałków Ziemi pokrytej dżunglą górowało nad niezmiernym morzeni Starej Ziemi. Scylredi żyjący w tym odwiecznym morzu stworzyli cywilizację, której człowiek nie potrafi objąć swym rozumem. Tu, w tej okolicy, zbudowali swoje miasta, gdyż wtedy wszystkie te wyspy znajdowały się jeszcze na dnie oceanu.

Była to dziwna rasa istot niezwykle starych. Nic na Ziemi nie przypominało ich nawet wtedy. Czy byli jakimś wybrykiem ewolucji, rasą z innego świata – a może, jak ludzie, rezultatem kaprysu jakiegoś szalonego boga? Kto może powiedzieć po tak wielu latach. Nawet najstarsze pisma, które czytałam, nie są dokładne w wielu miejscach. Lecz przecież na Ziemi żyło wiele dziwnych ras, których istnienia ludzie mogą się tylko domyślać, gdyż prawie cała wiedza dotycząca czasów przed człowiekiem, przepadła na zawsze.

Niezależnie, skąd się wzięli, Scylredi byli sami jak bogowie. Panowali nad siłami zarówno naturalnymi, jak i nadprzyrodzonymi. Dla swych celów używali wielkich bestii i pierwotnych mórz, rozkazywali tym fantastycznym potworom, które ludzie znali tylko z legend. Mając wielką wiedzę z dziedziny nauk fizycznych, zbudowali ogromne łodzie podwodne – nieziemskie maszyny, w których przemierzali oceany i toczyli wojny z innymi nieludzkimi rasami Starej Ziemi. Tamten świat był znacznie bardziej brutalny niż Ziemia dzisiaj i rasy istniejące przed człowiekiem musiały stale walczyć z wieloma potężnymi siłami, aby przeżyć. Były również znawcami starej magii, znały sekrety zatok za naszymi gwiazdami, a legendy tylko wspominają o niektórych okropnych czynach popełnionych przez Scylredi w czasie wojen.

Wznosili oni wspaniałe fortece – wielkie budowle z bazaltu, nie mieszczące się w ludzkiej wyobraźni. Ruiny tych ogromnych zamków można zobaczyć dzisiaj na zboczach wzgórz, gdzie od

wieków rozsypują się po tym, jak ich rasa zaczęła upadać. Był to wiek gigantów i Scylredi władali zarówno czarami, jak i wiedzą w swej nieustannej walce o władzę w tych prehistorycznych czasach chaosu. Lecz w miarę upływu wieków władza zaczęła się im wymykać. Być może dlatego, że morza zmniejszyły się, a może dlatego, że Ziemia ochładzała się. Zanotowane jest, że Scylredi i jeszcze inna rasa starych istot bardzo długo prowadzili straszliwą wojnę. W czasie tej wojny użyto broni o niewyobrażalnej mocy. Wiele z ich kolosalnych bazaltowych zamków stopiło się w wybuchach, łodzie podwodne zostały zniszczone, straszliwi słudzy unicestwieni, a większość samych Scylredi zginęła.

Po zakończeniu wojny obie rasy były bliskie zagłady, a nieliczni, którzy przeżyli, zostali, by opłakiwać swój upadek wśród ruin ich nie istniejących już cywilizacji.

Wtedy potężne wstrząsy targnęły Ziemią. Góry wyłoniły się z błota, a wielkie szczeliny otworzyły się w dnie oceanu. Wody opadły, gdy dno morza zaczęło drgać i wznosić się, tworząc nowe lądy. Ruiny fortec Scylredi rozpadały się już pod słońcem. Wreszcie wyłoniła się sama Dan-Legeh i schła pod niegościnnym szarym nieboskłonem, aż któregoś dnia jakiś mój bardzo odległy przodek pokonał swe zabobonne obawy i zajął tę fortecę na własny użytek. Z pewnością zauważyłeś obcość tej cytadeli. Ludzie dodali do niej wiele i poważnie ją zmienili, lecz nawet nowe mury, komnaty, schody i sufity nie mogą ukryć faktu, że nie zbudowali jej ludzie.

Co do samych Scylredi, ich liczba stale się zmniejszała. Jako istoty obdarzone nadnaturalnie długim życiem, powoli się rozmnażali, ale to tylko część ich dylematu. Większość wielkich bestii, które im służyły, nie żyła, ich fortece były właściwie zniszczone, tak jak i maszyny, które stworzyli. Ich władza skończyła się i Scylredi byli zbyt osłabieni, by stawić czoło wrogiemu światu. Czas mijał, a oni nie byli przygotowani do zmian na świecie, toteż gdy oceany cofnęły się, ich resztki skryły się w głębinach Sorn-Ellyn, na północ od miejsca, które dziś jest Pellinem.

Tam, w tym głębokim rowie, którego otchłani nikt nie zmierzył, żyją ostatni z niegdyś tak potężnej rasy. Niewielu ludzi domyśla się, że wciąż żyją i że w legendach o zaginionych

demonach morskich kryje się prawda. Rzadko wychodzą z ukrycia, a mądrzy ludzie unikają morza nad ową otchłanią. Mimo to wciąż można słyszeć, jak marynarze szeptem opowiadają sobie o nieszczęsnych głupcach, którzy zapędzili się na Sorn-Ellyn i straszliwą cenę zapłacili za wejście na obszar zakazany. Scylredi nie dbają o mizerną rasę ludzką – słabeuszy, którym przypadła w spadku ich ojczyzna.

Mnie jednak nie ogranicza ludzka niewiedza ani słabość. Dzięki swym czarom nawiązałam kontakt ze Scylredi. Nauczyłam się porozumiewać z nimi i ściągnęłam ich do siebie z kryjówek w Sorn-Ellyn. Głęboko pod tą fortecą jest wykuta w skale olbrzymia komnata. Widziałeś w niej moje piękne zabawki tego dnia, gdy bawiliśmy się tym tłustym szpiegiem. Tam również odprawiam swe obrzędy czarnoksiężskie i inkantacje. Komnata ta ma również inne zastosowanie. W niej znajduje się okrągła sadzawka. Widziałam, jak zaglądałeś do niej; jest bardzo głęboka, w rzeczy samej nie ma dna. Sadzawka ta jest niczym innym, jak jednym końcem ogromnego tunelu, który biegnie pod wyspą i kończy się w Sorn-Ellyn. Scylredi wykuli ten tunel i wiele innych w czasach, gdy Dan-Legeh była jeszcze ich fortecą.

To właśnie dzięki Scylredi wiedziałam wszystko o ruchach moich wrogów. Tu również leży sekret owych nadarżających się w samą porę katastrof, które unicestwiły pragnących wpłynąć na moje wody lub uciec z wyspy. U Scylredi szukam właśnie pomocy w wojnie przeciw Netistenowi Marilowi. Z ich pomocą zemszczę się w pełni.

Nawet cała potęga cesarstwa nic nie zdołała przeciw mocy Scylredi, kiedy przybędą na me wezwanie!

Chociaż ukrywają się przed ludzkim wzrokiem od wieków, nie stracili swej dawnej potęgi. Nie wszystkie ich podmorskie łodzie zostały zniszczone. Mają nadal fantastyczne maszyny zbudowane dzięki nieludzkiej wiedzy, której zasięgu człowiek nie potrafi zrozumieć. Są to kolosalne metalowe statki, które poruszają się pod wodą z ogromną szybkością, napędzane energią nie czystej magii, lecz nauki, której oni już nie rozumieją. Mają broń, która może przepalić najmocniejszy kadłub statku. Ich łodzie podwodne potrafią strzelać straszliwymi strumieniami ognia – kontrolowanymi wyładowaniami energii, która może zmienić w

popiół wszystko, na co natrafi. To prawda, że niewiele zostało im tych statków, a energia, która je napędza, jest niemal wyczerpana, ale niewielka nawet ilość takiej broni może zniszczyć niezliczone okręty. Oprócz tego wciąż władają kilkoma ogromnymi potworami morskimi. Obok nas walczyć będą stworzenia znane tylko z najstraszliwszych legend – Oraycha. Wiele opowieści krąży o Oraycha, pierwotnych potworach, których nędznymi potomkami są ośmiornice i kałamarnice. Tylko parę tych bestii przeżyło do dziś, lecz tam, gdzie mieszkają, żaden zdrowy na umyśle człowiek nie odważy się wypłynąć. To nie bajka, że Oraycha potrafią wciągnąć pod wodę cały statek, oplatając go swymi mackami. Korzystając ze swej obecnej wiedzy, Scylredi produkują urządzenia, które umożliwią Oraycha odróżnienie moich okrętów od statków wroga. Oraycha będą mogły pływać pod naszymi flotami i niszczyć okręty nie mające ochronnych amuletów.

To właśnie jest ta moc, z którą zawarłam przymierze. Scylredi są źródłem mojej tajnej siły – mocy, której użyję dla dokończenia swej zemsty. Co teraz myślisz, Kane? Czy Netisten Maril może oprzeć mi się, jeśli mam takich sprzymierzeńców? Efreł będzie nową cesarzową, a Scylredi użyczą mi swej niezwyciężonej potęgi!

Kane słuchał cały czas uważnie, lecz jeśli zaskoczyło go to, co powiedziała Efreł, to dobrze ukrywał swoje emocje. W jego głosie nie było śladu zdumienia czy niepewności, chociaż w głowie miał zamęt.

– Jeśli Scylredi naprawdę spełnią twoje oczekiwania, może zostaniesz cesarzową – zgodził się. – Ale wolałbym zobaczyć osobiście, co mają nam do zaproponowania Scylredi. Widocznie ich moc jest ograniczona, bo inaczej nie potrzebowałabyś mnie.

Efreł zaśmiała się.

– Jesteś zazdrosny, Kane? Ludzie również są mi potrzebni. Zobaczysz Scylredi, jeśli tego pragniesz – jeśli przygotowany jesteś na spotkanie koszmaru z czasów sennego dzieciństwa Ziemi.

Kane zignorował jej sarkazm.

– Najbardziej w tym twoim przymierzu interesuje mnie, dlaczego Scylredi mieliby ci pomóc? Nie są demonami, którym

możesz rozkazywać zaklęciami. Co zaproponowałaś tym istotom w zamian za ich pomoc?

Efrel popatrzyła na niego chytrze, zanim odpowiedziała.

– Powiedziałam ci, że Scylredi są podobni bogom. Alorri-Zrokros postuluje nawet, że są oni bogami, którzy spadli z niebios na Ziemię. To naturalne, że bogowie pragną, by ich czczono.

Upadli bogowie czy upadłe demony wciąż marzą o minionej chwale. Scylredi sądzą, że dzięki starożytnym czarom i masowym obrzędom zostanie im przywrócona pierwotna moc. Czczeni jak bogowie, staną się bogami ponownie. Oczywiście jest, że bóg czerpie siłę z nadnaturalnych więzów, jakie łączą go z wyznawcami. Scylredi mają zamiar wchłonąć energię psychiczną niezliczonych tysięcy wyznawców.

Odpowiedź na twoje pytanie powinna być teraz oczywista. Scylredi pomogą mi dopełnić zemsty, zaspokoić ambicje zostania cesarzową, a ja w zamian ustanowię kult Scylredi jedyną religią w nowym cesarstwie. Efrel będzie cesarzową, Scylredi będą bogami. Opowiadali mi o rytuałach, jakich będą wymagać – są wspaniałe! Zostanę również ich kapłanką. Oczywiście będą żądali licznych ofiar z ludzi. Powinieneś zobaczyć, co Scylredi potrafią zrobić z żywym człowiekiem! Kilku szpiegów już się dowiedziało.

Zgięła się w ataku szalonego śmiechu.

– Pomyśl o tym! Czy kiedykolwiek kupiono taniej cesarstwo? Tylko za roczną cenę życia kilku ludzi. To absurdalnie tanio – dużo więcej umiera z głodu każdego tygodnia w cesarstwie. No, co o tym sądzisz, Kane? Siedzisz tak cicho. Czyżby umowa wydawała ci się zbyt odrażająca?

Kane uśmiechnął się lekko.

– Myślę, że wiesz wystarczająco dużo o mojej przeszłości, by zdawać sobie sprawę, iż ludzkie życie nic dla mnie nie znaczy. A z jakimi demonami zawarłaś pakt, to już twoja sprawa. Obawiam się tylko, czy Scylredi dotrzymają umowy. Nauczyłem się, że siły nadprzyrodzone często okazują się kłopotliwe, gdy się do nich odwołać.

Wciąż chichocząc, Efrel wstała i kulejąc podeszła do drzwi.

– Tak, wiedziałam, że nie wpadniesz w zachwyty z powodu tego przymierza. Nie boisz się niczego. Okazujesz tylko nieufność tam, gdzie inni ludzie wpadliby w przerażenie.

Zatrzymując się przy schodach powiedziała przez ramię:

– Wyobraźcie sobie, Kane ma skrupuły! – Zeszła z trudem po schodach, a jej obłądny śmiech ciągnął się za nią.

Kane siedział jeszcze długo na parapecie okna i patrzył na ciemne morze.

S c y l r e d i. Już wcześniej pewne fakty nasuwały mu myśl o takim przymierzu – fakty, które powinien zbadać dokładniej, niż to uczynił. Posągi, które ujrzał w mroku komnaty Efrel w podziemiach Dan-Legeh, sprawiły, że zaczął domyślać się jej sekretu. Natrafił również na inne podobne wskazówki, ale wtedy takie przymierze wydawało mu się czymś niewiarygodnym. Kane obawiał się, że coś nieprzewidzianego może skomplikować sytuację, jakaś siła, której nie potrafiłby opanować, czynnik nie poddający się manipulacji.

Kane widział kiedyś Scylreda. Od dawna był nieżywy i pływał w morzu. Kane rozpoznał go dzięki opisowi danemu przez Alorri-Zrokrosa w starożytnym traktacie na temat niehumanoidów na Ziemi w „Księdze Starszych”.

Śmierć nie mogła uczynić wiele brzydszym rozdętego ciała. Było ono niemal półtora raza większe od człowieka, o postaci przypominającej nieco ludzką. Tam gdzie powinny być nogi, z korpusu wyrastało sześć macek, podobnie jak i z górnej części. Alorri-Zrokros twierdził, że te macki wyposażone były w ssawki, które mogły wypić żywą krew z człowieka. Opisywał zwyczaje tej istoty dotyczące jej sposobu odżywiania się w bardzo dokładny sposób. Na jednym tułowiu, tam gdzie powinna być głowa, znajdowało się niewielkie wzniesienie, otoczone pół tuzinem oczu. U dołu tej groteskowej głowy była wielka, ziejąca, bezzębna dziura, która spełniała funkcje mniej więcej ust. Tędy wciągał wodę, przepuszczał przez skrzela i wypuszczał ją pod ciśnieniem u podstawy tułowia. Tak jak ośmiornica, którą przypominał, Scylred mógł płynąć napędzany strumieniem wody z dużą szybkością. Było to naprawdę ohydne stworzenie z czasów dzieciństwa Ziemi i jeśli wierzyć Alorri-Zrokrosowi, jego dusza była jeszcze potworniejsza.

Nie to jednak niepokoiło Kane’a, choć nie ufał wszelkim bogom i nienawidził ich. Zdawał sobie sprawę, że oto znalazł się sposób usunięcia go przez Efrel, gdyby zaszła potrzeba – lub, co

bardziej prawdopodobne – czynnik, który jemu utrudni pozbycie się Efreł. Przyjęcie stanowiska drugiego po kimś było całkowicie obce naturze Kane’a. Wiedział, że pozbycie się Netistena Marila będzie dopiero pierwszą fazą purpurowego wzoru, który przeznaczenie tkąło na dni mające dopiero nadejść.

21.

○ GRACH I CELACH

Od morza wiał lekki wiatr, wywiewając zaduch z portu, ale tylko częściowo. Gwiazdy były wysoko, ukryte za chmurami. Prześwietlający księżyc oświetlał wybrukowane uliczki.

Imel prowadził przez zalane światłem księżycyca aleje. Jego kroki były szybkie i nerwowe.

– Myślałem, że może ty coś poradzisz – powiedział. – Jesteś jego przyjacielem, znasz jego humory.

– Przynajmniej niektóre – mruknął Arbas, który kulejąc usiłował dotrzymać kroku renegatowi.

– Pomyślałem, że powinienem coś zrobić – szepnęła Imel. – Czy on często jest taki? Arbas wzruszył ramionami. – Nie znam go aż tak dobrze, ale kilka razy widziałem go w takim nastroju. Coś go wtedy nachodzi. Nie śpi, zaczyna palić za dużo opium, popija zbyt dużą ilością brandy. Każdy inny człowiek byłby po tym nieprzytomny przez tydzień, ale Kane...

– Tutaj – powiedział Imel, wskazując portową knajpę.

Nad drzwiami nie było napisu, ale zapach kwaśnego wina, stęchłych wymiocin i moczu był znajomy. Ostrożnie minął brudną zasłonę ze skóry i zajrzał do ciemnego wnętrza. Ciało jakiegoś człowieka leżało na progu skulone, jakby martwe. Arbas przeszedł nad nim.

– Kane? – zawołał cicho.

Postać, która leżała na szynkwasie, uniosła głowę.

– Wejdz, Arbasie – mruknął Kane. Zabójca wszedł do słabo oświetlonego pomieszczenia. Imel szedł za nim niespokojnie. Na resztkach połamanego stołu leżało jeszcze jedno ciało.

– Wygląda na to, że masz cały bar dla siebie – zauważył Arbas.

– Prawie – zgodził się Kane. Podniósł butelkę do warg, wypił łyk i rzucił ją Arbasowi. Dziwka o wychudzonej twarzy podała mu następną zza szynkwasu. Jej wzrok niespokojnie biegał od twarzy nowo przybyłych do Kane'a.

– Właściciel tawerny wszedł – powiedział Kane. – Ta oto moja

przyjaciółka opowiadała mi historię swego życia. Jest bardzo interesująca.

– Co ty tu robisz? – zapytał od niechcienia Arbas, podając butelkę Imelowi.

– Szukałem spokojnego miejsca, żeby się upić.

Twarz dziewczyny była nienaturalnie blada pod warstwą różu. Arbas spojrział w dół i zobaczył trzecie ciało leżące za barem u jej stóp.

– Dobrze mi ciche miejsce – stwierdził zabójca.

– Po jakimś czasie zrobiło się tu dużo ciszej – powiedział Kane.

Imel westchnął i opadł na ławę. Jego ludzie donieśli mu o bijatyce.

Do tego czasu rozpoznano Kane'a, a obecnie nie było potrzeby interweniować. O ile można było pozwolić, by generał pił z szeregowymi żołnierzami, Thovnozjanin wątpił, czy to wypada, by również bił się z nimi.

Kane zmarszczył brwi, widząc zatroskaną twarz Imela.

– Napij się – zaproponował. – Kiepsko wyglądasz. Chcesz pożyczyć moją dziewczynę?

Kane zaśmiał się szorstko z własnego pomysłu. Stoczył się z szynkwasu, wziął po butelce w obie wielkie dłonie i przeszedł przez zaśmieconą salę. Wciąż jeszcze się śmiał, kiedy siadał na krześle przy stole w kącie.

Arbas kiwnął głową do Imela i obaj przysunęli krzesła do Kane'a.

Prostytutka przyglądała im się niepewnie zza baru, oglądając się w stronę drzwi.

– Kane, stajesz się za stary na to – powiedział sarkastycznie Arbas.

Śmiech Kane'a uderzył w jego pierś i rozlał się wokół szyjki podniesionej butelki.

– Arbas – powiedział Kane. – Robiłeś to kiedyś z jednonogą kobietą? Zabójca pokręcił głową i przechylił własną butelkę.

– A ty, Imel – Kane zwrócił się do Thovnozjanina. – Robiłeś to kiedyś z jednooką kobietą?

Imel pociągnął długi łyk z butelki, mając ponurą nadzieję, że w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby ich usłyszeć. Wódka sprawiła, że obskurny lokal rozjaśnił się dziwnym blaskiem i nagle Imel

zaczął się śmiać wraz z Kane'em.

– Był taki czas – zaczął Kane, podsuwając drugą butelkę swoim towarzyszom – był taki czas, kiedy cesarzowa brała cię do swego łóża i to było coś, za co warto było zginąć. Szło się następnego dnia, rozwlekało swoje bebechy po całym polu bitwy – a co tam, warto umrzeć dla jej cesarskiej wysokości. Czemu nie? Ludzie giną dla głupszych powodów. Ale to...

Arbas też już się nie śmiał. Dziwka wymknęła się z za baru i zniknęła w mroku nocy. Nikt nie zwrócił na nią uwagi.

– Imel – mruknął Kane. – Uciekła ci dziewczyna.

– Była za chuda – stwierdził Thovnozjanin, dobierając się do drugiej butelki.

– Wszyscy ci biedni, starzy bohaterowie z legend – zawodził Kane – poszli i zginęli dla miłości swojej pani. My we trójkę mamy tylko jednonogą wariatkę i nie mogę nawet pozbyć się jej.

– Musi być jakiś powód, żeby dać się zabić – zgodził się Imel.

– Więc jaki jest twój powód? – zapytał Kane.

– Najlepszy ze wszystkich – odparł Imel z pijacką szczerością. – Walczę dla siebie. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to kiedy to się skończy, będę jednym z najbogatszych władców nowego cesarstwa. Ziemie, bogactwo, władza i prestiż – tego mi trzeba. Nie będę musiał znosić pogardliwych uwag takich ludzi jak Oxfors Alremas. Moja krew jest tak samo dobra jak najdumniejszego z nich – potrzebuję tylko pieniędzy i władzy.

– Jeśli będziesz żył, by nią się cieszyć – powiedział wesoło Arbas. Wrócił z baru z następnymi ciężkimi, zielonymi butelkami.

– Przyłączyłem się do zwycięskiej strony – wyznał Imel. – Znam ryzyko. Każdy cel wart starania ma swoją cenę.

– A chodzi o to, by uniknąć płacenia tej ceny – powiedział z uśmiechem zabójca.

Imel wzniosł za niego toast.

– Zaryzykuję. Bo po co innego się żyje? No, a ty, Arbasie? Chwaliłeś się, że studiowałeś na uniwersytecie w Nostoblet. Dlaczego przyszedł filozof opuścić zakurzone biblioteki i sale wykładowe, by sprzedawać swoje umiejętności i swój nóż za splamione krwią złoto?

– Z tego samego powodu, który ty przedstawiłeś – wycedził powoli Arbas. – Jestem po prostu trochę bardziej wybredny co do

tego, kogo zabijam niż przeciętny najemnik. Zyskowna praca, chociaż nie niesie z sobą sławy pola bitewnego.

– Więc co tu robisz z Kane'em?

– A czemu nie? Płacą mi za to.

– To nie odpowiedź.

– Dobra jak każda. Czy wierzysz, że człowiek naprawdę panuje nad swoim przeznaczeniem? Czy naprawdę wie, dlaczego robi to, co robi? Odgrywamy sztuki, w których umieścili nas bogowie, idziemy ścieżką, jaką wyznaczy nam los, i jakie znaczenie mają powody, które wymyślamy dla wytłumaczenia naszego życia i naszych czynów.

Imel czknął.

– Na Hormenta! Powinieneś być zostać na uniwersytecie. A ty, Kane, czy możesz wytłumaczyć, dlaczego tu jesteś? Czy zaczniesz opowiadać jakieś filozoficzne bzdury jak Arbas?

– To taka gra. – Kane zaśmiał się gorzko. – Stara gra ze starym wrogiem. A dziś wieczór jestem już nią zmęczony.

Wstał i wyszedł, zanim zdali sobie sprawę, że się poruszył. Podążyli chwiejnie za nim, kierując się dźwiękiem jego niesamowitego śmiechu w ciemności.

22.

Z GŁĘBIN NA POWIERZCHNIĘ

Spizowa ostroga „Ara-Teving” pod pełnymi żaglami rozcinała czarne fale Sorn-Ellyn. Pół mili od jego sterburty czarne skały północnego wybrzeża Pellinu wznosiły się w gwieździste niebo. Chmury jak rybie łuski przesuwały się przed tarczą księżyca wysoko na pustym niebie. Galera wypłynęła z Prisarte o świcie tego dnia. Zmierzch zastał „Ara-Teving” na niezgłęzionych wodach Sorn-Ellyn.

– To tutaj – powiedziała Efreł do Kane’a.

„Ara-Teving” zwolnił, gdy Kane rozkazał zwinąć żagle. Galera dryfowała powoli w słabym wietrze. Efreł owinięta w gronostajowy płaszcz z kapturem poszła na dziób statku i stanęła przy poręczy, wpatrując się w czarne wody morza. Arbas również spojrział.

– Więc to tu mamy spotkać naszych sprzymierzeńców – powiedział z powątpiewaniem do Kane’a. – Kiedy powiedziałeś mi, co Efreł zamierza, zaskoczony byłem, że uwierzyłeś w ten bełkot obłąkanej kobiety. Teraz, gdy tu się znalazłem, nie jestem już tak bardzo sceptycznie nastawiony. Gdyby nie te czarne skały w oddali, gotów byłbym przysiąc, że zagubiliśmy się na morzach w piekle. Nic dziwnego, że nawet Pellińczycy unikają tych wód.

– Dno tego morza jest tak blisko piekła, jak jest to możliwe na tym świecie – szepnął Kane. – Scylredi i ich gigantyczne zwierzęta wciąż zamieszkują te wody, możesz mi wierzyć. Już wcześniej widzieliśmy ślady ich obecności podczas ucieczki z wybrzeża Lartroxii i później w Prisarte. Dziwi mnie natomiast to, co Efreł twierdzi, iż Scylredi mają wciąż funkcjonujące łodzie podwodne po upływie niezliczonych wieków. Przedludzkie rasy stworzyły dziwne maszyny i bronie dzięki swej wiedzy i obcej technologii, ale nie widziałem działającej pozostałości z czasów Starej Ziemi od... w każdym razie, od bardzo dawna.

Arbas, który za swych uniwersyteckich czasów natknął się tylko na kilka wzmianek o rasach Starej Ziemi – czasach

zagubionych we mgle legend – nie domagał się od Kane’a szczegółów.

– Widziałem rozsypujące się sterty bazaltu, które, jak twierdzi Efrel, były kiedyś fortcami Scylredi. Jak jakiegokolwiek maszyny mogły przetrwać dłużej niż kolumny z bazaltu?

– Też o tym myślałem – powiedział Kane. – Jeśli łodzie te zostały zbudowane pod koniec panowania Scylredi, tak jak Dan-Legeh i starannie konserwowane przez wieki – kto wie, co było możliwe, a co nie, jeśli mówimy o nauce z czasów Starej Ziemi. Wiemy dużo więcej o naszej czarnej magii niż o przedludzkiej nauce.

Kane ściągnął brwi i mówił dalej.

– Jest jeszcze jedna wątpliwość. Zastanawiałem się, dlaczego Efrel szukała mnie, żebym poprowadził jej bunt, i zwlekała tak długo z opowiedzeniem mi o tajnym przymierzu.

Imel, który przysłuchiwał się w ponurym milczeniu, wtrącił się.

– Chyba z kilku powodów. Po pierwsze, Efrel potrzebuje ludzkich wojsk i floty. Po drugie, potrzebna jej była natychmiastowa obrona przed odwetem Marila, gdyby dowiedział się o spisku – a wiedziała, że musi się kiedyś dowiedzieć. Po trzecie, potrzebowała efektywnego, miażdżącego zwycięstwa w pierwszej bitwie, by ściągnąć poparcie dla swojej sprawy. I na koniec, Scylredi zażądali od Efrel przekonującego pokazu jej siły, zanim zdecydowali się wtrącić w sprawy ludzi.

– Dobrze – uśmiechnął się Kane. – Dokładnie tak, jak powiedziała mi Efrel, łącznie z faktem, że Scylredi potrzebują czasu na znalezienie sposobu odróżnienia naszych statków od floty imperialnej dla ich bestii. Wszystko się zgadza.

– Więc co cię niepokoi? – spytał Imel.

– Przypuśćmy, że to, czego Scylredi zamierzają użyć, to nie relikty z przedludzkich czasów na Ziemi – powiedział Kane. – Przypuśćmy, że budują oni nowe okręty, by pomóc Efrel – i że do tej pory nie były jeszcze gotowe.

Arbas rzucił szybkie spojrzenie na zasepioną twarz Kane’a.

– Mów dalej.

– Jeśli te domysły są prawdą – zasugerował Kane – to wiemy, że Scylredi nadal dysponują częścią swojej pradawnej wiedzy i

mocy. Po niezliczonych tysiącletniach Efreł udało się w jakiś sposób namówić ich, by użyli tej mocy ingerując w sprawy ludzi.

Przerwał, zapatrzony w czarne morze.

– Ciekaw jestem, czy raz wezwawszy Scylredi Efreł nie stwierdzi, że nie mają ochoty powrócić do swego zagubionego królestwa.

Radosny okrzyk Efreł przerwał jego domysły.

– Są już!

Kadłub galery zdawał się wibrować od wysokiego gwizdu dobiegającego gdzieś z głębi. Marynarze spoglądali na siebie z niepokojem. Ludzie krzyczeli i pokazywali na morze.

Czarne wody Sorn-Ellyn burzyły się i kipiały. „Ara-Teving” nie był już jedynym statkiem na morzu.

Było ich cztery, wyłoniły się z wody jak stado gigantycznych wielorybów i okręzały „Ara-Teving”. Żaden jednak żyjący kiedykolwiek wieloryb nie mógł równać się pod względem wielkości z tymi metalowymi kolosami ani też żadne morskie stworzenie nie mogło z tak ogromną szybkością pływać. Załoga wydała okrzyk zdumienia i strachu. Kane poczuł wzbierające podniecenie – jak dawno temu widział po raz ostatni coś tak niezwykłego?

Okręty Scylredi miały długość mniej więcej trzy razy taką, jak statek flagowy Kane’a, chociaż nie były grubsze niż galera w swym najszerszym miejscu. Kształtem przypominały wydłużoną kropkę – jajowate przy dziobie i zwężające się ostro ku rufie. Wokół ostrego końca rozmieszczony był pierścień owalnych wypukłości, który świecił bladozielono. Znad każdej takiej korony unosiły się pasma pary. Każda wypukłość miała około dziesięciu stóp długości i zrobiona była albo z niemal matowego kryształu, albo z półprzejrystego metalu. Na ścianach metalowych kadłubów były rozmieszczone w równych odstępach inne wypukłości, jajowate lub stożkowate. Te były czarne i najwyraźniej matowe. Poza tym statki Scylredi nie wyróżniały się niczym.

Przez chwilę cztery metalowe morskie potwory unosiły się na powierzchni. Chociaż załoga została ostrzeżona, czego może się spodziewać, pojawienie się obcych okrętów przeraziło i wstrząsnęło wszystkimi. Wtedy, z lekkością rekina, który

zauważyła zdobycz, łodzie podwodne przyspieszyły i pomknęły przez fale, zostawiając „Ara-Teving” kołyszący się na wzburzonych po ich przejściu falach. Przecinając wodę tuż pod powierzchnią, okręty mknęły przez morze w ciszy – z wyjątkiem huku spienionej wody i niesamowitego buczenia silników. Kane mógł śledzić ich trasę dzięki blaskowi napędu. Oceniał ich prędkość na przekraczającą sześćdziesiąt węzłów. Widząc strumienie pary unoszące się za okrętami, domyślił się, że ich silniki wytwarzały znaczną ilość ciepła.

Bladozielone smugi na Sorn-Ellyn gasły i wreszcie zniknęły. Kane czekał. Tak samo nagle, jak poprzednio – z buczeniem dochodzącym z głębin, z bulgotem czarnej wody, okręty Scylredi wynurzyły się w pobliżu przejętych lękiem ludzi i ich kruchego, drewnianego stateczka.

– Patrz teraz, Kane! – zachichotała wysokim głosem Efreł.

Kane poczuł, że włos mu się jeży – jakby za chwilę miał uderzyć piorun. Jedna ze stożkowych wypukłości na dziobie okrętu nagle rozpała się fioletowym, oślepiającym światłem. Z tego stożka blasku wystrzelił strumień trzaskającej energii i przesunął się po bazaltowych klifach na wybrzeżu oddalonym o pół mili. Gdy dotknął lądu, drzewa i roślinność natychmiast stanęły w huczącym ogniu, a skały popękały i rozpadły się.

W następnej sekundzie wszystkie cztery łodzie podwodne otworzyły ogień – jaskrawe strumienie energii wystrzelały z wieżyczek rozmieszczonych na ich czarnych kadłubach. Tam, gdzie ich pociski trafiły w skały, w czerni nocy wzniosły się płomienie piekła. Morze spieniło się w kłębach wyjącej pary, gdy rozpalone do czerwoności masy bazaltu spłynęły na wpół roztopioną lawiną do syczącej wody w dole. Karłowaty las stanął w ogniu w jednej chwili, a w następnej był już tylko białym popiołem. Wyglądało to tak, jakby na przestrzeni stu stóp wybrzeża wybuchł nagle wulkan zwieńczony czerwonym płomieniem.

Gwałtowny ostrzał urwał się tak samo niespodziewanie, jak się zaczął. Kane odetchnął, dopiero teraz zdając sobie sprawę, że przez cały czas powstrzymywał oddech. Czuł się oślepiiony tą burzą niszczycielskich błyskawic. Na wybrzeżu ponura, czerwona rana przeświecała przez kłęby pary i dymu.

Załoga była zbyt oszołomiona, by odczuwać panikę. To nawet lepiej.

– Spójrz teraz, Kane! – krzyknęła Efrel. – Spójrz znowu!

Kane popatrzył w kierunku wskazanym triumfalnym gestem przez czarownicę. Cztery okręty Scylredi odsunęły się od „Ara-Teving” i tworzyły teraz kwadrat. Kane spojrział na kwadrat czarnej wody pomiędzy nimi.

Wśród załogi rozległo się westchnienie.

Teraz z wody wynurzały się czarne, długie macki – chwiałały się w powietrzu i wściekle uderzały w kadłuby łodzi podwodnych.

Morze zadrżało, a potem z wody wyłoniła się gigantyczna, wijąca się masa wściekle kłębiących się macek. Przez chwilę ogromne, rozdęte ciało widoczne było nad wodą. Kane przelotnie zauważył cielsko większe od największego wieloryba, nieprawdopodobnie długie macki, grubsze, niż mógłby objąć człowiek, i ogromny, ostry dziób, który mógłby zgnieść kadłub okrętu wojennego z taką łatwością, jak papuga kruszy migdał. Błede, wielkie jak otwarte drzwi oczy popatrzyły na niego pełne rozumnego zła.

Potwór z czasów świtu Ziemi wyłonił się z wody, a potem zanurzył w atramentowo-czarnych falach. Kane wiedział już, że Oraycha są tak straszne, jak opisują je w legendach. Poczuł ulgę, gdy potwór zniknął. Zimno mu się zrobiło na myśl, że takie stworzenia kryją się w głębinach pod „Ara-Teving”. Zastanawiał się, czy Scylredi potrafią trzymać taką bestię pod kontrolą...

W następnej chwili okręty podwodne Scylredi również zniknęły. „Ara-Teving” znów samotnie unosił się na wodach morza – i tylko przerażona załoga i gasnący, czerwony blask na dymiącym wybrzeżu dowodził, że nie był to senny koszmar.

Efrel odrzuciła do tyłu głowę, zanosząc się od śmiechu. Gronostajowy kaptur zsunął się i Kane zobaczył twarz upiora, wyjącego w bladym świetle.

– Każ ludziom ruszać! – powiedział do Imela. – Odpuśćmy stąd, zanim oprzytomnieją całkowicie.

– Co teraz myślisz, Kane!?! – zawołała Efrel. – Czy kłamałam? Chciałeś, żeby ci pokazać, i czyż nie pokazałam? Nadal obawiasz się Netistena Marila i jego floty? Nadal wątpisz, że Efrel włada mocami, które nie mieszczą się nawet w zalęknionych snach

ludzkości?

– Lecz czy naprawdę nimi władasz? – zastanawiał się głośno Kane.

23.

NOC W KOMNACIE M'CORI

W sypialni M'Cori panował półmrok. Słaby blask świeczki padał na dwie postacie leżące razem na łóżku – gdzie M'Cori pieszczotliwie gładziła muskularne plecy Lagesa. Leżał cicho, przez chwilę odpoczywając i czerpiąc przyjemność z łagodnych ruchów jej dłoni. Lages wydał zadowolone westchnienie.

– Ty leniwy zwierzaku! – wykrzyknęła M'Cori i dla zabawy klepnęła go po pośladkach. Chwycił ją mocno i przycisnął miękką, chichoczącą dziewczynę do siebie. Zapięcia jej sukni zostały rozluźnione już wcześniej i Lages zsunął ją z ramion w trakcie pocałunku. Dziewczyna cicho mruknęła i przytuliła się do jego nagiej piersi. Po chwili roześmiała się i odepchnęła go.

– Cóż ty sobie wyobrażasz, łajdaku! – krzyknęła, naśladując rolę z romantycznej sztuki. – Zdaje się, że zbyt lekko traktujesz względy damy. Zgubisz mnie!

Podchwytyjąc rolę, Lages przybrał efektowną pozę – nieco chwiejną po winie, które wypili – i zadeklamował:

– Ach, piękna pani! Nie odtrącaj mych zalotów! To tylko odbicie nieśmiertelnego żaru uczucia biednego żołnierza, który ma stawić czoło śmierci w bitwie!

M'Cori jęknęła i upadła na poduszki. Zbladła i przycisnęła pięść do ust, przygryzając kostki palców, by powstrzymać łzy.

Lages przeklinał swoją głupotę i brak wyczucia. Do diabła! Zawsze mówi to, co nie trzeba! Tak bardzo próbowała zapomnieć – znaleźć w wesołości schronienie przed napięciem wzbierającego konfliktu – a on musiał jej przypomnieć. Wiedział, że ostatnie miesiące były ciężkie dla niej. Pomimo swej zaraźliwej wesołości w głębi serca była delikatna jak dziecko. Chwilami Lages obawiał się, że złamie ją swymi twardymi rękoma i szorstkimi manierami.

Dotknął jej nagiego ramienia i obrócił ją ku sobie. Jej zielone jak morze oczy były znowu pełne łez, lecz spojrzała na niego i nie załkała.

– Nigdy nie wrócisz – powiedziała cicho. – Wiem o tym.

Lages zaśmiał się i potrząsnął nią łagodnie.

– M’Cori, M’Cori! To takie niemądre! To samo mówiłaś ostatnim razem, pamiętasz? Teraz ryzyko będzie dużo mniejsze. Znamy już pomysły taktyczne Kane’a i wiemy, jak poradzić sobie z nimi. Nawet wyposażyliśmy kilka okrętów wojennych w podobne katapulty. Poza tym jest nas znacznie więcej niż buntowników. I nawet nie będę dowodził – dodał nie bez goryczy. – Twój ojciec sam dowodzi flotą. – Zauważył z zadowoleniem, że M’Cori nie troszczyła się tak bardzo o swego ojca. Maril nigdy nie polubił córki mimo wszystkich czułych słów.

Była rozczochrana i pasma blond włosów zsunęły się jej na piersi. Lages podnosił każde pasmo ostrożnym ruchem. Wyraz cierpienia zniknął już z jej oczu. Pod tą delikatną powłoką kryła się siła.

– Pamiętaj o przepowiedni, M’Cori – powiedział, czując bicie jej serca pod opuszkami swych palców. – Nie zrezygnujesz chyba teraz, kiedy tak długo wierzyłaś, prawda?

Teraz M’Cori była rozmarzona.

– Tak dawno temu – powiedziała cicho. – Zastanawiam się, czy ta kobieta naprawdę była kapłanką Lato. – Kolory powróciły jej na twarz. Jej wargi były na wpół rozchylone.

Lages spojrzał na jej blade piękno widoczne w świetle płomienia świecy.

– Kiedy zostaniemy mężem i żoną, będziesz musiała przyzwyczać się do mojej nieobecności za każdym razem, gdy cesarstwo będzie zagrożone.

Podniosła do niego spojrzenie pełne rezygnacji.

– Żyjmy dniem dzisiejszym – szepnęła i wyciągnęła do niego rękę.

24.

NOC W KOMNACIE EFREL

Olbrzymie lampy oliwne paliły się jasno, by rozproszyć atramentową czerń mroku podziemnej komnaty. Ich ostre, bezlitosne światło padało na scenę równie straszną, jak wiele innych, których świadkiem była ta komnata w ciągu wieków.

Kane stał obok Efreł w cieniach i patrzył, jak zaniepokojona straż składająca się z zaufanych żołnierzy wprowadzała grupę więźniów do ukrytej komnaty. Więźniowie – około sześćdziesięciu jeńców, schwytanych w poprzednich bitwach – nie byli związani, lecz nawet nie starali się uciec. Zamiast tego szli na sztywnych, jakby drewnianych nogach, a na ich twarzach zastygł grymas absolutnej beznadziejności. Spętani paraliżującym zaklęciem Efreł, zupełnie nie mieli władzy nad swymi ruchami i szli na spotkanie swej zguby. Jak bezmyślne roboty zostali przyciągnięci do tej komnaty przez myślowe rozkazy wiedźmy. Strach w ich oczach pogłębiał się, gdy bezradnie zbliżali się ku swojemu przeznaczeniu. Powód ich rozpaczki można było zobaczyć w czarnej sadzawce, do której ciągnęła ich niewidzialna siła.

Szeroki basen nie był dziś spokojny i lustrzany jak zwykle. Woda wrzała i burzyła się od szybkich ruchów pod ciemną powierzchnią, od czasu do czasu zaś widać było kłębiące się kształty. Czasem jakiś czarny kształt wyłaniał się nad wodą, a potem zanurzał się ponownie szybciej, niż oko mogło coś zauważyć wyraźnie. Tego wieczoru koszmar nawiedził tę sadzawkę. Nawet powietrze przesiąknięte było śmiertelną grozą i więźniowie wyczuli czekającą na nich śmierć.

– Wszystko wskazuje – mówiła Efreł – że Netisten Maril już wkrótce wykona swoje posunięcie. Zgromadził już niemal wszelkie poparcie, jakie otrzyma, a jego gorączkowe przygotowania zbliżają się ku końcowi. Przypuszczam, że przygotowany jesteś na mobilizację w każdej chwili.

– Oczywiście – zapewnił ją Kane. – Widziałas już, że moi ludzie stale są gotowi do boju, a flota jest zebrana i może wypłynąć w

każdej chwili. Postaraj się tylko, żeby twoi śliczni przyjaciele byli gotowi, kiedy będą ich potrzebował.

Zamyślił się nad niemal niemożliwymi do pokonania trudnościami, które prześladowały go w związku z wpasowaniem Scylredi i ich przerażających broni w jednolitą formację bojową. Oprócz oczywistych problemów z koordynacją, ogromne trudności wynikły z potrzeby zachowania absolutnej tajemnicy. Te trudności okazały się jednak trywialne w porównaniu z porażeniem siebie z reakcjami ludzi, kiedy dowiedzieli się o charakterze swych tajnych sprzymierzeńców. Kane pokazał im tak mało, jak było to możliwe, i utrzymywał dyscyplinę żelazną ręką. Nikt nie opuszczał wyspy, chyba że na specjalne polecenie.

W ciągu tygodni, które upłynęły od czasu, gdy odwiedził Sorn-Ellyn z Efrel, w ukrytej komnacie odbywały się niezliczone spotkania z Scylredi. Tu, w otoczeniu pamiątek wieków czarnoksiężskich poszukiwań, Kane przyglądał się, jak Efrel porozumiewa się z tymi ohydnyymi stworzeniami.

Kontakt nawiązany został telepatycznie – chociaż w jaki sposób Efrel mogła wymieniać myśli z tak nieludzkimi potworami, pozostawało dla Kane'a zagadką.

Kane wyrobił sobie zdolności psychiczne przekraczające możliwości większości ludzi, lecz nie mógł zrozumieć nic z tego, o czym mówili Scylredi i Efrel. Jeśli Scylredi umieli nawiązać psychiczny kontakt z ludzkim umysłem, to widocznie chcieli rozmawiać tylko z Efrel – albo ta wiedźma sama dysponowała nieprawdopodobnymi mocami psychicznymi. Niezależnie od tego, jak czarownicy udało się tego dokonać, Kane mógł planować szczegółowo swoje bitwy dzięki jej tłumaczeniom.

Nie miało to większego znaczenia dla Kane'a. Perspektywa połączenia swego umysłu z umysłem Scylredi nie przypadała mu do gustu. Bardziej interesowała go tajemnica paralizującego zaklęcia Efrel. Strzegła tego sekretu dobrze – tak jak i wszystkich swych sekretów. Kane przypuszczał, że rozpoznał podstawowe zaklęcie i nawet bawił się myślą wypróbowania przeciwnego zaklęcia na jednym z więźniów.

Efrel przerwała jego rozmyślenia.

– To, co tam się wyłania, to powinny być talizmany dla nas.

Kane popatrzył w stronę jej wyciągniętej ręki, wskazującej

sadzawkę, gdzie spod powierzchni wody wynurzyła się krępa, miniaturowa wersja łodzi podwodnej Scylredi. Podpłynęła bliżej do niskiej obmurówki i na jej okrągłym dziobie otworzył się luk.

Kane wydał rozkaz ostrym tonem i szereg niespokojnych żołnierzy, stojących pod ścianą, podszedł do okrętu. Drżącymi rękoma zaczęli wyjmować ciężkie pojemniki, które czekały we wnętrzu wypełnionej wodą ładowni. Jeden z ludzi jęknął i niemal wpadł do wody, gdy czarna pętla macki podała mu pojemnik.

– Ostrożnie, ty niezdarny ośle! – warknął Kane. – Potrzebne nam są wszystkie talizmany.

Pękate pojemniki zawierały dziesiątki ciężkich, jajowatych brył metalu – gładkich przedmiotów wielkości mniej więcej ludzkiej głowy. Te talizmany były rozwiązaniem głównego problemu koordynacji i ich wyprodukowanie było niezbędne do tego, by Scylredi mogli zostać skutecznymi współpracownikami. Dzięki tym urządzeniom Scylredi mogli odróżniać statki buntowników od floty imperialnej. Były to wytwory nauki Scylredi, które wydawały ciągły pisk, niesłyszalny dla ludzkich uszu, lecz który Scylredi i ich ogromni słudzy – Oraycha – mogli słyszeć i rozumieć. Każdy statek w rebelianckiej flocie musiał umieścić taki talizman przy kilu – albo ryzykować, iż zostanie zniszczony przez nieludzkich sprzymierzeńców Efrel, gdy dojdzie do walki z bliska.

Rozładowana łódź zniknęła. W komnacie zapadła atmosfera straszliwego wyczekiwania. Imel, który kierował robotnikami, z ulgą wyprowadził tragarzy. Arbas stał z ramionami założonymi na piersi i czekał, czy Kane też wyjdzie.

– Ostatnia rzecz, Kane – przypomniała Efrel, przyglądając się uważnie powierzchni sadzawki. – Pamiętaj, że nie wolno zabić ani zranić Netistena Marila ani M'Cori. Chciałabym również dostać żywego Lagesa, ale to nie jest konieczne. Niezależnie od ceny, Maril i M'Cori muszą być dostarczeni mi cali i zdrowi. Zabij tysiąc ludzi, jeśli będzie trzeba, ale sprowadź ich do mnie, aby mogli poczuć pełnię zemsty, którą obiecałam rodowi Netisten! Mam szczegółowe plany dotyczące ich obojga i nic mi nie przeszkodzi w ich realizacji. Dopilnuj, by zrozumieli to wszyscy twoi ludzie.

– Oczywiście! – zapewnił ją Kane, jakby słyszał to po raz pierwszy. Opętana szaleńczą myślą o zemście, Efrel powtarzała

mu ten rozkaz setki razy.

– Dopilnuj tylko, żeby twoi paskudni przyjaciele zostawili statek flagowy Marila mnie.

Efrel pokiwała głową.

– Oni rozumieją. Jeden wyróżniający się statek są w stanie ominąć.

Odwracając się od niego wzniosła rękę w przyzywającym geście. Straszliwie przerażeni jeńcy ruszyli naprzód jak marionetki tańczące na niewidzialnych nitkach. Ich mięśnie drgały w rozpaczliwym wysiłku, lecz nie mogli złamać czaru. Chwiejne kroki zaprowadziły ich do samej krawędzi sadzawki. I do środka.

Woda natychmiast ożyła – hordy czekających Scylredi rzuciły się na szarpiących się więźniów. Uwolnieni w ostatnim momencie z zakłęcia mogli tylko próbować wyrwać się, a ich wrzaski rozległy się w obszernej komnacie głośnym echem.

Kane patrzył zafascynowany, jak udręczone ofiary były wciągane pod powierzchnię przez śliskie, czarne macki. Potwory z zagubionej przeszłości bawiły się nimi, rozrywały je na kawałki i wysysały z nich krew.

Szkarłatna piana pojawiła się na krawędzi sadzawki i ostatnia wykrzywiona twarz zniknęła w głębiach bezdennej studni. Alorri-Zrokros nie skłamał co do zwyczajów odżywiania się Scylredi.

25.

BITWA O CESARSTWO

Kane stał na dziobie „Ara-Teving” i patrzył przez lunetę na cesarską flotę, która pojawiła się na horyzoncie. Wiatr rozwiewał jego rude włosy. Morze było czarne od okrętów – statków wszelkich kształtów – niektóre pod czerwoną flagą Thovnos, inne pod błękitną flagą Raconos, zielono-czarną Fisitii... Kane zrezygnował z liczenia ich. Okręty wojenne ściągnęły tu ze wszystkich stron cesarstwa, zbierając się wokół cesarza, by stawić czoło próbie powstania Efrel.

Flota cesarska jest liczniejsza od naszej cztery razy, pomyślał Kane. Maril ufał liczebności swoich sił i dlatego zdecydował się wyruszyć i szybko zgnieść buntowników w jednej decydującej bitwie. Kane przewidział takie posunięcie – i kiedy spojrzał na swoją flotę, uznał, że Maril miał rację.

Flota Kane’a składała się z bardzo odmiennych, przestarzałych, wyremontowanych i przerobionych statków, wśród których znajdowało się tylko kilka prawdziwych okrętów wojennych. Odpowiedź na apel Efrel była liczna, ale nadeszła niemal tylko od tych pomniejszych państw, które mogły najwięcej skorzystać na tym przedsięwzięciu. Oprócz tego Efrel uzyskała poparcie paru większych władców, których statki wraz z flotą Pellinu tworzyły kręgosłup floty Kane’a. Razem Kane miał pod swym dowództwem niemal setkę statków – potężną flotę, lecz żałośnie nieliczną i gorszej jakości w porównaniu z flotą imperialną. Zostaną zmiażdżeni, jeśli Scylredi nie przyjdą im z pomocą.

Na pokładzie swego okrętu flagowego Netisten Maril nie miał żadnych złych przeczuć widząc pojawiającą się na horyzoncie flotę buntowników.

– Na Hormenta! – zawołał do kapitana, śmiejąc się. – Ta parszywa czarownica zebrała większą flotę, niż się spodziewałem. Nie wiedziałem, że tyle wraków pływa na całym Zachodnim Morzu! I tak jej to nie pomoże. Przetoczymy się po tych

przeklętych rebeliantach jak fala przyływu po błotnistej mieliźnie.

Błysnął zębami w uśmiechu, gdy sługa podał mu hełm z kitą.

– Przed zmierzchem powinniśmy być w Prisarte i przyglądać się, jak płonie miasto. Dam im taką nauczkę, że przez cały następny wiek nikt nie ośmieli się pomyśleć o buncie. Pellin zbyt długo zatruwał ciało cesarstwa jak gnijąca narośl. Dziś przetnę i wypalę ten cuchnący wrzód raz na zawsze. A co do Efreł i jej niby nieśmiertelnego generała...

Ostrzegawczy krzyk rozległ się na przedzie cesarskiej floty. Maril przerwał swoje przechwałki, by zobaczyć, co się dzieje. Wstrząśnięty cesarz wskazywał ręką i pytał z niedowierzaniem:

– Na siedem piekieł księcia Tloluvina, co to jest?

Z morza pomiędzy dwiema armadami wynurzyły się cztery podwodne okręty Scylredi, jak stado gigantycznych, morderczych wielorybów. Nieludzkie okręty zmierzały ku cesarskiej flocie bez dźwięku, z wyjątkiem niesamowitego, ultradźwiękowego gwizdu ich silników.

Niezależnie od tego, czym były te dziwne łodzie, ich wrogie zamiary były oczywiste, Maril wydał więc rozkaz, by katapulty zaczęły strzelać.

Zamontowane na pokładach statków wielkiej armady katapulty, mniejsze i bardziej konwencjonalnie wyposażone niż te, których użył Kane, zaczęły miotać groźne pociski. Deszcz kamieni i nasączonych smołą zapalonych kul przeleciał hakiem nad morzem i spadł pośród statków Scylredi. Płomienie niegroźnie rozlewały się na metalowych kadłubach, kamienie uderzały w burty niewrażliwych morskich potworów z głośnym dudnieniem i odbijały się od nich.

Działa ledwie wystrzeliły pierwszą salwę, gdy okręty Scylredi zaatakowały.

Trzaskające strumienie gwałtownej energii wystrzeliły z ich stożkowatych wieżyczek. Statki będące na przedzie imperialnej floty nagle wybuchły w masie syczących strumieni. Wyglądało to, jakby imperialna flota znalazła się w środku jakiejś niewyobrażalnej burzy z błyskawicami na płonących morzach piekła. Szalejące strumienie energii unicestwiły pierwszą linię okrętów i siały zniszczenie wśród dumnej floty. Skazani na

zagładę żołnierze krzyczeli ze strachu, widząc swych towarzyszy i ich statki zamieniane w popiół i czekali na następny straszliwy pocisk, który wyśle ich do piekła. Mieli do czynienia z czymś strasznym, czemu żadna ludzka broń nie mogła sprostać ani nic nie mogło ich przed tym obronić. Żołnierze przy katapultcie desperacko kontynuowali nieskuteczny ostrzał, na który odpowiadały stałe salwy oślepiającej, zabójczej energii z okrętów Scylredi.

– Strzelać cały czas! – krzyknął Maril usiłując utrzymać porządek wśród płonącego chaosu spowodowanego przez Seylredi. – Taranować ich! Zmusić batami wioślarzy do większego wysiłku!

W jakiś sposób przekazywano jego rozkazy. Na groźnych wodach statki próbowały zbliżyć się do podwodnych okrętów Scylredi.

I znowu wystrzeliły niszczycielskie, fioletowe promienie. Okręty dziesiątkami wybuchały i zmieniały się w kule ognia. Jak jeden płonący, uszkodzony wrak, cesarska flota sunęła na spotkanie okrętów Scylredi. Popalone kawałki statków unosiły się gęsto na parujących falach. Ocean zdawał się wrzeć z gorąca. Cuchnące kłęby dymu wypełniały powietrze i niemal maskowały zapach ozonu.

Wtedy Maril poczuł, że pokład wznosi się pod jego stopami, gdyż lanca niszczycielskiej energii trafiła cesarski statek flagowy. Rufa okrętu zmieniła się w słup ognia, a fala potwornego gorąca ogarnęła ciała i deski falą jasnych płomieni. W kadłubie ziała wielka dziura. Morska woda wdarła się do tej płonącej rany i para z sykiem przeciskała się przez połamane deski. Okręt przechylił się gwałtownie.

– Opuścić statek! – niepotrzebnie krzyknął Maril.

Okręt flagowy ogarnęła panika. Ludzie skakali z płomiennego piekła na pokładzie do morza pełnego wraków. Większość szła natychmiast na dno pod ciężarem zbroi i broni.

Maril szybko zrzucił hełm, pancerz i nagolenniki. Dotarł do burty w chwili, gdy statek przechylił się już ostatecznie, i wskoczył do wody. Płynął przez zaśmieconą wodę zgrabnymi, potężnymi ruchami w stronę najbliższego statku. Tonący marynarz chwycił go za nogę, wciągając pod powierzchnię.

Cesarz wyrwał się klnąc i kopiając nieszczęśnika w twarz.

– Tutaj, stryju! – to wołał Lages, którego okręt znajdował się w pobliżu statku flagowego.

Płynąc wśród chaosu zwęglonych wraków i utopionych ludzi, Maril dotarł wreszcie do statku. Zrzucano mu linę, którą szybko pochwycił. Wspiął się na pokład uchylając się przed wiosłami.

– Lagesie! – krzyknął i chwycił bratanka za rękę. – Nie żałuję, że darowałem ci życie! Niech mi ktoś przyniesie miecz! Nie pozwolę, by jeszcze jedno dobre ostrze poszło na dno, zanim nie zostanie dobrze naoliwione cuchnącą rebeliancką krwią!

Lages uśmiechnął się ponuro i zaklął.

– Cóż za piekielną broń sprowadził Kane przeciw nam. Nasi ludzie giną, nasze statki zmiotane są z powierzchni morza – a musimy jeszcze zadać cios.

– Nie wiem, co to jest – krzyknął Maril – ale widzę w tym rękę Efrel. Skoro nie możemy zniszczyć tych piekielnych okrętów czarownicy, zbliżymy się do floty Kane’a tak, żeby nie mogli strzelać do nas, bojąc się trafić któryś ze statków buntowników. Cała naprzód! Jeśli kamienie i kule ogniste odbijają się od ich pancernych boków, zobaczymy, jak zniosą taranowanie!

Imperialna flota ruszyła naprzód, samą swą liczbą stawiając opór statkom Scylredi. Powoli, ponosząc wielkie ofiary, zbliżała się do łodzi podwodnych. Okręty Scylredi unosiły się na powierzchni bez ruchu i strzelały do nadpływającej floty tak szybko, jak tylko mogły nadażyć ich działa.

Pierwsza linia okrętów zrównała się z nieludzkimi łodziami. Jedna galera usiłowała staranować łódź podwodną i uderzyła wprost w środek jej burty. Dziób galery został zmiażdżony, lecz nie uczynił żadnej szkody metalowemu kadłubowi, tylko odepchnął nieco łódź do tyłu. W następnej chwili okręt wojenny i wszyscy biedni głupcy na jego pokładzie zniknęli w fali ryczącego ognia.

W tym samym czasie galera uderzyła jak taran z pełną szybkością w rufę innej łodzi podwodnej Scylredi i trafiła w jedną z jajowatych wypukłości. Siła tej samobójczej kolizji wbiła okutą spizem ostrogę w świecący obiekt, zagłębiając jej ostry dziób we wnętrzu buczących silników łodzi podwodnej.

Niemal w chwili zderzenia statek Scylredi eksplodował i

zmienił się w kulę płonącego, białego ognia. Oślepiające światło – jaśniejsze od słońca – pochłonęło oba statki. Z ogłuszającym hukiem galera i okręt zostały zniszczone w jednym niesamowitym wybuchu. Wielkie, wrzące chmury ryczącej pary unosiły się w niebo. Kawałki zwęglonego drewna i stopionego metalu rozdarły powierzchnię morza. Statki najbliższe miejsca wybuchu stanęły w płomieniach od samego żaru.

Po tej eksplozji trzy pozostałe okręty podwodne zanurzyły się pod powierzchnię wody i zniknęły. Albo bały się podzielić los ofiary zderzenia, teraz gdy ujawniony został ich słaby punkt, albo zdecydowały się przekazać bitwę innym.

Gdy ta groźna zapora znikła, flota cesarska pośpieszyła na spotkanie sił Kane'a. Żołnierze wznosili triumfalne okrzyki przy zniszczeniu nieludzkiego okrętu, a teraz pilno im było do bitwy z materialnym, ludzkim wrogiem. Maril jednak miał bolesną świadomość tego, że niemal połowa jego floty została zniszczona w płomieniach broni demonicznych sprzymierzeńców Efreł.

Tylko kilkaset jardów oddzielało dwie floty od siebie. Powietrze było już pełne strzał i pocisków, a okrzyki bojowe brzmiały jak ryk wzburzonych, gniewnych fal. Wtedy do ataku ruszyło nowe okropieństwo – coś tak samo groźnego i niespodziewanego, jak atak okrętów Scylredi – i bojowe okrzyki zmieniły się raptownie w alarmujące wrzaski przerażenia.

Śliska, czarna macka, grubsza niż ludzkie ciało, wynurzyła się nagle z fal i owinęła wokół jednego ze statków na przedzie. Nie dowierzający własnym oczom żołnierze cesarscy ujrzeli dziesiątki macek, które wyłoniły się z wody jak węże i pochwyciły statek. Żołnierze krzyczeli z przerażenia, gdy koszmarny potwór z głębin oceanu wychynął na powierzchnię w ślad za mackami – rozdęta góra gumiastego ciała, w której dwoje trupiobiałych oczu patrzyło wrogo na znienawidzone światło słońca. Jedna z najstraszniejszych legend morza ożyła.

Oraycha zacieśnił swój uścisk na statku. Belki zatrzeszczały, a następnie popękały w jego straszliwych objęciach. Potworny, pożółkły dziób otworzył się szeroko jak brama zamku – a potem nagle zatrzasnął, krusząc mocny kadłub okrętu. Bezradni żołnierze krzyżąc rzucali się do morza lub byli ściągani na dno wraz ze swym zgniecionym statkiem.

Na powierzchni wody pojawiło się więcej macek. Następne potwory zrodzone w pradawnych czasach wyłoniły się z głębi, by zaatakować cesarską flotę. Z przerażającą łatwością gigantyczne Oraycha miażdżyły statek po statku. Zdawało się, że metodycznym atakiem potworów kieruje jakaś niesamowita inteligencja.

Otrząsając się z otępienia wywołanego pierwszym przerażeniem, jakie spowodował widok tych okropieństw, żołnierze cesarscy ruszyli naprzód, by stawić czoło nowemu zagrożeniu. Strzały były mniej skuteczne niż ukłucia szpilką, a ciosy mieczy nie groźniejsze dla potworów niż dla pni drzew. Próby staranowania okazały się bezskuteczne, bo Oraycha poruszały się zbyt szybko. Ci na tyle śmiali i nierozważni, by próbować taranowania, wkrótce odkryli, że potwory nurkowały pod nimi i chwyciły okręty od spodu w swe mordercze uściski.

Żołnierze walczyli dzielnie z morskimi potworami. Jakiś lekkomyślny kapitan wbił włócznię głęboko w oko jednego Oraycha, który wzniósł się, by zaatakować okręt. Ci, którzy znajdowali się w pobliżu, wyczuli raczej, niż usłyszeli raniący dźwięk bólu, gdy z rany trysnęła czarna krew. Olbrzymia macka kurczowo wzniosła się – i opadła, miażdżąc kapitana o pokład. Konwulsyjnymi ruchami rozwścieczona bestia zgmiotła statek i połamała go na drobne kawałki.

Wydzielając wielkie chmury czarnego atramentu, zraniony Oraycha atakował statek po statku, rozszarpując je w morderczym szale. Gdy owinał się wokół następnego okrętu, galera skorzystała z okazji i podpłynęła od tyłu, wbijając spizową ostrogę na dziobie statku w głowę stworzenia.

Śmiertelnie ranny Oraycha szarpnął się w ostatniej orgii niszczenia, zanim zatonął wijąc się i kłębiąc.

Na następnym zaatakowanym statku żołnierze wylali płonąca smołę na potwora, który ich pochwycił. Gdy płomień wgryzły się w oślizgłe cielsko, Oraycha wypuścił okręt i zanurzył się pod wodę. Przeciekający mocno statek szybko stanął w płomieniach. Załoga zaczęła wyskakiwać z niego do morza, które spieniło się od wściekłych ruchów zbolełego potwora. Równie dobrze mogli zostać na płonącym pokładzie.

Mimo całego tego zamieszania dwie floty jakoś zbliżyły się do

siebie. Z bojowymi okrzykami cesarscy żołnierze uderzyli na buntowników – spychając ich do tyłu impetem pierwszego ataku. Okręt zderzał się z okrętem, a na pokładach przelewały się fale zaciętej walki. Bitwa zmieniła się w szaloną rzeź – a każdy okręt, każdy człowiek walczył o swoje życie.

Kane zobaczył z zadowoleniem, że Oraycha jeszcze bardziej przerzedziły szeregi wojsk cesarskich. Teraz niemal zrównali się pod względem liczebności i gdyby jego nędznie wyglądająca flota zdołała tylko walczyć razem, mógłby jeszcze zwyciężyć w tej bitwie.

Imperialna galera zmierzała ku niemu. Doświadczony w niezliczonych bitwach Kane skierował „Ara-Teving” na bok i uderzył tamten statek lekko spizową ostrogą. Zajęczały protestujące belki i dwa okręty szepiły się.

Odrzucając tarczę, którą zasłaniał się przed strzałami, Kane wyciągnął dwa miecze i wybiegł na spotkanie cesarskich żołnierzy. Długi sztylet i szeroki miecz lśniły w słońcu jak mordercze żywe srebro.

Ciężkie uderzenie przepłynęło przez stal do mięśni i Kane zawył przy pierwszym wstrząsie walki. Potem dwa ostrza ponownie się wzniosły, rozpryskując za sobą strumień szkarłatu. Kane roześmiał się dziko, gdy lawina błyszczącej stali i wykrzywionych twarzy zalała go. Potężnymi ciosami lewej ręki uzbrojonej w miecz powalił wszystkich, którzy wystąpili przeciw niemu.

Posypany piaskiem pokład przechylił się pod jego stopami i tylko błyskawiczny refleks Kane’a ocalił go przed upadkiem wprost na ostrze miecza przeciwnika. Teraz druga cesarska galera uderzyła „Ara-Teving” i jej żołnierze wpadli na pokład chcąc za wszelką cenę zdobyć nieprzyjacielski okręt flagowy.

Wykrzykując rozkazy Kane wysłał swych ludzi na spotkanie nowego zagrożenia. Zdał sobie sprawę, że funkcja dowódcy była niebezpieczną zawadą dla niego w tak zacieklej walce. Kilku żołnierzy chciało skorzystać z jego chwilowo odwróconej uwagi, aby go zabić. Otoczony przez zaciekle wojowników Kane znalazł się w ciężkim położeniu. Młóćąc dookoła z groźną skutecznością odciął rękę jednemu z napastników i rozpruł odsłonięty brzuch innego. Nieomylnie trafiał wszędzie, gdzie

nadarzała się okazja, drogo każąc płacić napastnikom za ich śmiałość. Tylko ktoś tak nieprawdopodobnie silny i sprawny jak Kane mógł odeprzeć ciosy tego wiru stali – i wielu lekkomyślnych śmiazków zginęło od jego lśniących mieczy.

Nie wszystkie jednak ciosy mogły być całkowicie odparte i często odtrącone już ostrza uderzały boleśnie w jego kolczugę. Zbroję miał pociętą i zakrwawioną, z drobnych zadraśnień spływała krew na twarz i przedramiona, a nie zauważony łucznik omal nie przeszył mu gardła strzałą. Wydawało się, że Kane nie uniknie wkrótce jakiegoś ciosu, którego nie zdoła odparować i który zada mu cięższą ranę. Kane wiedział, że raz okaleczony zostanie natychmiast zwalony z nóg i posiekany na kawałki przez szakali. Nie zważając na grożące mu niebezpieczeństwo Kane szydził z wściekłych napastników i drażnił ich. Pokryty krwią, która kolorem dorównywała jego włosom, Kane walczył zawzięcie – radując się z każdego celnego pchnięcia.

Wtedy cesarscy żołnierze zaczęli się wycofywać, zostawiając stos trupów wokół Kane'a. Przez zalany krwią piasek pokładu zbliżał się do niego Arbas, przebijając się przez tłum walczących. Kane dopiero teraz zauważył, że Arbas przybił okrętem do walczących statków i rzucił swoich ludzi przeciw przeważającym siłom wojsk cesarskich. Włączył się do bitwy w samą porę, zwiększając szansę buntowników.

– Hej, zabójco! – powitał go Kane. – Jak dzisiaj idzie robota? – Pojawienie się Arbasa dało mu chwilę na odetchnięcie, tak że mógł pozwolić sobie na żarty. Kane rozluźnił obolałe mięśnie i wyszczerzył się w uśmiechu do towarzysza.

– Śmierci tu pod dostatkiem, tak że rynek jest zasypany! – skarżył się Arbas. Przerwał, by przebić sztyletem, który przed chwilą podniósł, gardło żołnierza stojącego po drugiej stronie pokładu. – To był świetny rzut – pochwalił się barczysty zabójca. – Ale w takim zamieszaniu nikt nie doceni finezji. Kane, obawiam się, że mój urząd jako kapitana będzie miał krótki żywot. Mój okręt został wcześniej staranowany i mocno przecieka. Właściwie przybicie do waszej burty było jedynym wyjściem poza płynięciem w pław, jakie mi pozostało.

– Więc połączmy to, co zostało z naszych załóg, i zostaniemy na „Ara-Teving” – oświadczył Kane.

Arbas pokiwał głową, a potem krzyknął:

– Hej, uważaj na tego sukinsyna na dziobie – tam przy kliwrze!

Kane odskoczył do tyłu, a strzała trafiła w pokład. Rozwścieczony, wyszarpnął włócznię wbitą w deski pokładu i cisnął nią w ukrytego łucznika. Łuk i kołczan spadły na pokład, kiedy włócznia rozdarła kliwer. Strzelec zawisł, drgając jeszcze, przybity do bukszprytu jak figura na dziobie.

Kane mruknął zadowolony.

– Dołożmy im, Arbas! Oczyszcmy pokłady i uwolnijmy się. Arbas rzucił spojrzenie na morze i zaklął.

– Do diabła! Za chwilę będzie tu tłok! Zaraz będziemy mieli towarzystwo, a tych żołnierzy jest tyle, co much nad gównem!

Jeszcze dwa cesarskie okręty wojenne, trirema i birema, zbliżały się do walczącego „Ara-Teving”. Kane rozejrzał się po walczących dookoła, ocenił swoje siły i stwierdził, że sytuacja będzie poważna, jeśli nie beznadziejna, kiedy nowi wojownicy włączą się do bitwy.

Lecz trirema nagle zatrzymała się. Z głębin wystrzeliła płatanina czarnych macek i pochwyciła okręt. Na oczach bezradnej załogi drugiego statku galera została zgnieciona w uścisku kolosalnego morskiego potwora. Ludzie powpadali do morza i pływali dookoła, rozpaczliwie usiłując dostać się do swoich towarzyszy na pokładzie biremy. Stustopowe macki burzyły wodę wokół szarpiących się nieszczęśników, zabijając z zapalem, który mógł być tylko wynikiem rozumnego działania.

Oraycha polowały teraz pod zwartymi w boju flotami. Odpowiadając na ponaddźwiękowe sygnały talizmanów wyszukiwały i niszczyły cesarskie okręty.

Kane nie miał czasu dłużej się przyglądać. Czekąca go zaciekle, groźna walka, zanim zdołają usunąć z pokładów posiłki z biremy, które dołączyły do żołnierzy z pierwszego statku. Dzięki pomocy ludzi Arbasa dziesiątkowana załoga wyplątała wreszcie „Ara-Teving” z pola bitwy i popłynęła w stronę nowego wroga. Arbas potrząsnął głową filozoficznie, przyglądając się, jak jego opuszczony statek przechyla się i ginie pod falami.

Na pokładzie nowego cesarskiego okrętu flagowego, podobnie jak i na innych, walki były tak samo ciężkie i bezlitosne. Dwa razy Lages i Maril staranowali i zniszczyli statek buntowników i dwa

razy odparli ataki na ich własny okręt. Ich szczęście nie mogło jednak trwać długo. Zostali schwytani pomiędzy dwa rebelianckie okręty naraz, a uderzenie jednej ostrogi wydarło wielką dziurę poniżej poziomu wody w ich statku flagowym.

Lages walczył w milczeniu obok swego stryja na kołyszącym się pokładzie, dziwiąc się wytrzymałości i zręczności Marila. Wybuchowy cesarz nie utrzymywał się na tronie dzięki sile i umiejętnościom innych, lecz sam był wciąż potężnym wojownikiem, tak jak wysławiali go dworscy poeci. Jednak widać było, że ich żołnierze powoli cofają się przed naporem buntowników i Lages zdał sobie sprawę, że wkrótce ich okręt zostanie zdobyty. Dobrze wiedzieli, co oznacza dla nich niewola, więc obaj walczyli zaciekle, mając zamiar zginąć raczej z mieczami ociekającymi krwią wrogów, niż zdać się na łaskę Efreli.

A wtedy pomoc nadeszła z najmniej spodziewanej strony. Jeden z rebelianckich okrętów został nagle pochwycony w morderczy uścisk Oraycha. Zmysły tego stworzenia zostały zmylone przez bliskość walczących statków, tak że zaatakował nie ten, który trzeba. I gdy okręt zmienił się w zgnieciony wrak, cesarscy żołnierze odzyskali ducha.

– Na drugi okręt! Jeszcze nie skończyliśmy z tymi buntownikami! – krzyknął Maril i zakreślił mieczem z nową werwą. – Zabić te ścierwa! Nie dadzą nam rady w uczciwym starciu!

Cesarskie wojska przeskoczyły z desperacką furią z szybko tonącego pokładu na statek buntowników. Bitwa toczyła się nadal krwawo na tym okręcie, aż buntownicy zostali pokonani. Nie było dla nich litości – ani na pokładach, ani na morzu. Wreszcie tylko wyczerpana i obszarpana grupka cesarskich żołnierzy stała na pokładzie rebelianckiej galery.

Biorąc ten statek dla siebie, Maril rozkazał załodze wyciągnąć z morza rozbitków, aby odbudować siły, zanim wyruszą do następnego starcia. Ponuro pomyślał, że to już trzeci jego okręt flagowy tego dnia.

Tak więc bój toczył się wszędzie, a zwycięstwo leżało na nieruchomej szali mimo upływu godzin. Na początku cesarska armada miała przewagę, lecz kiedy formacja bojowa zmieniła się w chaotyczne zamieszanie, nie mogli wykorzystać w pełni swych

lepszych okrętów. Nie toczyli teraz bitwy według reguł, znajdując się w wirze szalonej przemocy. Strategia zgubiła się dawno w chaosie. Przez cały czas bezlitosne ataki Oraycha powoli zmniejszały przewagę liczebną sił cesarskich.

Była to ponura, bezlitosna walka na śmierć i życie. Po obu stronach bój był zawzięty i wściekły – bo obie strony znały cenę porażki. Lecz straszliwy atak Scylredi i miazdzące uściski Oraycha przerzedziły bardzo szeregi cesarskich wojsk i dowództwo Kane'a zaczęło odnosić skutek. Szale zwycięstwa przechyliły się i powoli siły Kane'a zaczęły przeważać.

Mimo to bitwa była jeszcze daleka końca – gwałtowność walczących wzrastała w miarę, jak ich ubywało. Była to brudna, osobista walka człowieka z człowiekiem i okrętu z okrętem i tylko jeden los oczekiwał pokonanego.

Imel przybył zbyt późno, by ocalić swego bliskiego przyjaciela, lorda Galia z Tresli, który padł w końcu na pokład swego okrętu otoczony wałem trupów nieprzyjaciół. Zaślepiiony zemstą Imel dopilnował, by żaden cesarski żołnierz nie opuścił okrętu żywy. Renegat wyglądał na opętanego żądzą zniszczenia wszystkich, którzy nazwali go zdrajcą. Gdy dzień zbliżył się do swego krwawego końca, jego lśniący bojowy strój był nasiąknięty krwią rodaków – fircykowaty młodzieniec stał się ponurym i zaciętym obcym dla swoich ludzi.

W innym miejscu lord Bremnor z prowincjonalnej wysepki Olan – sam niezbyt dobry szermierz – zabił słynnego wojownika, Gostela z Parwi, nadzwyczaj szczęśliwym pchnięciem miecza. Lord Bremnor nie miał zbyt wiele czasu, by nacieszyć się swą sławą, zabił go bowiem ukryty łucznik, kiedy prowadził swych żołnierzy na cesarski okręt.

Gdzie indziej zwycięska załoga buntowników miała tylko chwilę na radowanie się swym triumfem nad cesarską galerą, którą właśnie zajęli – kiedy Oraycha pochwycił okręt i zgniótł go jak trumnę dla zwycięzców i pokonanych razem.

I tak toczyła się bitwa...

„Ara-Teving” podpłynął do swego bliźniaczego statku, „Kelkina”, gdzie Kane zobaczył, jak garstka Pellińczyków zмага się z przeważającymi siłami nowej fali cesarskich wojowników. Oxfors Alremas walczył zaciekle, próbując zebrać swych

zmęczonych ludzi.

Widząc szansę pozbycia się swego wroga, Kane podniósł włócznie, tak że nikt tego nie zauważył. Oczy wszystkich utkwione były w „Kelkinie”, do którego zmierzał „Ara-Teving”, by pomóc obłożonej galerze. Czekaając na chwilę, gdy nikt nie będzie patrzył na niego, Kane cisnął włócznią nad wodą w plecy Alremasa, który właśnie ten moment wybrał, by w ciężkiej walce osunąć się na kolana pod uderzeniem topora w jego wyszczerbioną tarczę. Włócznia Kane'a przeleciała przez puste miejsce i zagłębiła swe żelazne ostrze w piersi wojownika z toporem.

– Piękny rzut, panie! – krzyknął żołnierz. Szmer pochwały przebiegł wśród ludzi na obu statkach, gdy dotarła do nich wiadomość, że Kane ocalił Alremasa cudownym rzutem włóczni.

Kane zaklął. Mimo wszystko wielu było świadkiem jego rzutu, chociaż jego zamiar został na szczęście źle zrozumiany. Zdając sobie sprawę, że jest to zbyt odstępne miejsce na morderstwo, Kane uniósł pięść przyjmując pochwałę i wewnętrznie pieniać się na myśl, że ten wojownik z toporem mógł zabić Alremasa. A potem znaleźli się na pokładzie cesarskiego okrętu i Kane był zbyt zajęty ratowaniem swego wroga, by prowadzić dalsze knowania.

Spoglądając na dogasającą bitwę, Netisten Maril doszedł do wstrząsającego wniosku, że jego wojska przegrywają. Z jego wielkiej armady czterystu okrętów zostało może dwadzieścia, a większość była uszkodzona.

Niewiele brakowało, by cesarz stracił swój trzeci okręt flagowy, kiedy jeden z jego własnych statków zobaczył banderę pellińską i niemal staranował go. Pozostałe cesarskie statki były powoli i bezlitośnie zdobywane przez flotę buntowników, w której zostało może czterdzieści statków, a stałe zagrożenie ze strony Oraycha dodawało im pewności siebie. Ich dokładne siły nie były zupełnie znane, jako że okręty w czasie bitwy często przechodziły z rąk do rąk. Marilowi opowiedziano o galerze, która zmieniła właściciela trzy razy.

Tego poranka taka myśl była niemożliwa, a kiedy wydłużyły się cienie, stała się nieunikniona. Oto cała potęga Cesarstwa Thovnozyjskiego została brutalnie unicestwiona przez siły szalonej czarownicy. Efrel zwyciężyła. Jeśli pozostanie na polu

bitwy, jego klęska będzie miażdżąca.

– Mam zamiar rozkazać odwrót – ponuro poinformował Lagesa. – Spróbujemy przynajmniej ocalić coś dla obrony Thovnos.

Jego bratanek posępnie usiłował zatamować krew płynącą z rany w boku, gdzie sztylet przecisnął się przez łączenie jego zbroi. Lages nic nie powiedział. Nie było nic do powiedzenia.

Dając sygnał do odwrotu Maril zawrócił do Thovnosten swym zdobyczym okrętem. Pozostałe cesarskie okręty postąpiły podobnie – te, które zdołały ująć cało z bitwy. To, co początkowo wyglądało na pościg, okazało się kilkoma innymi zdobytymi statkami buntowników, których nowi właściciele mało byli świadomi tego, że zawdzięczali swe życie sygnałom wysyłanym przez talizmany Scylredi przyczepione do kilów ich zdobyczy. Razem czternaście okrętów opuściło miejsce walki i skierowało się w stronę Thovnosten.

– Uciekają! – krzyknął Arbas. – Pobiliśmy ich wreszcie! Kane, pokonałeś największą armadę, jaką kiedykolwiek zebrano w tej części świata – a może największą w historii!

– To goi pewne stare rany – powiedział Kane, myśląc o podobnej bitwie z odwrotnym zakończeniem, jakieś dwieście lat temu. Jego oczy zamgliły się w zamyśleniu.

– Będziemy ich ścigać? – dopytywał się Arbas. – Do diabła, gdyby demony Efrel nie stchórzyły, moglibyśmy wysłać je, żeby spaliły każdego z tych sukinsynów. Ale zdążymy jeszcze ich dogonić przed zmierzchem.

– Nie, pozwolimy im uciec – zdecydował Kane. Kulał nieco i trochę trudno mu było poruszać prawą ręką z powodu głębokiego rozcięcia, które krwawiło nadał mimo opatrunku. Nawet fantastyczna siła Kane'a została całkowicie wyczerpana w czasie tej całodniowej, męczącej bitwy. – Utrzymamy pozycję i umocnimy zwycięstwo – stwierdził. – W wodzie jest wiele nadających się do wykorzystania rzeczy, które będą nam potrzebne, a ludzie muszą mieć czas na wylizanie ran i świętowanie zwycięstwa. Zbierzemy to, co się da, i wrócimy do Prisarte.

Efrel nie spodoba się, że pozwoliliśmy nieprzyjacielowi uciec, ale skończymy z Marilem później. Teraz przydałaby mi się kąpiel,

coś do picia i trochę słodkich pocałunków, by ukoić ból po bitwie. Dziś w nocy możemy sami spalić Prisarte.

Popatrzył posępnie na oddalające się okręty. Najwyraźniej Oraycha zmęczyły się już rozrywką i pożywiały się teraz. Morze przypominało przelewający się ściek burzowy pełen trupów. Woda była pełna wraków setek statków i ciał tysięcy ludzi. Kane zauważył wśród ucztujących między wrakami inne ciemne kształty, które nie przypominały Oraycha.

TOAST ZA ZWYCIĘSTWO

Świętowanie, które ogarnęło Prisarte, nie dotarło do północnego skrzydła Dan-Legeh. W czerni nocy, poza murami cytadeli, miasto rozbrzmiewało odgłosami celebrowania zwycięstwa buntowników. Tłumy wylewały się z tawern i burdeli na ulice i zaułki, gdzie grupy świętujących piły, ucztowały i tańczyły, nie troszcząc się o nic ani nie myśląc o następnej bitwie.

Oxfors Alremas stał sztywno w prywatnych komnatach Efrel popijając jasne wino z kryształowego pucharu. Pelliński władca był nieskazitelnie elegancko ubrany we wspaniałe brokatowe houppelande i jedwabne pończochy. Wyglądał, jakby przyszedł raczej z dworskiego balu niż z pola krwawej walki.

– Radość mojego zwycięstwa została pozbawiona smaku przez ucieczkę Netistena Marila – szepnęła Efrel.

Alremas otarł wargi perfumowaną chusteczką.

– Uważam, że niewdzięcznością byłoby krytykowanie człowieka, który ocalił mi życie – powiedział dwornie. – Jednakże uważam, że Kane powinien być udać się w pościg. Było dość czasu, by dogonić uciekinierów przed zapadnięciem ciemności. Sądzę, że Kane miał już dość walki na ten dzień. Oczywiście nie tracił czasu po przybiciu do brzegu i poszedł pić i bić się z prostymi żołnierzami.

– Bogowie ciemności byli dla mnie łaskawi i dali mi zwycięstwo – mówiła Efrel. – Za kilka dni Thovnosten będzie w moich rękach. Wtedy Netisten Maril zostanie wyciągnięty z dymiących ruin swej dawnej świetności i przyprowadzony do mnie w łańcuchach i niełasce. Moja zemsta będzie jeszcze słodsza, jeśli poczekam parę dni.

– Chciałbym zasugerować, abyś przypomniała Kane'owi, że cesarz ma być wzięty żywcem – powiedział Alremas. – To wbrew zasadom uprzejmości mówić lekceważąco o własnym przełożonym, ale muszę stwierdzić, że Kane wykazał niewiele zainteresowania schwytaniem Marila. Oceniając z perspektywy

czasu zachowanie jego ludzi, to cud, że Maril nie został zabity w czasie bitwy.

Jedno oko Efrel spojrzało na niego posępnie.

– To się nie może wydarzyć – zasyczała. – Netisten Maril musi być przyprowadzony do mnie żywy – za każdą cenę!

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby twoje życzenia zostały spełnione – obiecał Alremas.

– I M'Cori – westchnęła Efrel. – M'Cori również musi być przyprowadzona do mnie – nietknięta i cała! Rozumiesz!?

– Rozumiem, moja królowo – zapewnił ją Alremas. – I nadal będę przypominał Kane'owi o twoich rozkazach.

Odstawił puchar i ukląkł przy jej kanapie.

– Efrel, pozwól mi dowodzić flotą inwazyjną. Kane wykonał już swoje zadanie. Ten człowiek jest niebezpieczny. Myślisz, że wykorzystujesz go – ale ja obawiam się, że to Kane wykorzystuje ciebie.

– Dość! – warknęła Efrel. – Wykorzystuję mężczyzn, jak mi się podoba, i odrzucam ich, kiedy mam na to ochotę! Dopilnuj, by moje rozkazy zostały wykonane, Oxforsie Alremasie – i strzeż się, by zazdrość o Kane'a nie umniejszyła twojej przydatności dla mnie! Możesz teraz odejść.

Alremas wstał, uklonił się sztywno i opuścił Efrel. W jego oczach płonęła nienawiść.

Efrel dokończyła pić wino i poczuła, że fala gniewu opada. Leżąc wygodnie na swojej kanapie spojrzała na obraz na ścianie.

Stamtąd patrzyła na nią Efrel z innego życia.

Efrel rozluźniła swoją futrzaną pelisę tak, że jej fałdy zsunęły się z jej nagiego ciała. Nieskazitelné dłonie przesuwaly się po okropnych przestrzeniach pomarszczonych blizn i poszarpanego ciała. Efrel wpatrywała się w piękną, nagą dziewczynę na obrazie i pieściła swe okaleczone ciało. Czy te kalekie nogi były kiedyś udami z kości słoniowej, jak na tym obrazie? Czy te poszarpane piersi były tymi samymi wzgórzami o różowych szczytach? Czy ta masa blizn i połamanych żeber była tym smukłym białym brzuchem? Czy ta twarz...

Łzy wypełniły jej jedno oko, które jeszcze mogło płakać.

– Wkrótce – szepnęła do siebie Efrel. – Wkrótce...

27.

ATAK NA THOVNOSTEN

Tydzień po klęsce armady Kane patrzył, jak zarys wybrzeża Thovnos wyłania się z morza. Tego dnia dowodził flotą siedemdziesięciu pięciu okrętów wszelkich rodzajów – wypełnionych po burty wojownikami przygotowanymi do napaści na Thovnosten. Miał to być ostatni atak, Kane bowiem był pewien, że siły Marila są zbyt małe, by wytrzymały najazd na dużą skalę. Jedyną trudnością będzie przełamanie obrony miasta, lecz Kane ufał, że Scylredi wykonają to zadanie.

Niezależnie od tego, jak zareagowały na utratę okrętu podwodnego, Efrel udało się utrzymać ich poparcie dla rebelii. Jednakże czarownica ostrzegła Kane'a, że energia, która zasilala ich okręty i straszliwą broń, jest już na wyczerpaniu. Nie będąc w stanie uzupełnić tego źródła energii, Scylredi rzadko używali swoich okrętów wojennych w czasie ubiegłych stuleci. Efrel nakłoniła ich do zużycia niektórych ostatnich zapasów owej cennej energii, lecz Scylredi zastrzegli, że użyją swych niszczycielskich promieni tylko wtedy, jeśli będzie to absolutnie niezbędne.

Tak jak się spodziewał, Kane nie natrafił na żaden opór w drodze do Thovnosten. Maril dobrze wiedział, że byłoby głupotą marnować siły na walkę z flotą Kane'a przy użyciu resztek swoich sił. Cesarz zebrał wszystkich, których miał pod swoimi rozkazami, by rozpaczliwie i zawzięcie bronić Thovnosten – wiedział bowiem, że musi ocalić stolicę przed wpływem Efrel za wszelką cenę. Morze było teraz puste, nie było już na nim cesarskich okrętów. Flota rebeliancka bez przeszkód zajęła pozycję tuż poza portem w Thovnosten.

Port Thovnosten był zbyt szeroki, by można zablokować wejście do niego, lecz przez lunetę Kane zobaczył, że w strategicznych miejscach zatopiono wraki i wbito w dno ostre pale, by zatrzymać najeźdźców. Będą musieli posuwać się ostrożnie, jeśli Scylredi nie usuną wszystkich przeszkód, a to

wystawi okręty na ogień nieprzyjaciela. Był to zaledwie zewnętrzny krąg obronny portu. Statki, które przetrzymały wielką bitwę, czekały uzbrojone i gotowe na odparcie we wnętrzu przystani.

Kane zauważył dziesiątki łodzi rybackich i innych bliżej nieokreślonych stateczków ustawionych przed flotą. Płonące statki i temu podobne miłe rzeczy, pomyślał Kane.

Mury miasta obstawione były obrońcami. Każdy mężczyzna zdolny do noszenia broni został wysłany na mury. Widać też było sporo katapult wraz ze stosami kamieni, z naczyniami z płonąca oliwą, które będzie się miotać w napastników. Bramy miasta były solidne i dobrze umocnione – będzie robota dla wielkiego tarana, zakładając, że ludzie wytrzymają stały ogień z murów. Ogólnie biorąc, Thovnosten było dobrze przygotowane na odparcie ataku buntowników, a obrońcy nie mieli najmniejszego zamiaru poddać się. Zwykle Kane nigdy nie zdecydowałby się na atak na twierdzę, chyba że przez długie oblężenie.

Lecz sprzymierzeńcy Efreł walczyli bronią, jakiej nie mogli oprzeć się żadne ludzkie środki obrony. Za przystanią wojenne okręty Scylredi wynurzyły się już z wody, by dać znak rozpoczęcia ostatecznego ataku. Mordercze strumienie fioletowego żaru wystrzeliły z łodzi podwodnych i wżarły się w mury Thovnosten. Setki wrzeszczących obrońców zginęło w wybuchu, kiedy same kamienie zmieniły się w popiół od strasznego żaru. Katapulty i maszyny oblężnicze stawały w płomieniach i zmieniały się w zwęglone sterty, a naczynia z oliwą eksplodowały jak gigantyczne kule ognia. Wyjące tłumy uciekały w popłochu. Do tej pory tylko w połowie wierzono opowieściom przerażonych niedobitków poprzedniej bitwy. Teraz straszne wytwory nieludzkiej nauki wynurzyły się z głębin oceanu – obracając się przeciwko rasie, która miała śmiałość nazwać się panami Ziemi.

W odpowiedzi miasto zasypało ich strzałami i różnymi pociskami. Groźny deszcz nieszkodliwie odbijał się od metalowych kadłubów lub spadał pomiędzy zbliżające się statki wojenne z większym skutkiem. Lecz w miarę jak strugi niszczycielskiej energii rozcinały mury miasta, nieprzyjacielski ogień przycichł, a wreszcie zupełnie ustał. Znad murów wznosiły się słupy czarnego, cuchnącego dymu. Wrzeszczące postacie

chwiałały się na murach i spadały, ciągnąc za sobą smugi płomieni.

Wtedy Scylredi obrócili swój ogień na bramy miasta. Z głuchym grzmotem żelazna brama wybuchła rozrzucając stopione kawałki metalu i żużlu – zostawiając zieloną dziurę w popękanych murach. Serce Thovnosten było strzeżone już tylko przez sterty płonących belek i gruzu.

Odwracając się od dymiących murów, łodzie podwodne skierowały salwę oślepiających wybuchów energii na czekające okręty. Statki naładowane łatwo palnymi materiałami eksplodowały wśród szeregów okrętów wojennych.

Reszta cesarskiej floty ginęła pod morderczym ostrzałem. Potem, tak nagle, jak się zaczął, ogień zamarł i łodzie podwodne znikły pod powierzchnią morza. W czasie krótszym niż oszczędny posiłek ich straszliwy atak unicestwił obronę Thovnosten.

– W porządku! Chodźmy tam, zanim się pozbierają! – krzyknął Kane – i flota buntowników wpłynęła do portu.

Kilku kapitanów było nieostrożnych i rozbiło swoje okręty o ukryte przeszkody, ale większa część weszła do przystani nietknięta i rzuciła się do ataku na to, co zostało z cesarskiej floty. Statek zderzył się ze statkiem, a cesarscy żołnierze szaleńczo zaatakowali buntowników.

Wiedzieli, że są bez szans i walczyli jak rozwścieczone demony, chcąc zabrać ze sobą jak najwięcej dusz w wieczną noc.

Rybackie łodzie napełnione łatwo palnymi materiałami podpalono i pchnięto między szeregi najeźdźców. W takim tłoku precyzyjne manewrowanie było niemożliwe, więc łodzie zderzyły się z kilkoma okrętami, zalewając je ogniem. W toku bitwy na walczące okręty zaczął się sypać najpierw słaby, a potem coraz śmielszy deszcz strzał i innych pocisków. Niedobitki obrońców szybko wróciły na dymiące mury.

Opór jednak nie zdał się na wiele. Miasto było przygotowane na obronę przed zwykłym wrogiem, podczas gdy wszystko zostało zdruzgotane przez nieludzkie siły. Flota buntowników parła naprzód bezlitośnie i chociaż straciła kilka statków, obrońcy zostali zmuszeni do cofnięcia się. Ostatnie okręty imperialne, których pokłady roiły się od rebelianckich żołnierzy, zostały zdobyte. Cesarskie wojska były bezradne, musiały ustąpić sile hord Kane'a, chcących przenieść bój w głąb miasta. Na rozkaz

Kane'a siły buntowników podzieliły się na trzy części. Każda miała wkroczyć do miasta przez inny wyłom w murach, aby odciąć przegrupowujących się obrońców od siebie i uniemożliwić Thovnozjanom rzucenie swoich wszystkich pozostałych sił na jeden front.

Oslaniając się tarczą, w której utkwiono kilka strzał, Kane wyskoczył na brzeg i przepychał się do płonących ruin głównej bramy. Jego ludzie kręcili się wokół dymiących gruzów – na moment tylko zatrzymani, gdy Thovnozjanie skupili swe rozproszone siły, by bronić strzaskanej bramy. Żołnierze powitali okrzykami Kane'a, kiedy dołączył do nich, i pewnie podążali za nim do boju, który zaciekle toczył się wokół wyrwy w murze.

Kane przebijał się przez obrońców jak demon śmierci – odrzucał ich na boki potężnymi uderzeniami. Do tak ciężkiej walki Kane wybrał topór o krótszym drzewcu. Wymachując tą groźną bronią trzymaną w mocarnej lewej ręce, Kane rozcinał wrogów tak, że za każdym ciosem tryskała krew, wybebeszały się wnętrzności, padały ucięte kończyny. Za toporem, którym władał jak maczugą, sztylet, trzymany w prawej ręce, błyskał jak ząb węża. Nie zważając na strzały zasypujące walczących, Kane odrzucił tarczę, ufając, że jego kolczuga zatrzyma stal, która prześlizgnie się mimo jego osłony.

Kane na czele swych ludzi przebijał się przez szeregi Thovnozjan jak klin. Ulice i gruzы murów zasłane były trupami, Thovnozjanie bowiem walczyli dzielnie, by odeprzeć najeźdźców. Bezlitośnie jednakże spychano ich i miażdżono o dymiące ruiny i stosy ich poległych towarzyszy. Buntownicy, wyczuwając zwycięstwo, jak burza przeszli nad zwałami trupów i rozpoczęli inwazję samego miasta z trzech kierunków.

Zawzięty bój trwał wiele godzin, lecz Thovnosten było już skazane na klęskę. Obrona została unicestwiona i tysiące wrogów zalały ulice miasta. Nie można było zorganizować żadnego oporu przeciw najeźdźcom, a niewielkie grupy obrońców szybko wycinano w pień. Wkrótce walki ustały i zastąpiły je fale rabunku i gwałtu.

Buntownicy biegali od domu do domu, zabijali wszystkich, którzy nie mogli uciec, zabierali, co chcieli, i podpalali resztę. Wypełnione dymem ulice stolicy cesarstwa rozbrzmiewały

krzykami torturowanych kobiet, płaczem dzieci, wrzaskami rannych i umierających. Dla piratów i rzezimieszków, którzy zaciągnęli się do wojska Kane'a, było to urzeczywistnione marzenie. Wszyscy ci ludzie powrócili do swego prawdziwego stanu zezwierżenia i upajali się szaloną chwałą rabunku i gwałtu.

Kane prowadził silny oddział najeźdźców do cesarskiego pałacu, biegnąc wśród orgii nieposkromionej żądy niszczenia. Wokół pałacu wciąż jeszcze był zorganizowany opór, walki trwały zacięte i bezpardonowe. Następna grupa buntowników pod dowództwem Imela szybko dołączyła do nich pod oblężonymi murami. Jeśli Thovnozjanin miał jakieś wyrzuty sumienia z powodu złupienia stolicy swojej ojczyzny, nie okazał tego.

– Gdzie jest Alremas? – krzyknął Kane.

– Przebija się od tyłu – odpowiedział Imel. – Powinien tu dotrzeć w ciągu dziesięciu lub dwudziestu minut.

– W porządku! – Kane poczuł się zawiedziony, że jego wróg tak dobrze sobie radzi. – Posłuchaj, ty znasz tę okolicę. Kiedy przedostaniemy się do środka, weźmiesz kilku ludzi i porwiesz M'Cori. Pamiętaj – przyprowadź ją do mnie całą i zdrową. Zajmę się obrońcami, dopóki Alremas nie zdoła przyjść z posiłkami.

Imel kiwnął głową i wrócił do swoich ludzi. Wysławszy grupę pod dowództwem Arbasa w celu pośpiesznego zmontowania osłon i taranów z belek znalezionych w gruzach, Kane rozpoczął atak na twierdzę. Obrońcy na murach pałacu walczyli zaciekle i zdecydowanie, lecz rebeliancy łucznicy uniemożliwiali im skuteczne działanie tak długo, aż zaimprovizowany taran wyważył główną bramę. Rebeliancy z Kane'em na czele wpadli do ogrodów pałacowych i przez dziedzińce do komnat. Straż pałacowa biła się zawzięcie, lecz przeważające siły Kane'a zmusiły ją do wycofania się.

– Kane! – Wynędniała postać w zbroi nagle stanęła przed Kane'em. Netisten Maril przyglądał się, jak jego cesarstwo rozpada się wokół niego i teraz po długich godzinach wściekłej walki w nadaremnej próbie powstrzymania najeźdźców powrócił, by bronić swego pałacu. – Na Hormenta, przynajmniej będę miał satysfakcję, że wyślę twą czarną duszę na dno Siódmego Piekła!

– Wielu już próbowało! – szydził Kane. – Książę Tloluin teraz

pilnuje ich wszystkich!

Z okrzykiem wściekłości, podobnym do ryku rozwścieczonego byka, Maril rzucił się na Kane'a. Cesarz był potężnym mężczyzną i walczył pchany szaleńczą furją. Oto wreszcie spotkał człowieka, który doprowadził do ruiny jego wielkie cesarstwo. Jeśli zwycięstwo wymknęło się z rąk cesarzowi, mógł przynajmniej zemścić się. Kane powoli ustępował gwałtownym atakom Marila, zatrzymując cios za ciosem swoim mieczem i uderzając w tarczę cesarza toporem. Nie zważając na nic Maril uchylał się przed ciosami bojowego topora błyskającego w lewej ręce Kane'a, a jego atak był niczym burza stalowych błyskawic i dudniących jak grzmoty ciosów. Wściekłą szermierką Marila kierowała chęć odwetu.

Nagłe pchnięcie dłuższego miecza Marila trafiło Kane'a w prawe ramię, boleśnie rozcinając na poły zaleczoną ranę, która tam się znajdowała. Sztylet wypadł z ręki Kane'a i stuknął o podłogę. Kane stał teraz naprzeciw Marila z jedną ręką bezwładną. Purpurowa żądza mordy ogarnęła wszystkie zmysły Kane'a. Ignorując ból, Kane ostrożnie okrążał Marila, czekając na chwilę nieuwagi z jego strony. Twarz wykrzywił mu wściekły grymas, jego topór zakreślał błyszczące kręgi.

Maril lekkomyślnie dał się ponieść swemu pragnieniu zabicia nienawidzonego wroga. Kane'owi wystarczyło małe poślizgnięcie. Wykonał właśnie fintę swym ciężkim toporem i szybko uskoczył, gdy miecz Marila wściekle gwizdnął mu nad głową. Przez chwilę cesarz mocno wychylił się pchany impetem ciosu, który miał ściąć głowę. Topór Kane'a błysnął z ogromną szybkością i wbił się w zbroję i klatkę piersiową Marila. Z oczyma wciąż przepełnionymi nienawiścią Netisten Maril upadł na posadzkę i brocząc obficie krwią zmarł u stóp Kane'a.

– No cóż, zabiłeś go – zauważył Arbas, który przyglądał się pojedynekowi z wielkim zainteresowaniem. – Wydaje mi się, że Efreł nie będzie zachwycony. A w dodatku widzę, że nasz przyjaciel Alremas przedostał się tu akurat w samą porę, by stać się świadkiem ostatniej walki cesarza. Jestem pewien, że nie będzie marnował czasu i natychmiast doniesie Efreł, kto go zabił. Kane, może nie powinniśmy się śpieszyć z powrotem na Pellin.

Kane zaklął i obejrzał swoje poważnie zranione ramię.

– Mam ją gdzieś. Porozmawiam z Efrel! Miałem dać się zabić Marilowi tylko po to, żeby zaspokoić jej zachciankę? Dałem Efrel cesarski tron – a jeśli Imel przyprowadzi M’Cori, powinna być zadowolona.

Imel w tym czasie przedostał się do komnat M’Cori. Tam renegat i jego ludzie wybili resztki straży i wyważyli drzwi do jej pokoi. Buntownicy wpadli między rozkrzyczane służące i wojowniczym krokiem podeszli do M’Cori.

M’Cori stłumiła targające nią przerażenie i wstała dumnie na widok wyszczerzonych w uśmiechu intruzów. Myśl o samobójstwie przebiegła jej przez głowę, ale wydała się zbyt odrażająca. Dopóki życia, dopóty nadziei – a dopóki nie dowie się, że Lages został zabity, będzie czekać.

Sycąc się jej pięknem, Imel przeklinał Efrel, że zastrzegła ją sobie do własnych celów. Ta dziewczyna byłaby odpowiednią nagrodą dla najbardziej cenionego sługi czarownicy.

– Chodź ze mną cicho, a obiecuję, że nie stanie ci się krzywda – powiedział do swojej blond branki. – Jesteś przecież szanowanym więźniem. Mamy cię eskortować do cesarzowej w Prisarte.

– Nie ma nic podlejszego od renegata – syknęła M’Cori.

– Lepiej być zwycięskim renegatem niż pokonanym patriotą. – Imel wzruszył ramionami. Rozkazał, by ją związano, i zaprowadził ją do Kane’a. Gdzieś indziej w splądrowanym mieście będą dziewczęta o mniej surowych zasadach.

W tym czasie, wśród chaosu na zalanych krwią ulicach, Lages wciąż prowadził zacieklą obronę. Oddzieliwszy się wcześniej od swego stryja, by wyjść na spotkanie ataku buntowników, Lages został ominięty przez główne natarcie najeźdźców. W rezultacie tego przypadku Lages wraz z małą grupką cesarskich żołnierzy wciąż krążył po ulicach, na których toczyły się walki, i napadał na rozproszonych rabusiów. Wiedząc, że cesarska stolica jest już stracona, Lages nie myślał o ucieczce – miał zamiar zginąć w walce wśród popiołów swego miasta.

Wtedy dotarł do niego posłaniec z wiadomością o upadku pałacu, śmierci cesarza i porwaniu M’Cori. Słyszając te wieści Lages wpadł w samobójczą furję – zaczął krzyczeć do swoich ludzi, by poszli za nim ratować M’Cori, choć było to niemożliwe. Jego zmęczeni żołnierze powstrzymali go jednak i przekonali, że nie

miałoby sensu marnowanie życia w beznadziejnym ataku na Kane'a i jego armię maruderów.

W końcu Lages zdał sobie sprawę z beznadziejności sytuacji. Wydał rozkaz, by wszyscy lojaliści przyłączyli się do niego, a potem niechętnie wycofał się ze swą grupką znużonych bitwą żołnierzy.

Zbierając niedobitków po drodze, oddział wyszedł z płonącego miasta i udał się w stronę wzgórz Thovnos, gdzie można było zorganizować partyzantkę przeciwko zdobywcom cesarstwa.

I tak oto padło Cesarstwo Thovnozyjskie, w krwi i płomieniach – z ręki człowieka, który pośrednio przyczynił się do jego powstania.

28.

RĘKA KANE'A

W całym Prisarte buntownicy świętowali burzliwie zwycięstwo. Napięcie związane z bitwą nagle ustało i przerodziło się w triumfalną histerię. Zrabowane złote i wino płynęło obficie, tańczono na ulicach i urządzano głośnie pijackie burdy.

We wnętrzu czarnej fortecy Dan-Legeh panowała zupełnie inna atmosfera. Efrel szalała z wściekłości. Przez godzinę wrzeszczała jak opętana i obrzucała wyzwiskami Kane'a. W tym obłąkanym stanie nic dla niej nie znaczyło zwycięstwo nad Cesarstwem Thovnozyjskim. Czarownica wiedziała tylko, że Kane sam zabił jej wroga. Jego niewyobrażalna głupota pozbawiła ją na zawsze możliwości zrealizowania dawno wyśniewanej i upragnionej zemsty. Od miesięcy utrzymywała ją przy życiu nienawiść do człowieka, który pohańbił ją i okaleczył – a teraz nawet jej zemsta nie mogła osiągnąć Netistena Marila.

Oxfors Alremas zadufany w sobie przyglądał się, jak Kane ze stoickim spokojem znosi nie kończącą się tyradę Efrel. Chwilami była w stanie wydać tylko przenikliwy, niezrozumiały wrzask wściekłości. Alremas nigdy nie widział jej w takim gniewie. Z zadowoleniem stwierdził, że nie będzie już musiał martwić się o Kane'a. Kiedy jego rywal popadnie w niełaskę, nietrudno będzie przekonać Efrel, że Kane jest zbyt niebezpieczny. Wtedy pozostanie już tylko kwestia legalnego morderstwa.

Kane zrezygnował z wszelkich starań rozsądnego porozmawiania z Efrel. Zdając sobie sprawę, że w tej chwili jest daleka od wszelkiej racjonalności, zaparł się i czekał, aż jej gniew osłabnie. Zajęło to nieco czasu, ale wreszcie jej tyrada ucichła. Zanim zdążyła zacząć od nowa, Kane pośpiesznie wtrącił się.

– Wypełniłem twoje rozkazy pod każdym względem, z wyjątkiem tego jednego. Czy przedtem miałaś jakiś powód, by krytykować mnie lub moje metody? I pomimo tego, co mówią niektóre kłamliwe języki, chciałem tylko rozbroić Marila. Ten głupiec nie chciał się poddać – niemalże rzucił się pod mój topór.

Jak więc mam ponosić winę za jego śmierć? Zapomnij o tym jednym kaprysie zemsty. Czyż nie oddałem cesarstwa w twoje ręce? Dokonałem wszystkiego innego, czego się podjąłem dokonać w twojej służbie. I pamiętaj, że masz jeszcze M'Cori i na niej możesz się zemścić.

Dziwny błysk pojawił się w oku Efreł. Zdawało się, że jej uwaga nie była już skupiona na Kanie, ale na jakiejś skrytej myśli.

– Tak, ale kto inny był odpowiedzialny za jej złapanie – zasyczała.

– Czy mogę zauważyć pewną różnicę między złapaniem nastoletniej dziewczyny a pokonaniem doświadczonego wojownika? W każdym razie wszystko zostało wykonane zgodnie z moimi rozkazami. – I zaraz dodał chytrze. – Lages jest wciąż na wolności i dowodzi małą niby-armią. Dopóki on i jego partyzanci nie zostaną zniszczeni, groźba zawsze będzie wisiała nad tobą. Być może uważasz, że ktoś inny powinien zająć się Lagesem.

– Nie, do diabła! – warknęła Efreł w bezsilnej wściekłości. – Nadal chcę, żebyś to ty wykorzenił resztki oporu w cesarstwie. Kiedy tego dokonasz, możesz żądać nagrody. A teraz precz z moich oczu – zanim spotka cię los, jaki przygotowałam dla Marila.

– Dzięki ci za łaskawość – powiedział sucho Kane, próbując ukryć swe uczucia. – Zapewniam cię, że Lages zostanie natychmiast dostarczony w twoje ręce dla sprawienia ci przyjemności.

Pośpiesznie opuścił salę narad z twarzą ściągniętą zimnym gniewem.

Na zewnątrz czekał na niego Arbas.

– Nie byłem wcale pewny, czy wyjdiesz stamtąd cały! – zaczęła. – Wiesz, jej krzyki słychać było w całej twierdzy. Do licha! Nigdy jeszcze nie słyszałem kogoś tak wściekłego!

Kane mruknął coś i szedł w milczeniu.

– Chodźmy gdzieś, gdzie będziemy mogli porozmawiać – burknął wreszcie.

– Każda karczma nada się do tego. Dziś jest za dużo hałasu i pijaństwa na szpiegowanie. W każdym razie – dodał zabójca po zastanowieniu – będzie to okazja, żeby się upić, jeśli nic innego się nie uda.

A więc wreszcie znaleźli drogę do hałaśliwej tawerny, gdzie

tłumy utrudzonych bojem żołnierzy urządziły głośną hulanekę, na której nie brakło wina ni kobiet. Przeciskając się do stosunkowo luźnego kąta sali, Arbas i Kane wzięli po drodze kufle piwa i usiedli. Arbas przyglądał się tańczącym dziewczynom, ale pod tą maską krył się prawdziwy niepokój.

– Sądzę, że wiesz, co chcę powiedzieć – zaczął Kane niskim głosem. – Nigdy nie miałem zamiaru zostawiać władzy nad nowym cesarstwem w rękach tej wariatki. Miałem nadzieję, że będę mógł zwlekać aż do odpowiedniego momentu. Teraz wydaje się, że będę musiał działać szybciej, niż zamierzałem.

Zmarszczył brwi przypominając sobie pogardliwy i wyniosły uśmiech Alremasa podczas jego utarczki z Efrel.

– W każdym razie nie mam innego wyjścia. Alremas patrzył na mnie, jakbym był starym przyjacielem chorym na jakąś śmiertelną chorobę. Wojna wycieńczyła siły nie tylko cesarstwa, ale i Efrel. Mogę liczyć na wystarczająco dużo ludzi, by mi się udało. Najemnicy spoza cesarstwa pójdą za mną tak samo, jak większość z tych, którzy byli po stronie Efrel tylko dla zysku. Imel będzie ze mną, to wiem. Efrel może liczyć tylko na Pellińczyków, jeśli chce podtrzymać żądanie pretendowania do tronu.

Zabójca popijał swoje piwo w zamyśleniu.

– Więc wydaje ci się, że zdołasz zdobyć wystarczające poparcie? Przecież wystąpisz przeciwko całemu Pellinowi i czarom Efrel.

– Tak mi się wydaje. Mam zamiar dokonać zamachu stanu, a nie podboju. Uderzymy szybko i po cichu. Zanim ktokolwiek zorientuje się, co się dzieje, będzie za późno, by coś poradzić. Poza tym mamy M’Cori – i jeśli się nie mylę, ona sprowadzi nam pomoc.

– Co masz na myśli? – zapytał Arbas, czkając i napełniając ponownie kufle.

– Lages ukrył się gdzieś w Thovnos ze sporą grupą ludzi. Przydaliby nam się. Kiedy zaproponuję mu możliwość ocalenia M’Cori z rąk Efrel, jestem pewien, że ten dureń przyłączy się do nas. A potem coś może mu się przydarzyć.

Spojrzenie oczu Kane’a sięgnęło poza to pomieszczenie.

– Raz niemal miałem już w rękach to miejsce. Nie mam zamiaru pozwolić, by wyślizgnęło mi się po raz drugi.

29.

ZEMSTA EFREL

Głęboko pod ziemią, na której tej nocy trwały pijaństwa i zabawy, dymiące, żółte płomienie wielkich lamp oliwnych rzucały światło na mroczny obraz upiornych przeciwieństw. W swej podziemnej komnacie Efrel stała napawając się widokiem skutej łańcuchami M'Cori.

Widok przedstawiał absolutne skrajności kobiecej duszy. M'Cori siedziała skulona, w łańcuchach, przed tą, która ją więziła. Niewinna i naiwna, o włosach blond i jasnej skórze, o twarzy i całej postaci wyrażającej delikatną, kruchą urodę – M'Cori była prawdziwym dzieckiem światła.

Przed nią kroczyła kobieta o zimnym sercu i pajęczej chytrłości. Efrel – czarnowłosa i blada, niesamowita piękność, zepsuta i potwornie zniekształcona. Efrel – królowa nocy. Dusza, która kochała świat dziennego światła, została uwięziona przez duszę przepęloną złem i nienawiścią.

M'Cori odsunęła się do tyłu tak daleko, jak jej pozwoliły łańcuchy przykute do podłogi – kuląc się ze strachu przed złośliwą kpina kobietą, która patrzyła na nią mrużąc powieki. Efrel przyglądała się swojej przerażonej ofierze z rozkoszą.

– M'Cori, kochanie, nie poznajesz mnie? – kpiła. – Czyżbyś zapomniała o Efrel? To prawda, że byłam dużo piękniejsza, kiedy przebywałam na dworze twego ojca – ale on już się tym zajął, prawda? Jaka szkoda, że Maril umarł i nie zobaczył jeszcze raz tego piękna, które stworzyła jego nienawiść. Czy płakałaś, kiedy umarła Efrel? – Zachichotała na widok strasznego przerażenia zastygłego na twarzy uwięzionej dziewczyny. – Lecz, o ile pamiętam, nigdy nie obchodziła cię Efrel, prawda? Efrel była zbyt mrocznym duchem, by zasłużyć na łaskawość twych drogich myśli. Cóż, wybaczam ci to – wszystko ci wybaczam, teraz bowiem wszystko mi wynagrodzisz.

Przyjrzała się z uwagą kruchej urodzie M'Cori.

– Oszczędzę ci losu, jaki zaplanowałam dla twego ojca. Śliczna

M'Cori, nie powinnaś się bać Efrel. Żaden nóż oprawcy nie będzie pieścił miękkiej skóry M'Cori. Ach, zawsze byłaś takim cudnym dzieckiem, prawda? Niektórzy nawet twierdzili, że byłaś piękniejsza ode mnie. Piękna dziecino, pozwól mi obejrzeć więcej twego ciała!

Dłonie Efrel dziko pochwyciły M'Cori, zdzierając z jej ramion jedwabną suknię. NTCori wyszarpnęła się z jej zaciskających się palców.

– Efrel! Czemu to czynisz? – powiedziała jękając się. – Nigdy ci źle nie życzyłam! Obiecano mi, że będę traktowana z szacunkiem. Zamiast tego zakułaś mnie w łańcuchy w swoich lochach i grozisz mi torturami!

– Torturować ciebie? – Efrel zaśmiała się opętańczo. – Nie, możesz być pewna, że nie uszkodzę nawet najmniejszego włosa na twoim złotym ciele. Och, nie! Ale, jak się wkrótce dowiesz, mam wszelkie prawo, by poznać całe twoje piękno.

Kołysała się przed swą ofiarą jak wąż przed zahipnotyzowanym ptakiem.

– Czy wiesz, co zaplanowałam dla ciebie, droga M'Cori? Nie tortury, obiecuję. Czy zajmowałaś się kiedyś sztukami z dziedziny okultyzmu? Słodka M'Cori, ty drzysz. Jak mogłam zapomnieć – twój jasny, mały świat obracał się wokół szczęśliwszych rozrywek. M'Cori zawsze żyła w świecie, który był ogrodem pełnym kwiatów – jej życie było zabawą pełną przygód i dziecinnego śmiechu. Nic dziwnego więc, że okazujesz taki wstręt do czarnej magii.

Z Efrel było zupełnie inaczej. Byłam dużo młodsza od ciebie, piękna dziecino, kiedy po raz pierwszy wyrwałam serce dziewczicy z jej piersi i ofiarowałam je wyjącemu demonowi ze świata za nocą. Lecz M'Cori czytała głupiutkie wiersze o miłości, a nie splamione krwią księgi magiczne. Poza tym mogłybyśmy być siostrami z powodu niewielkiej różnicy wieku – ale ty bawiłaś się w słońcu, podczas gdy Efrel tańczyła w ciemności oświetlonej siarką. Zastanawiam się jednak, czy mogłabyś stać na moim miejscu, marzyć o nienawiści i zemście jak ja, gdyby to nie Efrel, ale M'Cori Netisten Maril rzucił bykowi? Moi bogowie ocalili mnie, bym wypełniła swe przekleństwo. Czy ty zrobiłabyś to samo?

Wciąż widzę tylko przerażenie w twoich oczach. Słodka M'Cori

czuje litość tylko dla ładnych rzeczy. Kiedy ratowałaś szarpiącego się motyla z wiążącej go pajęczyny, najdroższa M'Cori, czy uroniłaś łezkę nad pajakiem, który w ten sposób umarł z głodu? Czy myślałaś kiedykolwiek, drogie dziecko, kim mogłabyś się stać, gdyby nasze życia zostały zamienione?

Czy współczułaśbyś pajakowi, gdybyś urodziła się dzieckiem nocy? Gdyby w twoim sercu była ciemna, pellińska krew zamiast rozwodnionej krwi Netistenów – może wtedy piękna M'Cori nauczyłaś się nucić zaklęcia zamiast recytować przesłodzone poematy. Być może M'Cori porzuciłaś swoje kwiatowe ogrody dla dających władzę ziół i spędzała noce na ślęczeniu nad tajemniczymi zdaniem zapisanymi na ludzkiej skórze.

Ale mówiłam o czarnej magii. Gdyby twoje dzieciństwo upłynęło tak jak moje, być może wtedy słyszałaśbyś o starym zaklęciu transmigracji. Mogłabyś wiedzieć, że przez pewne czary można oddzielić duszę od jej ziemskiego ciała i przenieść ją gdzieś przez kosmos, że poprzez potężne zaklęcia uwięziona dusza może zostać skradziona z jej właściwego ciała i przeniesiona do innego. Może nawet wiedziałybyś, jak wypowiedzieć to trudne zaklęcie, dzięki któremu ludzka dusza może przejść z jednego ciała do drugiego – wyrwana ze swej postaci materialnej i uwięziona w ciele znawcy tej sztuki.

Efrel zna takie zaklęcia, moja piękna.

Efrel chwając się podeszła do kulającej się ofiary. Jedną ręką uniosła jej podbródek, drugą zsunęła podartą suknię z ramion M'Cori. Twarz dziewczyny była pusta, zastygła w wyrazie zdumienia i strachu.

– Teraz rozumiesz, czemu twoje ciało tak mnie interesuje? Droga M'Cori, patrzysz na mnie tak niewinnie i nic nie rozumiesz. Czy muszę powiedzieć to, czego twój naiwny umysł nie chce przyjąć?

Roześmiała się z szaleńczą radością, kiedy M'Cori krzyknęła z przerażenia.

– Tak! Tak, moja śliczna! Dlatego właśnie ocaliłam cię przed tymi prymitywnymi narzędziami tortur. Żadna krzywda nie stanie się ślicznej, ślicznej M'Cori. Wkrótce bowiem twoje ciało będzie należało do mnie, a twój duch uwięziony zostanie w tej zniszczonej skorupie, która kiedyś była Efrel! Pomyśl tylko o tej

ironii! Własna córka Marila uwięziona w okaleczonym ciele, którego niegdyś pożądał i które zniszczył. A kobieta, którą skazał na okropną śmierć, jest żywa i znowu piękna w ciele jego córki.

Zszokowana i otępiała ze strachu M'Cori patrzyła, jak czarownica pada na posadzkę, zanosząc się opętańczym śmiechem. Na wpół przytomna, jak w złym śnie kulila się w łańcuchach, podczas gdy szydząca wariatka skakała wokół niej, zdzierając z niej ubranie i chciwie głaszcząc jej ciało. Poznaczona bliznami twarz Efrel chichotała oddalona zaledwie o cale od jej własnej twarzy. Ostre paznokcie wpijały się w jej nagie ciało. Poszarpane wargi szeptały nieznośne żądania i obietnice wprost do jej uszu.

M'Cori usiłowała odczołgać się, lecz łańcuchy krępowały jej przeguby i kostki. Próbowwała walczyć, ale nie mogła sprostać szalonej sile czarownicy. Jej krzyki ginęły w mrokach ukrytej komnaty. Jej ubranie było już w strzępach. Dłonie Efrel błędziły po jej nagim ciele. Przygniatał ją ciężar wijącego się ciała czarownicy, teraz również nagiego. Poszarpane wargi pieściły jej twarz, ssały jej wargi, szczypały w piersi. M'Cori jęknęła z odrazy, gdy Efrel siłą rozsunęła jej nogi i nagięła bezbronne ciało, by służyło jej żądom.

Chora z obrzydzenia i nienawiści M'Cori wiała się bezradnie pod bestialską napaścią szalejącej czarownicy. Jej dusza kurczyła się z przerażenia, gdy fala zła przygniotła ją do kamieni, dławiąc urywany oddech. Ból, mdłości i wstyd wstrząsały jej pogwałconym ciałem w wielkich paroksyzmach. Poczowała, że spada w głęboką, czarną studnię i gdzieś w tym koszmarze nadeszła nieświadomość.

Jakiś czas później, kiedy M'Cori obudziła się, przez chwilę nie mogła zorientować się, gdzie jest. W swej słabości sądziła jeszcze przez chwilę, że wciąż jest w szponach niespokojnego, gorączkowego snu. Potem zobaczyła ciemne kamienie, łańcuchy, podarte ubranie, swoje podrapane i posiniaczone ciało – i zrozumiała, że koszmar był rzeczywistością.

Niepewnie usiadła, modląc się, by ta przerażająca scena rozplynęła się we fragmenty snu. Ściany jednak nie zachwiały się i nie ustąpiły mdłości. Osobliwe zapachy przepełniały powietrze, błękitne światełka migotały w ciemności. Rozglądając się M'Cori

zobaczyła, że przykuta jest teraz w środku wielkiego koła.

Dźwięk złego śmiechu sprawił, że westchnęła z przerażenia.

– Tak szybko wróciłaś do mnie, kochanie? – szydziła Efreł. – Czy to namiętność sprawiła, że zemdłałaś pod moimi czułymi pieściami, ślicznotko? Wzruszająca skromność, biorąc pod uwagę, że nie jesteś nawet dziewczycą.

Zaśmiała się okrutnie i nachyliła, by przyjrzeć się wielkiej księdze o pergaminowych stronach. Wokół niej znajdowały się sterty innych dziwnie oprawionych dzieł mniej lub bardziej starożytnych oraz słoje i ampułki barwników, kred, kadzideł, jak również niewiadomego pochodzenia proszki i eliksiry służące jej do czarów. Sądząc po ilości okultystycznych przedmiotów, które zebrała razem czarownica, widać było, że Efreł pracuje nad jakimś wielkim czarnoksiężskim zadaniem.

– Wyglądasz na zainteresowaną – zakpiła czarownica. – W każdym razie powinnaś być. W końcu zakłęcie będzie miało dla ciebie wcale niemałe osobiste znaczenie, prawda? Poza tym to bardzo interesujące zakłęcie – i do tego nadzwyczaj trudne. Potrzebne mi będzie kilka dni na przygotowanie wszystkiego, zanim będę mogła przystąpić do samego zaklinania. Jednakże dobrze byłam przygotowana na taki triumf, więc nie będziesz musiała znosić niewygód długo. Kilka dni to nic dla kogoś, kto już przecierpiał całe swoje życie w bólu i hańbie, jak ten kaleki potwór, którego twój ojciec uczynił ze mnie.

Biedna, śliczna M'Cori. Mam nadzieję, że zwłoka nie znuży cię. Znajdziemy sposoby, by zabawiać się nawzajem od czasu do czasu, tylko ty i ja. A jeśli będzie ci się nudzić, spójrz po raz ostatni na swoje piękne ciało. Możesz stwierdzić, że twoje nowe będzie czymś zupełnie odmiennym.

M'Cori wyciągnęła się na zimnych kamieniach i szlochała rozpaczliwie.

30.

NIESPODZIEWANE PRZYMIERZE

– Nie wiem, czemu jeszcze nie wyciąłem twego czarnego serca!
– warknął Lages na powitanie.

Kane wzruszył ramionami.

– Z tego samego powodu, dla którego zgodziłeś się na to spotkanie. Ponieważ chcesz zobaczyć jeszcze M’Cori – wiesz, że jeśli nie zaczniesz działać szybko, może ci się nie spodobać to, co ujrysz.

Zaczekał, aż ten kolec utkwi mocno. Oświadczając, że ma zamiar zgnieść partyzantkę Lagesa bez chwili zwłoki, Kane popłynął na Thovnos niemal natychmiast po swym ostatnim spotkaniu z Efrelem. Zabrał ze sobą spory oddział ludzi wciąż mu wiernych – byłych piratów, rozbójników, najemników i paru ambitnych awanturników.

Thovnozjańskiego renegata Kane zostawił w Prisarte, by zebrał więcej ludzi i czekał przygotowany przy twierdzy Pellinów na jego powrót. Efrelem, jak Kane dowiedział się, skryła się w swojej tajnej komnacie, rozkazując, by pod żadnym pozorem jej nie przeszkadzać. Jej postępowanie nie zapowiadało nic dobrego dla M’Cori, ale było idealne dla zamysłów Kane’a.

Ustalenie, gdzie ukrywał się Lages i jego ludzie, nie było zbyt trudne dla człowieka o takiej pomysłowości jak Kane – ale umówienie się na spotkanie okazało się niejakim problemem. Desperacja i kuszące możliwości, jakie proponował Kane, skłoniły Lagesa do podjęcia ryzyka. Umówili się na spotkanie w opustoszałej okolicy wielkich lasów, które pokrywały większość Thovnos. Każdy z nich przywiódł ze sobą po pięćdziesięciu ludzi – dobrze uzbrojonych i podejrzewających podstęp. Kane domyślił się, że Lages ma prawdopodobnie dużo więcej ludzi w zasięgu głosu – ale, w końcu, on też miał.

– Zakładam, że rozumiesz, co proponuję – rozpoczął Kane.

– Twój posłaniec wyraził się wystarczająco jasno – odpowiedział Lages ponuro. – Powiedz mi tylko, dlaczego miałbym ci zaufać? Niezależnie od legend, które opowiadają o Rudym Kanie, wyrządziłeś dość szkód cesarstwu w ciągu ostatniego roku, by imię Kane stało się przekleństwem na następne stulecia. Wiem, że nie miałbyś skrupułów wywabiając nas z ukrycia, a potem chwytając nas w potrzask i mordując do ostatniego człowieka.

– To prawda – przyznał łaskawie Kane. – Nie masz powodów, by mi ufać. Zastanów się tylko: dowiedziałem się bez trudu, gdzie ukrywasz się ty i twoja banda. Gdybym naprawdę chciał was zniszczyć, przyprowadziłbym dużą armię, otoczył was i starł z powierzchni ziemi. Wówczas nie musiałbym ryzykować głową, próbując układać się z tobą.

A teraz pomyśl: w rękach Efrel jest twoja przyjaciółka M’Cori – i możesz być pewny, że ta czarownica ma w zanadrzu coś niemiłego dla niej. W gruncie rzeczy Efrel prawdopodobnie podejrzewałaby mnie o zdradę, gdyby nie była tak zajęta swoją ofiarą.

Och, nie sądź, że już wyrządziła jej zbyt dużą krzywdę! – wtrącił Kane, by przerwać wybuch Lagesa. – Cokolwiek ma zamiar z nią zrobić, potrwa to długo. Najprawdopodobniej zacznie tylko od cierpień psychicznych – nic, co zostawia blizny na ciele. Widziałem, że Efrel lubi bawić się swoimi ofiarami. Ale możesz być pewny, że będziesz musiał działać bardzo szybko, jeśli chcesz ocalić M’Cori – a ukrywanie się tu w górach niczego nie zmieni. Oprócz tego, jeśli nie uda mi się zrobić z ciebie sprzymierzeńca, nie pozostanie mi nic innego, jak samemu cię zabić.

Kane nachylił się poufale, starając się wykorzystać przewagę.

– Prawdę mówiąc, ja i moi ludzie już polowalibyśmy na ciebie, gdybym nie dowiedział się, że Efrel ma zamiar pozbyć się mnie, jak tylko unicestwień wszelki opór przeciw jej rządowi. Ta czarownica posunęła się za daleko, kiedy zaczęła spiskować przeciwko mnie.

Co więcej, obrzydły mi jej metody – te ohydne morskie demony, z którymi zawarła pakt. Pomimo kłamstw, jakie słyszałeś o mnie, wstąpiłem na służbę Efrel tylko po to, by

dowodzić jej wojskami – to samo uczyniłby każdy najemny generał. Czarna magia i masowe mordy budzą we mnie odrazę, nie wspominając już nawet o tej bezbożnej umowie z Scylredi. Oddałem jej na usługi swój miecz jako generał, a nie czarnoksiężnik, i walczę bronią ze stali, a nie nieludzkimi czarami. Skończyłem z walką dla tej obłąkanej kobiety – nawet gdybym nie był pewien, że chce mnie zgładzić, kiedy wykonam już jej polecenia.

Więc tak brzmi moja propozycja: chcę, by Efrel zginęła. Ty też chcesz, by Efrel zginęła. Pomożesz mi i razem dokonamy tego. W zamian dostaniesz M'Cori – i jeśli przysięgniesz mi wierność, otrzymasz z powrotem Thovnos. Oczywiście zatrzymam dla siebie tron cesarza i ustanowię swoją siedzibę na innej wyspie.

– To wszystko bardzo logiczne, ale nadal nie mogę ci zaufać! – warknął Lages, myśląc o tym, jak długo pozwoli Kane'owi uzurpować prawo do cesarskiego tronu.

– No więc? Zaryzykuj. Zawsze popierałeś przegrane sprawy. Jeśli zostaniesz teraz w górach, nie osiągniesz nic, z wyjątkiem tego, że cię zabiją. Przyłącz się do mnie, a dostaniesz dziewczynę i królestwo. Dobrze wiesz, że to i tak więcej, niż Netisten Maril miał zamiar naprawdę ci dać.

Lages najeżył się, ale przemyślał wszystko dokładnie. W rzeczywistości miał niewielki wybór – i wiedział o tym. To było szaleńcze ryzyko, ale Kane był jego jedyną nadzieją.

– Dobrze – powiedział wreszcie. – Jestem z tobą. Ale jeśli to pułapka, Kane – ostrzegam cię...

– Wiedziałem, że można mówić z tobą rozsądnie – pogratulował mu Kane, ściskając jego dłoń. Lages miał przez chwilę uczucie déjà vu. – Teraz musimy szybko ułożyć plan.

31.

ZBIERZCIE SIĘ, BOGOWIE

Ciemną nocą, jakieś pięć dni po opuszczeniu Thovnos, Kane wpłynął do portu w Prisarte. Jego okręty aż trzeszczały w szwach zatłoczone niemal tysiącem imperialnych żołnierzy. Doliczając do tego jeszcze siedmuset ludzi, których zostawił z Imelem w Prisarte, Kane obliczył, że ma dość wojska, by zniecka zdobyć Dan-Legeh i utrzymać twierdzę do czasu, gdy miasto przyzwyczai się do nowych rządów. Nikt nie zauważył nic nadzwyczajnego, gdy żołnierze opuszczali statki w mroku. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że Kane powrócił z normalnej kampanii.

Szybko spotkał się z Imelem i powiadomił go o przymierzu z Lagesem. Renegat zdał mu sprawę za czas jego nieobecności. Imel nie posiadał się z entuzjazmu.

– Sprowadziłem tyle pomocy, ile miałem śmiałość. Mógłbym więcej, ale obawiałem się wykrycia. Poprą cię, kiedy tylko wykonasz pierwszy ruch. Tylko Pellińczycy zostaną wierni Efrel, przynajmniej tak mi się wydaje. Mimo wszystko dla większości ludzi Kane jest ich przywódcą, a nie jakaś szalona czarownica w Dan-Legeh.

Jak do tej pory nie było żadnych kłopotów. Efrel nie widziano od kilku dni. Chodzą słuchy, że wiedźma siedzi wciąż zamknięta w swej tajnej komnacie z M'Cori – tylko księżę Tloluin wie, jakie męczarnie musiała przejść ta dziewczyna w tym czasie. Większość Pellińczyków jest zbyt zajęta świętowaniem, by zwrócić uwagę na to, co się dzieje. Powinniśmy zwyciężyć bez trudu.

– Nie pomijaj Efrel tylko dlatego, że jej nie widać – ostrzegł go Kane. – Ta wiedźma chowa jeszcze na pewno parę sztuczek w zanadrzu. Nie zapominaj, że napadamy na nią w jej własnym leżu.

– Scylredi nie pomogą jej na lądzie – powiedział Imel z wyraźną ulgą.

– To prawda. – Kane podrapał się po brodzie w zamyśleniu. Ta

noc zadecyduje o losie zbyt wielu sprzecznych ambicji. Być może również jego własnych. Uśmiechnął się niewesoło i wyciągnął miecz.

– Ruszajmy! – rozkazał Kane.

– Twój czas upływa! – syknęła Efrel, rysując ostatni szczegół pary skomplikowanych pentagramów na kamiennej posadzce. Osłabiona z przerażenia i z powodu wstrętnych narkotyków, które musiała tykać, M’Cori leżała jęcząc pośrodku jednej ze skomplikowanych figur. W innej znajdowała się Efrel wraz z kilkoma przedmiotami potrzebnymi do odprawienia ostatnich czarów.

Efrel była znużona brakiem snu, lecz jej obłąkany umysł nakazywał ukończenie wielkiego zamysłu – z przerwami tylko na posiłki i krótki odpoczynek. Zakłęcie transmigracji było nadzwyczaj skomplikowane i trudne. Wiele składników trzeba było przygotować specjalnie dla zakłęcia i często wiele stron inkantacji należało przeczytać w ciągu jednej fazy. Całe dwa dni upłynęły na przygotowanie zwyczajnie wyglądającej mazi, która potrzebna była do uformowania małej, lecz koniecznej figurki w środku bliźniaczych pentagramów.

Teraz ostatnie przygotowania zostały ukończone. Zamykając swój pentagram Efrel podeszła do jego środka i umocowała łańcuch na swojej kostce.

– Kiedy zbudzisz się w moim ciele, nie chciałabym, żebyś powędrowała gdzieś i zrobiła sobie krzywdę – powiedziała do M’Cori w zatroskaniu. – Mimo wszystko upłynie trochę czasu, zanim nauczysz się chodzić na jednej nodze.

Efrel przerwała na chwilę, by nacieszyć się szlochem zrozpaczony dziewczyny, a potem podniosła księgę magiczną i rozpoczęła ostatnie inkantacje.

Odurzonej narkotykami M’Cori wydawało się, że te okropne zakłęcia trwały w nieskończoność. Niesamowity chłód ogarnął jej ciało – odrętwienie, które wkradło się do każdego włókna jej istoty. Dręczyły ją fale mdłości, przerywane palącymi wstrząsami nieznośnego bólu. Coraz bardziej ogarniająca ją senność sprawiała, że oddychanie stało się ogromnym wysiłkiem. Powoli czuła, jak jej dusza jest wysysana w wir ciemności, a jej cielesna powłoka odpływa coraz dalej i dalej od świadomości...

Strażnicy przy miejskiej bramie wciąż nic nie podejrzewali, kiedy grupa swojskich żołnierzy podeszła do nich chwiejnym krokiem i zażądała pijackimi głosami, żeby ich wypuścić. Wtedy nagle błysnęły noże i pellińscy strażnicy zginęli bezgłośnie. Szybko otworzono wrota i Kane prześlizgnął się przez nie – a za nim ciche szeregi jego żołnierzy.

– W porządku, tutaj rozdzielimy się i podejmiemy do Dan-Legeh z kilku stron – rozkazał. – Każdy dowódca grupy ma pamiętać: trzymać się razem, ruszać się szybko i robić jak najmniej hałasu. Mówcie ludziom co chcecie, tylko starajcie się uniknąć walk, zanim nie dotrzecie do twierdzy. Musicie to wykonać, zanim Pellińczycy domyśla się czegokolwiek. Powodzenia!

Kane krótko szepnął ostatnie polecenie Imelowi i Lagesowi, a potem odszedł z Arbasem na czele swojej drużyny.

Marsz przez ulice, ogólnie rzecz biorąc, był spokojny, tylko w kilku przypadkach konieczna była walka. Lecz kiedy żołnierze Kane'a zaczęli się zbliżać z kilku stron do Dan-Legeh, ludzie wyczuli, że coś się dzieje, i co mądrzejsi zamknęli drzwi na zasuwę i postanowili pilnować własnych spraw.

Przy Dan-Legeh strażników zaniepokoił widok dużej grupy żołnierzy idącej ulicami w stronę cytadeli. Bazaltowe mury twierdzy najeżone były bronią i ludźmi pośpiesznie sprowadzanymi w środku nocy. Mimo to dyscyplina była rozluźniona z powodu wielkiego zwycięstwa i duża część ludzi wciąż huląca w mieście. Atak na Dan-Legeh w tym momencie wydawał się zupełnie absurdem – więc tylko nieliczna, niezbędna grupa żołnierzy niechętnie została w twierdzy.

– Co tam się dzieje?! – zapytywał dowódca co jakiś czas. Odpowiadała mu tylko cisza. Kłamstwa mogły jedynie potwierdzić ich podejrzenia.

Wreszcie Kane ocenił, że jego ludzie są już na stanowiskach, i rzucił wyzwanie. Krzyknął:

– To generał Kane! Odkryłem wielki spisek Oxforsa Alremasa mający na celu przejęcie władzy w armii! Przybyłem, by aresztować spiskowców! Jako wasz generał rozkazuję wam oddać Dan-Legeh moim ludziom! Jeśli nie, zwałę ją wam na głowy!

Kapitan nie uwierzył w to.

- To zdrada! Jesteśmy wierni Pellinowi, a nie jakiemuś pirackiemu najemnikowi!

- Otworzyć ogień! - krzyknął Kane i chmura strzał jego żołnierzy podrapała mury. Na ich salwę odpowiedziano podobnie i zaczęła się bitwa o Dan-Legeh.

Pellińczycy mieli mniej ludzi i byli nie przygotowani, ale chroniła ich potężna twierdza. Kane wiedział, że będzie to krwawy bój i że trzeba go szybko zakończyć.

Chowając się za co popadnie, żołnierze Kane'a celnie ostrzeliwali obrońców. Strzały i włócznie spadały jak niewidzialny, morderczy grad i noc rozbrzmiewała wrzaskami i jękami bólu. Ciekawscy obywatele przyszli zobaczyć, co się dzieje - i szybko uciekli lub zostali zabici przez żołnierzy na tyłach. Wieść o bitwie natychmiast dotarła do żołnierzy, którzy biwakowali za murami miasta, ale ci, którzy byli wierni Pellinowi, stwierdzili, że bram miasta pilnowali ludzie Kane'a. Potem, jak tylko rozeszła się wiadomość o zamachu Kane'a, natychmiast zostali napadnięci przez jego zwolenników. Walki rozgorzały w całym mieście.

Fortecę otaczała fosa, przez którą był przerzucony zwodzony most przy głównej bramie. Dzięki zaimprovizowanym mostom z wozów i czego się dało ludzie przedostali się do murów, zasłaniając się połączonymi tarczami i innymi przygotowanymi naprędce osłonami. Chronieni przez celnych łuczników Kane'a, wspięli się wreszcie na mury, chociaż początkowo padło bardzo wielu. Pellińska straż nie miała jednak rezerw, by zastąpić poległych - podczas gdy pod względem liczebności wojska Kane'a przewyższały ich kilkakrotnie. Śmiertelny cios został zadany, kiedy jednemu z ludzi Kane'a na murach udało się wywrócić kocioł z gotującą smołą na żołnierzy, którzy biegli, by ich zatrzymać. Do czasu, gdy Pellińczycy przedostali się przez płonący stos trupów, żołnierze Kane'a zajęli część murów obronnych.

Zdobyto przyczółek. Coraz więcej ludzi wspinało się po linach i drabinach, zmuszając zaciekle broniących się żołnierzy pellińskich do cofania się. Była to zawzięta bitwa, ale wreszcie ludzie Kane'a dotarli do zwodzonego mostu i spuścili go. Główna brama otworzyła się. Na czele swych żołnierzy Kane poprowadził

wyjącą drużynę do wnętrza twierdzy.

Ból zniknął, a potem mdłości. Nawet kosmiczna czerń wreszcie zaczęła ustępować szarości.

Światło.

Dwoje oczu otworzyło się. Emocje zakłóciły ich jeszcze nie opanowaną umiejętność skupienia. Łzy zamazały kontury kształtów, które wyłoniły się z mroku.

Niepewne palce delikatnie pogładziły gładkie rysy twarzy.

Upiorny śmiech triumfu dobiegł z warg, które nigdy przedtem nie wydawały takich dźwięków.

Efrel podziwiała swoje nowe ciało z niewiarygodną radością, kiedy Oxfors Alremas wbiegł do komnaty. Patrzył ze zdumieniem na niesamowitą scenę, jaka roztaczała się przed jego oczyma.

– Witaj, Alremasie – uśmiechnęła się Efrel i przybrała prowokacyjną pozę. – Jak ci się teraz podobam?

Alremas jęknął z niedowierzania i przypatrywał się pięknej blondynce, która przemawiała do niego z akcentem Efrel. Był niewiarygodnie wstrząśnięty, chociaż Efrel wspominała mu o zamierzonej zemście. Przez chwilę stał jak ogłupiały z otwartymi ustami, zanim zdołał wykrztusić:

– Efrel. Na Lato – czy naprawdę udało ci się? Czy naprawdę przeniosłaś swoją duszę do ciała M'Cori?

– Czy mam ci to udowodnić? – roześmiała się uroczo. – Tej nocy, kiedy ukończyłam szesnaście lat, spotkałam się z tobą w ogrodzie, tak jak błagałeś mnie o to, i zaproponowałeś wtedy, żebyśmy zeszli ze ścieżki, by porozmawiać...

Alremas stał w osłupieniu, podczas gdy kończyła anegdotę. Nikt inny nigdy nie dowiedział się o jego próbie uwiedzenia jej, która skończyła się czymś wręcz odwrotnym, kiedy tylko weszli w cień.

– Teraz weź ten srebrny sztylet i otwórz pentagram – rozkazała. Ton i akcent należał do Efrel, chociaż głos był M'Cori. – Tam są również klucze od tych łańcuchów. Pośpiesz się! Chcę poczuć, co to znaczy znowu chodzić.

Doszedłszy do siebie Alremas pośpiesznie wykonał jej polecenie, tłumacząc podnieconym głosem:

– Musisz natychmiast przyjść! Atakują fortecę! Kane powstał przeciwko tobie! W tej chwili jest przy bramie z setką ludzi. O ile

wiem, ten diabeł sprowadził nawet Lagesa z sobą. Nasze sprawy źle wyglądają!

Piękna twarz Efrel wyglądała demonicznie w gniewie.

– Pośpiesz się z tymi łańcuchami, ty durniu! Nie powinnam była pozwolić ujść mu z życiem, kiedy zabił Marila! Inny generał mógł skończyć z Lagesem i jego żalosną resztką cesarskiej armii. Niech będzie przeklęta jego po trzykroć potępiona dusza! Kane zapłaci za zdradę tak, jak jeszcze żaden człowiek nie cierpiał! Przygotuję dla Kane'a przyjęcie, jakiego się nie spodziewa!

Ostatni łańcuch spadł. Wykrzykując przekleństwa, Efrel wybiegła po schodach na górę z komnaty – nie zatrzymując się nawet, by przykryć swą nagość.

Za nią, w ciszy komnaty, N'Cori powoli odzyskała przytomność. Otworzyła swe jedyne oko, spojrzała na swoje ciało – i zaczęła krzyczeć.

Po zabezpieczeniu wejścia do Dan-Legeh oddziały Kane'a szybko uporały się ze strażami na murach i wkroczyły do rozległej twierdzy. We wnętrzu żołnierze roili się jak pszczoły z napadniętego ula. Pellińczycy walczyli zaciekle, ale Kane miał przewagę liczebną. Metr za krwawym metrem, wraz z swymi ludźmi zdobywał przewagę.

Jego prawe ramię było już prawie zagojone dzięki niezwykłym zdolnościom wracania do zdrowia i Kane mógł używać go, chociaż oszczędnie. Z długim sztyletem w prawej pięści i mieczem w lewej Kane walczył jak szaleniec. Twarze wznosiły się i niknęły wokół niego, podczas gdy systematycznie przebijał sobie drogę przez tłum zawzięcie stawiających opór Pellińczyków. Za nim jego ludzie podtrzymywali bezlitosny napór.

Myśląc głównie o M'Cori, Lages wkrótce opuścił Kane'a w zamieszaniu. Wraz z grupą swoich ludzi przemierzał podobne do labiryntu korytarze Dan-Legeh w poszukiwaniu swej ukochanej. Dręczyły go wątpliwości, czy M'Cori jeszcze żyje, a także czy będzie chciała żyć, kiedy ją uratuje. Być może zamordowano ją na samym początku ataku.

Lages i jego ludzie napotykali coraz mniej żołnierzy, w miarę jak zagłębiali się w kręte korytarze, oddalając się od miejsca głównych walk i schodząc na niższe poziomy. Zostawiając bój Kane'owi, Lages podążał dalej, zamierzając poszukać w lochach

M'Cori. Jeśli już się spóźnił...

Wtedy ujrzał ją. W mrocznym korytarzu, naga i przerażoną, biegnącą ku niemu z blond włosami rozwianymi wokół białego ciała.

– M'Cori! – krzyknął, przyciskając mocno jej drżące ciało do siebie. – Dzięki wszystkim bogom, że znalazłem cię bezpieczną! Co oni ci zrobili? Kane powiedział, że Efreł miała zamiar...

Efreł wtuliła twarz w jego ramiona i zaszlochała.

– Kane! Nie wypowiadaj tego przekłętego imienia przy mnie! Dopiero co uciekłam z jego prywatnych pokoi. Och, Lagesie – to było straszne! Ta pierwsza noc, kiedy wszedł i zmusił mnie do poddania się jego woli! Walczyłam, ale on był zawsze silniejszy. Bił mnie, aż nie mogłam znieść więcej bólu, i musiałam poddać się jego zdeprawowanej chuci. Błagałam, by nie...

Korytarz zawirował przed oczyma Lagesa w purpurowej mgle.

– Kane powiedział mi, że jesteś uwięziona przez Efreł – zaczęła dziwnym głosem. – Przyłączyłem się do niego, by ocalić cię i zabić wiedźmę.

– Och, wiem! Kane przechwalał się przede mną swymi planami, zanim wypłynął do Thovnos. Lagesie, Efreł nigdy nie kryła się za tym spiskiem! Ona umarła miesiąc temu na Thovnos. To wszystko był spisek Kane'a. Znalazł jakąś okaleczoną żebraczkę, żeby udawała Efreł – i wykorzystał to oszustwo, by stworzyć załazek buntu, który od dawna przygotowywał w tajemnicy. Teraz Pellińczycy zaczęli podejrzewać podstęp i rozpoczęli działania, by pozbyć się Kane'a. Kane musiał ich zniszczyć, zanim to mogło się stać. Tak więc Kane oszustwem nakłonił cię do pomocy mu w umocnieniu swej złudnej władzy.

Jej twarz wykrzywiał strach. Histeryczne łzy zdusiły jej słowa.

– Och, najdroższy – teraz on cię zabije i znów zabierze mnie do... Nie! Zabij mnie teraz! Proszę! Nie mogłabym znieść jego chuci przez jeszcze jedną noc!

Lages czuł wzbierający huk w głowie. Ledwo mógł się opanować, by mówić sensownie.

– Ukryj się w niższych komnatach. Przyjdę po ciebie, kiedy wszystko się skończy. Nie musisz już więcej bać się Kane'a, przyniosę ci serce tego zdradzieckiego diabła!

Lages odwrócił się i pobiegł korytarzem mamrocząc o zdradzie

i rozkazując swym ludziom roznieść polecenie zaatakowania zwolenników Kane'a.

Efrel pokładała się ze śmiechu.

Pierwszą grupą, na którą natknął się Lages, dowodził Imel, który z kilkoma dziesiątkami ludzi szukał na niższych poziomach pellińskich niedobitków.

– Zdrada! Zabić tych kłamliwych łajdaków! – wrzasnął Lages. – Zostaliśmy zdradzeni!

Dopiero po chwili wahania ludzie Lagesa rzucili się na buntowników. W korytarzu wybuchła zacięta, mordercza walka.

– Co, do diabła! – krzyknął Imel i podniósł miecz na czas, by uniknąć przebicia na wylot przez wściekłego atakującego Lagesa.

– Poznałem prawdę o waszych knowaniach! – warknął Lages, tnąc na oślep. – Czy Kane brał mnie za głupca?!

– Oszalałeś! – wrzasnął Imel, cofając się w popłochu.

W salach powstał chaos zmagających się żołnierzy. Żołnierzy cesarskich było więcej i rebelianci szybko im ulegali. W zamieszaniu zrozumiano tylko krzyk „Zdrada!” – lecz wystarczyło to, by zdetonować ledwo powstrzymaną niechęć żołnierzy imperialnych do buntowników.

Imel zdał sobie sprawę ze swego położenia i ruszył do boju ze zdwojonymi siłami. Jednakże za ciosami Lagesa kryła się żądna krwi wściekłość i jego potężne uderzenia paraliżowały ramię Imela, rozbijając jego tarczę. Renegat poczuł, że ogarnia go bezrozumna panika. Rozpaczliwie usiłował się bronić, lecz miał przeciw sobie lepszego i silniejszego szermierza. Teraz był już jedynym utrzymującym się na nogach rebeliantem. Z goryczą przypomniał sobie dawne ostrzeżenie Arbasa i przeklął ten dzień, kiedy przyłączył się do Kane'a.

Jego obrona słabła i wiedział o tym. Nagłe pchnięcie ześlizgnęło się z miecza Imela i trafiło go w żebra. Imel jęknął z bólu i odsłonił się. Potężnym ciosem Lages rozplątał czaszkę Imelowi.

– Jeden zdrajca już nie żyje! – krzyknął. – A teraz, gdzie jest ten najpodlejszy z nich?!

Żołnierze imperialni biegli krętymi korytarzami zbierając po drodze posiłki. W całej twierdzy wojownicy, którzy dopiero co walczyli ramię w ramię, obrócili się przeciw sobie. Stałe

podejrzenia i zarząca się wrogość wybuchła gwałtowną reakcją.

Wreszcie Lages wpadł do wielkiej sali, gdzie zastał większość sił Kane'a, toczących jeszcze zażartą walkę z niedobitkami straży pellińskiej. Domagając się zemsty żołnierze imperialni rzucili się na niedawnych sprzymierzeńców.

Kompletny chaos ogarnął całą cytadelę, gdy trzy siły starły się w boju na śmierć i życie. W zamieszaniu trudno było odróżnić strony. Walczącym dość było przyjąć, że każdy nie znany im osobiście człowiek był najprawdopodobniej wrogiem.

Lages zauważył Kane'a walczącego u szczytu schodów na balkonie nad wielką salą.

– Teraz zabiję cię, książę zdrajców! – ryknął Lages i rzucił się na Kane'a. – Skryłeś się przed śmiercią po raz ostatni!

Jeden rzut oka przekonał Kane'a, że nie ma co się sprzeczać.

– Ty szalony sukinsynu! – warknął i zasłonił się przed atakiem młodzieńca.

– To za to, co zrobiłeś M'Cori! I Marilowi! I całemu cesarstwu! – krzyczał Lages zadając Kane'owi jeden cios za drugim. Znalazł jednak silniejszego przeciwnika w Kane i lepszego szermierza. Nie był w stanie zmęczyć Kane'a, jak udało mu się z Imelem, nie mógł również zmusić go do pozostania w defensywie.

Walcząc w milczeniu Kane parował każdy cios, odbijał każde pchnięcie i spychał Lagesa w stronę schodów. Kane krwawił z kilku świeżych skaleczeń, a jego zranione ramię zaczęło odzywać się boleśnie. Zaciskając zęby w sardonicznym uśmiechu, Kane śpieszył się z zadaniem ostatniego ciosu przeciwnikowi. Metodycznie nacierał na Lagesa, lecz młodzieniec ciągle mu się wymykał. Gniew i histeria dodały, zdawałoby się, niespożytych sił Lagesowi, który rozpaczliwie walczył z bliska z Kane'em – przyjmując jego ciosy na swą tarczę i zacięcie zadając własne.

Koniec nastąpił niespodziewanie. Kane sparował wściekle pchnięcie, a potem zrobił fintę długim sztyletem, który trzymał w prawej ręce. Lages przesunął tarczę, by przejąć cios sztyletu – na chwilę odsłaniając się – i Kane ciął szerokim mieczem w prawy bok swego przeciwnika. Ostrze weszło głęboko, rozcinając pancerz i kości. Z okrzykiem śmiertelnego bólu Lages upadł do tyłu i potoczył się po schodach w ciemność.

Kane przyglądał się, jak ciało Lagesa toczy się po schodach, a

potem odwrócił się, by wyjść na spotkanie nowemu niebezpieczeństwu. Zabijając żadnego zemsty cesarskiego żołnierza, Kane zastanawiał się, co mogło się wydarzyć, że Lages zaatakował go. Cała sprawa opierała się logice. Jakiś Pellińczyk odskoczył przed pchnięciem Kane'a i został zręcznie przebity przez Arbasa. Zabójca również był zdziwiony nagłym odwróceniem dobrze ułożonych planów Kane'a, lecz jego mordercze umiejętności nie straciły nic ze swej zawodowej finezji. Arbas walczył zawzięcie u boku Kane'a – wiedząc, że jakikolwiek dziwny obrót przybrał los, Kane będzie na finiszu.

– Kane! – zawołał go ktoś.

Co teraz? – zastanawiał się Kane – i obróciwszy się, ujrzał Oxforsa Alremasa.

– Czekałem na tę chwilę! – syknął pelliński władca. – Od początku wiedziałem, że jesteś zdradzieckim piratem. No cóż, Efrel też o tym wie teraz – i szkoda, że muszę cię zabić, zamiast zostawić cię na pastwę jej zemsty. Jest to jedyna przyjemność, której nie podzielę z nikim – nawet z Efrel.

Była to piękna przemowa, ale Kane nie strzepił języka i odpowiedział błyskiem morderczej stali.

Pelliński władca walczył zaskakująco szybko i z kocią gracją. Kane musiał ruszać się błyskawicznie, by odeprzeć każdy cios, a jego prawe ramię stawało się coraz bardziej bezużyteczne. Jednakże Alremas rzadko miał do czynienia z leworęcznym szermierzem i szybkość Kane'a zdumiewała go. Sądził, że taki wielki mężczyzna będzie powolny i niezgrabny. Stwierdził, że nieustannie jest zmuszany do cofania się pod naporem ciosów Kane'a. Przeciwnik parował każdy cios Alremasa z niezmienną zręcznością.

I wtedy, w uniesieniu, Alremas zobaczył, jak czubek jego miecza wbija się w udo Kane'a poniżej brzegu jego kolczugi. To powinno przystopować trochę tego diabła, pomyślał, uśmiechając się i rzucił się naprzód, by wykorzystać chwilową przewagę. Była to ostatnia chwila przyjemności, jakiej zaznał Alremas. Uśmiechając się coraz szerzej, Kane sparował pchnięcie, zatoczył mieczem ciasny krąg i ciął Alremasa w kark. Pelliński władca padł martwy u stóp swego rywala, lecz jego głowa potoczyła się w dół po schodach.

Przyciskając prawą ręką ranę na udzie, Kane zaklął i rozejrzał się wokół. W tym czasie, gdy on i Alremas toczyli pojedynek na szczycie schodów, wszyscy pozostali Pellińczycy zdali się uciec lub polec, a żołnierzy imperialnych spokojnie dobijały resztki drużyny Kane'a. We wnętrzu twierdzy będzie to kwestia tylko wytropienia uciekinierów, a na zewnątrz wszystko musi układać się dobrze dla jego ludzi, w przeciwnym razie pellińskie posiłki dawno by ich już zalały. Nagła zmiana nastroju Lagesa przyczyniła się przynajmniej do unicestwienia ostatecznie pozostałości sił imperialnych.

Zawiązując bandaż na udzie Kane uśmiechnął się, znużony.

– Widzisz, Arbasie – zaczął – wygląda na to, że cesarstwo nareszcie należy do mnie.

Zabójca odwrócił głowę Alremasa ostrożnym dotknięciem buta i skinął głową. Głowa skinęła w odpowiedzi popchnięta jego stopą.

W tym momencie Kane poczuł niezwykłą sztywność wkradającą się do jego ciała. Jego mięśnie zdawały się kurczyć i odmawiać mu posłuszeństwa. Czyżby miecz Alremasa był zatruty? – pomyślał rozpaczliwie Kane.

Wtedy zauważył konsternację Arbasa – zobaczył, że wszyscy wojownicy w okrwawionej sali zatrzymali się w boju. Wszędzie w cytadeli żołnierze poczuli, jak nienaturalne zeszywnienie ogarnia ich mięśnie, siły opuszczają ich członki – a umysły stają się więźniami we własnych ciałach.

Z ogromnym wysiłkiem Kane odwrócił głowę. Jego zaskoczone oczy ujrzały nagą dziewczynę kończącą ciąg tajemniczych ruchów.

– M'Cori?

Przytomność wróciła Lagesowi przez mgłę bólu. Powoli zmusił się do wyprostowania, krzywiąc się z powodu bólu w boku. Ostrze Kane'a wbiło się głęboko i Lages odkaszlnął krwią. Miał złamane kilka żeber i wydawało mu się, że również lewe ramię złamał upadając. Rozejrzał się wokół w zdumieniu. Oprócz stosu trupów w wielkiej sali było pusto.

Jak długo był nieprzytomny? Z pewnością ktoś tu musi jeszcze być – ktoś musiał wygrać. Lages doszedł do wniosku, że walka przeniosła się gdzie indziej. Zastanawiał się ponuro, czy Kane

jeszcze żyje. Martwe ciała na podłodze mówiły, że jego ludzie ponieśli ciężkie straty.

Kurcząc się z bólu, Lages podniósł swój miecz. Muszę odnaleźć M'Cori! – powiedział mu zamroczony bólem umysł, a on powtórzył to trupom. Zmusił się do marszu. Szedł jak we śnie, zdawało mu się, że nogi straciły czucie i nie są częścią niego. Przypominając sobie, że kazał M'Cori ukryć się na niższych poziomach, Lages zaczął iść w tym kierunku.

Korytarze zdawały się nie mieć końca. Lages mijał jedne drzwi po drugich, wołając słabo imię M'Cori. Jego czujne spojrzenie napotykało tylko trupy. Minął ciało Imela; okaleczona twarz patrzyła na niego oskarżycielsko. Chwiejąc się na nogach szedł coraz dalej w głąb czarnego, kamiennego labiryntu.. Czyżby nikt oprócz zmarłych nie został tu, by rzucić mu wyzwanie?

I wtedy Lagesowi wydało się, że słyszy głos M'Cori. Nasłuchiwał w zdumieniu. Tak trudno było słuchać, skupić się – nawet oddychać. Lecz znowu doszedł go dźwięk. Był pewien, że to nie omamy. Zdawało mu się, że gdzieś z głębi słyszy dźwięk głosu M'Cori.

Czarne przejście ziało w ścianie przed nim. Tak. Właśnie stąd dochodził jej głos. Zaciskając mocniej dłoń na rękojeści miecza, Lages wszedł w drzwi i ruszył w dół długimi, mrocznymi schodami.

Schody zdawały się ciągnąć w nieskończoność i Lages zaczął myśleć, że już nigdy nie zobaczy końca. Głos jednak przybierał na sile, więc zmuszał się, by iść dalej. I wtedy, całkiem nielogicznie, schody skończyły się. Lages zobaczył, że stoi na niskim balkonie, z którego szerokie stopnie prowadziły ku podłodze fantastycznej jaskini.

Była tam wielka, czarna sadzawka, a wokół niej stało kilka setek żołnierzy. Dziwne było, że stali tak nieruchomo – przypominali Lagesowi posągi. Wtedy ze zdumieniem poznał, że ci żołnierze byli zarówno jego ludźmi, jak i Kane'a. Tak. Sam Kane też tam był – a z nim Efrel.

Lecz największy wstrząs przeżył Lages, kiedy ujrzał M'Cori kroczącą w tę i z powrotem przed upiornie nieruchomymi postaciami. Co to mogło znaczyć? Cała scena była zupełnie niewiarygodna. W sennym zdumieniu Lages chciał zawołać do

M'Cori. Wtedy dotarły do jego świadomości słowa wypowiedziane przez nią.

– Ach, Kane! Gdybyś tylko mógł zobaczyć, jak byłeś zaskoczony, kiedy poczułeś, że moje zaklęcie odbiera ci siły! Teraz stoisz tu – z wszystkimi tymi zdrajcami, którzy poszli za tobą. Jesteś zupełnie bezradny – nie możesz chodzić ani nawet skinąć głową bez mojego rozkazu. Przypominasz sobie tych innych, których widziałeś zaczarowanych przeze mnie? Przypominasz sobie ich los? Czyż to nie będzie cudowne stać tak bezradnie, kiedy Scylredi przyjdą po ciebie? Tak jak w koszmarnym śnie, kiedy chcesz uciec, krzyczeć – lecz nie możesz. Czyż sam nie opisywałeś tego zaklęcia w taki sposób? Teraz dodatkowo dowiesz się, jak taki koszmar się kończy.

Zaśmiała się okrutnie.

– Czy nie masz żadnych słów, by pochwalić moje nowe ciało? Piękne, prawda? Jeszcze nie miałam serca go zakryć. Takie to miłe z twojej strony, M'Cori, że dałaś mi swoje ciało. Jestem pewna, że twój ojciec zdumiałby się twoją szczodrością. Jaka szkoda, że Maril nie dożył tej chwili, by ujrzeć moją spełnioną zemstę. Ale jeszcze nie spytałam, jak ci się podoba twoje nowe ciało. Przemów do mnie – śliczna, śliczna M'Cori!

– Nie możesz po prostu zabić mnie i skończyć z tym? – odpowiedziała beznadziejnie okaleczona postać.

– Co? Pragniesz śmierci tak szybko? – zadrwiła Efreł. – Głupia, mała suka! Ja błagałam twojego ojca o szybką, czystą śmierć i spójrz, jaką łaskę mi okazał! Cóż za rozczarowanie, że nie mogę postarać się, byś poznała, co znaczy być ciągniętą przez byka przez drwiące miasto! Lecz na tych kościach niewiele zostało do dalszego okaleczenia – prawda, M'Cori? Teraz ja mam ciało pięknej M'Cori! – krzyknęła w uniesieniu. – A ty musisz się zadowolić tym kalekim, które dał mi twój ojciec! W każdym razie jeśli pragniesz śmierci, nie będziesz musiała długo czekać. Wkrótce przybędą tu Scylredi pożywić się. Daję ci wolność. Pozwolę ci zdecydować, czy chcesz zostać na obiedzie z Scylredi – czy pożyć jeszcze w swym nowym ciele.

Nareszcie powoli coś zaczynało świtać w głowie Lagesa. Do jego udręczonego umysłu dotarło, że w jakiś sposób Efreł skradła ciało jego ukochanej. Czarownica popełniła zbrodnię

potworniejszą, niż mógł sobie wyobrazić. Pajęczyny delirium rozwiały się i zobaczył rzeczywistość jasno. Powróciły mu nagle siły. Ból ustąpił.

Z ochryplym krzykiem „Efrel!”, Lages skoczył z niskiego balkonu i rzucił się biegiem w kierunku złowrogiej istoty przebranej za M’Cori.

Efrel odwróciła się zdumiona, gdy zakrwawiony wojownik zaatakował ją. Podniosła rękę, by rzucić zaklęcie, które uwięziło innych jej wrogów i dało jej władzę nad wszystkimi, którzy weszli do jej twierdzy. Nie było jednak czasu, by powstrzymać mściwą zjawę.

Lages wbił miecz w pierś ciała, które kochał – chłodną stałą przebił zbezczeszczone piękno.

Efrel wrzasnęła, gdy jasna krew wytrysnęła z rany. Jej palce bezskutecznie szarpały ostrze. Jej oczy płonęły wielkim skupieniem – a potem na moment stały się puste.

I Lages spojrzał w oczy dziewczyny, którą kochał. Uciekając z umierającej powłoki, Efrel odwróciła psychiczne więzy, wracając do swego ciała – i odsyłając duszę M’Cori do jej dawnego ciała.

– Lagesie... dziękuję ci... ja...

Słaby głos ucichł zupełnie i Lages znów patrzył w martwe oczy.

Chciał zawołać jej imię, lecz słowa uwięzły mu w gardle. Wielki strumień krwi wypełnił jego gardło i ostatni płomień się zgasł. Lages padł martwy na ciało M’Cori.

Chwila ta trwała ledwo kilka sekund. Wystarczyła jednak, by złamać pełną siłę zaklęcia Efrel. Mając umysł wyszkolony w sprawach nadprzyrodzonych, Kane starał się wyrwać spod słabnącego czaru. Wzywając ostatnie rezerwy energii psychicznej, Kane zmusił swe wargi do poddania się jego woli. Powoli wycharczał słowa przeciwzaklęcia, którego nauczył się w czasie wieków zgłębiania nauk czarnoksięskich. Jeśli tylko właściwie rozpoznał tajemne zaklęcie Efrel...

Czar został złamany i Kane był wolny. Wokół niego wszyscy inni zaczęli otrząsać się z transu.

Na podłodze jednak poruszyło się kalekie ciało czarownicy. Duch Efrel szybko odzyskiwał władzę w swym starym ciele. Jej oko błysnęło płomieniem szalonej nienawiści. Podnosząc się na

nogi przed otępiałymi żołnierzami, otworzyła usta, by znów rzucić zaklęcie.

Kane błyskawicznie wyrwał włócznie z ręki żołnierza, który nigdy nie otrzymał rozkazu, by ją wypuścić. Zanim Efrel zdążyła wymówić choćby sylabę zaklęcia, rzucił włócznią i trafił ją prosto w serce.

Siła uderzenia przewróciła czarownicę do tyłu na podłogę. Wiedźma wiła się na czarnych kamieniach jak przyszpilony wąż – szarpiąc za włócznie, która przebiła jej okaleczone ciało. Opuszczały ją jednak siły.

Efrel wydała ostatni ohydny wrzask: „Ojcze!” Potem purpurowy śmiech trysnął z jej ust i umilkł na zawsze.

Wtedy wydarzyło się coś potwornego, co przewyższyło wszystko, co do tej pory się stało. Kiedy okaleczone ciało Efrel upadło na posadzkę martwe, jego kształty zaczęły się roztapiać. Ramiona utraciły stawy, a palce skróciły się. Głowa wtopiła się w tułów, usta i nos połączyły się w ziejącą dziurę, a uszkodzone oczy stały się okrągłe i białe. Skóra pociemniała i pokryła się połyskującym śluzem. Kalekie nogi wydłużyły się i stały się pozbawione kości. Na ich oczach ciało Efrel zaczęło przyjmować kształt okaleczonego Scylredi.

Otrząsając się z odrętwienia, które ogarnęło jego mózg, Kane chwycił jedną z wielkich lamp oliwnych. Podniósł wysoko wielkie miedziane naczynie – a potem cisnął je w zmieniające się ciało. Fala płonącej oliwy pochłonęła tę pół ludzką, pół Scylredi okropność. Znad trzaskającego stosu wznosiły się kłęby cuchnącego dymu.

W tej samej chwili – wciąż jeszcze brzmiało echo ostatniego krzyku Efrel – czarna sadzawka zakłębiła się od Scylredi. Dziesiątki ich zostały wezwane na składanie ofiar. Teraz rozpoczęła się uczta.

Morskie demony wyciągnęły macki i pochwyciły tych, którzy byli najbliżej brzegu sadzawki, wciągając ich pod czarną wodę. Będąc jeszcze w szponach okropności, jakie przeżyli, żołnierze za późno rozpoznali swą zgubę.

– Uciekajcie! – krzyknął Kane. Ciągnąc za sobą oszołomionego Arbasa, pobiegł w stronę schodów.

Z sadzawki wysuwały się teraz olbrzymie, czarne macki

Oraycha. W jakiś sposób nie mający kości potwór przecisnął się przez wielki korytarz wraz ze swymi panami. Wymachiwał mackami po całej komnacie jak olbrzymią kosą – rozgniatając o kamienie tuziny ludzi za każdym uderzeniem i chwytając ich swymi przyssawkami. Przewrócono na podłogę lampy i oliwa rozlała się w kałuże, które krótko płonęły na nagich kamieniach.

Kane dobiegł do schodów, a za nim Arbas i kilku innych. Za ich plecami podziemna komnata zmieniła się w koszmar pełen wrzeszczących ludzi i ucztujących czarnych kształtów.

Mrok pochłonął całą komnatę i wszystkich tych, którzy w niej się znajdowali.

32.

POŻEGNANIE

Z pokładu „Ara-Teving” Kane przyglądał się, jak zrujnowane wybrzeże Pellinu znika mu z oczu.

Wymknął się rzezi w Dan-Legeh po to tylko, by stwierdzić, że jego ludzie przegrywają bitwę. Ciężkie straty, na skutek walk z ludźmi Lagesa i okropności w podziemnej komnacie, zadały śmiertelny cios jego planom. Całe Prisarte powstało przeciw Kane’owi i walka z Pellińczykami przybrała niepomysłny dla niego obrót. Przebijając sobie drogę, Kane zebrał tylu swoich ludzi, ilu zbiegło na „Ara-Teving”. Mając statek i załogę, Kane podniósł żagle i zostawił za sobą chaos, który sam stworzył.

– Co stało się z Efreł wtedy w jej komnacie? – zapytał Arbas Kane’a, znalazłszy wreszcie chwilę na zastanowienie się. Nawet pozbawiony szacunku ton głosu zabójcy zabarwiony był przestrawieniem.

– Opowieści o demonicznym pochodzeniu Efreł były prawdziwe – odpowiedział zamyślony Kane. – W jakiś sposób, dzięki czarnej magii – kto wie, co miał zamiar osiągnąć Pellin Othrin tej nocy – Efreł była owocem przeklętego związku człowieka z Scylredi. Nic dziwnego, że jej matka oszalała tej nocy w komnacie czarnoksiężnika.

Efreł była piękna, chociaż nie mogła zmieniać postaci, kiedy chciała. Często zastanawiałem się, w jaki sposób potrafiła porozumiewać się z tak obcymi istotami. Jej więź z nimi była silniejsza, niż ktokolwiek mógł przypuścić. Jej półdemoniczne pochodzenie tłumaczy wiele innych spraw, teraz to widzę. A co do tego, co wydarzyło się na końcu – jak każdy bestiołak, Efreł przybrała swą prawdziwą postać po śmierci.

Kane splunął do wody w kierunku znikającego pasma wybrzeża.

– A więc zdaje się, że nikomu nie udało się zrealizować swoich ambicji w tej grze. Ta okolica stała się zbyt niebezpieczna, bym mógł zostać tu dłużej. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, w

żaden sposób nie zdołam zebrać dość dużej armii, by zapewnić sobie silną pozycję na tych wyspach.

Wydaje mi się, że wybiorę się na południe i zobaczę, co się dzieje w bardziej cywilizowanych częściach świata. Sporo czasu upłynęło od chwili, gdy ostatni raz próbowałem szczęścia na Południowych Ziemiach. Z dużą galerą i dobrą załogą trudno powiedzieć, co mogę znaleźć do roboty.

Uśmiechnął się do towarzysza.

– Masz ochotę popłynąć ze mną, Arbasie?

– Nie, dzięki – wzdrygnął się Arbas. – Wysadź mnie tylko gdzieś, gdzie będę mógł znaleźć statek do Konsorcjum, z powrotem do ulic Nostoblet. Mam wrażenie, że moim powołaniem jest być zabójcą, a nie najemnikiem. A poza tym zauważyłem, że ludzie, którzy zadają się z tobą, nie żyją długo.

Dwa tygodnie później, w południowym porcie Castakes, Arbas przyglądał się, jak Kane odpływa w następną ze swych wiecznych podróży. Słońce dopiero zaczynało wschodzić i być może to tylko jego wyobraźnia zabarwiła poranne niebo tak głęboką czerwieńią.

KONIEC